

MISTRZOWIE SF

DIABELSKA

ROBERT SHECKLEY

MASZYNA


AMBER

ROBERT SHECKLEY

Diabelska maszyna

Diabelska maszyna

Wolna konkurencja to rzecz sama w sobie bardzo piękna. Ale oto przypadek zgotował coś jeszcze lepszego: produkcję nieograniczoną i całkowicie bezpłatną.

Richard Gregor siedział w swoim zakurzonej biurze usług higieny międzyplanetarnej. Było już południe, a Arnolda - jego współnika - ani widu, ani słyhu. Gregor ślęczał nad niezwykle skomplikowanym pasjansiem, gdy usłyszał na schodach hałas. Drzwi biura otworzyły się i ukazała się w nich głowa Arnolda.

- Zachowujesz się jak wielki przedsiębiorca! - zawołał Gregor.

- Dzięki mnie jesteśmy od dzisiaj bogaczami! - zawołał Arnold. Szerokim gestem otworzył drzwi i zawołał w stronę korytarza: - Przynieście to tutaj, chłopcy!

Czterech spoconych mężczyzn wniosło do biura jakąś czarną maszynę wielkości małego słonia. Postawili ją na środku pokoju.

- Oto ona - rzucił Arnold z dumą. Zapłacił tragarzom i założywszy ręce do tyłu, zapatrzył się w maszynę.

Gregor odsunął od siebie papiery gestem człowieka zmęczonego. Wstał i obszedł dookoła przedmiot.

- Bardzo to interesujące. Ale do czego właściwie służy?

- To jest milion, który nam spada z nieba.

- Oczywiście. Ale co to właściwie jest?

- To jest bezpłatna produkcja - powiedział Arnold. Był uśmiechnięty i dumny z siebie. - Przechodziłem właśnie obok składów międzyplanetarnych Joego i zauważyłem to na wystawie. Kupiłem ją za grosze. Joe nawet nie wiedział, co to jest.

- Tak jak ja - rzekł Gregor. - A ty?

Arnold dreptał na czworakach wokół maszyny, usiłując odczytać wygrawerowany na niej jakiś napis. Nie podnosząc oczu zapytał:

- Słyszałeś oczywiście o planecie noszącej nazwę Meldge?

Gregor skinął potakująco głową.

Meldge była to niewielka planeta trzeciego rzędu, nieco na uboczu od uczęszczanych szlaków handlowych. Niegdyś kwitła tam bardzo rozwinięta cywilizacja.

W historii nosiło to nazwę epoki Starej Wiedzy Meldgeskiej. Technika Starej Wiedzy została już dawno zapomniana, ale od czasu do czasu natrafiano na jakieś jej osiągnięcia.

- I to miałby być egzemplarz z epoki Starej Wiedzy? zapytał Gregor.

- Właśnie. Ta maszyna to fabryka, która bezpłatnie produkuje. Myślę, że w całym naszym systemie nie ma więcej niż pięć, sześć takich egzemplarzy. No, a dzisiaj nikt czegoś takiego nie umie zbudować.

- A co właściwie produkuje ta maszyna? - zapytał Gregor.

- Skądże ja mam o tym wiedzieć - powiedział Arnold. - Daj mi, proszę cię, słownik meldgeski.

Nie okazując zniecierpliwienia Gregor podszedł do półki z książkami.

- Nie wiesz nawet, co ona produkuje? Tu masz słownik.

- Dziękuję. Co za różnica? Cokolwiek wytwarza, wytwarza bezpłatnie. Pobiera energię z powietrza, z eteru, ze słońca, zewsząd. Nie ma potrzeby włączać jej do czegokolwiek... Ona po prostu funkcjonuje bez końca.

Arnold otworzył słownik i zabrał się do szukania słów, które wyryte były na maszynie.

- Energia bezpłatna... Wcale nie tacy głupi ci starzy uczeni... Energia pobierana z powietrza... Zresztą mówię ci, że obojętne, co z tej maszyny wychodzi. Zawsze będziemy mogli ją sprzedać, a to, co w tym czasie wyprodukuje, będzie czystym zyskiem.

Gregor spoglądał na podnieconego współnika okrągłymi oczyma, a jego podłużna smutna twarz była coraz bardziej zachmurzona.

- Mój drogi - rzekł - czy muszę ci przypominać? Jesteś przede wszystkim chemikiem. Ja jestem biologiem. Nie znamy się na maszynach, a jeszcze mniej na maszynach zagranicznych i to tak skomplikowanych.

Arnold skinął tylko głową i nacisnął jakiś guzik. Maszyna wydała głuchy dźwięk.

- Poza tym - dodał Gregor - jesteśmy specjalistami w dziedzinie higieny międzyplanetarnej. I nie widzę powodu, dla którego...

Maszyna zaczęła jakby pokasływać.

- Kapuję - powiedział Arnold. - Tu jest napisane, że maszyna wytwarza bezpłatnie. Stanowi wielki sukces laboratoriów Glatten. Maszyna jest niezawodna. Niełamliwa. Działa bezbłędnie. Nie ma potrzeby włączania jej do jakiegokolwiek źródła energii. Aby ją uruchomić, wystarczy nacisnąć guzik oznaczony cyferką 1. Zatrzymać ją można za pomocą klucza liguryjskiego. Jeśli w czasie pracy wystąpi jakiś błąd, należy zwrócić się do laboratoriów Glatten.

- Może nie dość jasno się wyraziłem - zaczął ponownie Gregor - jesteśmy...

- Nie bądź głupcem - powiedział Arnold. - Puścimy maszynę w ruch i będziemy mogli przestać pracować... A to jest właśnie ten guzik numer 1.

Maszyna znowu wydała jakiś podejrzany dźwięk, który po chwili przekształcił się w regularny turkot. Upłynęło kilka minut, ale nic nie nastąpiło.

- Musi się rozgrzać - powiedział Arnold nieco zaniepokojony.

Nagle z otworu znajdującego się u dołu maszyny zaczął wysypywać się jakiś szary proszek.

- To może być odpad albo osad - mruknął Gregor. Ale przez następne piętnaście minut proszek regularnie wysypywał się z maszyny na podłogę.

- Nadzwyczajne! - krzyknął zachwycony Arnold.

- Co to jest?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Trzeba będzie zrobić analizę.

Z uśmiechem triumfu Arnold nabrał trochę proszku do próbówki. Gregor zaś milcząco wpatrywał się w maszynę wysypującą z siebie szary proszek.

- Czy nie sądzisz - rzekł wreszcie - że byłoby lepiej, gdybyśmy zatrzymali maszynę, dopóki się nie dowiemy, co to jest?

- Z pewnością nie - rzekł Arnold. - Cokolwiek to jest, musi mieć jakąś wielką wartość.

Zapalił palnik Bunsena, wlał do próbówki trochę wody destylowanej i zabrał się do roboty.

W biurze zapanowało milczenie. Trwało kilka godzin. Arnold ciężko pracował. Bez przerwy dorzucał do próbówki preparaty chemiczne, cedził osad i notował wyniki w wielkiej księdze, którą trzymał na biurku.

Gregor przyniósł tymczasem kilka kanapek i kawę. Przyszedł już nieco do siebie i obserwował szary proszek, który maszyna z siebie wypluwała. Jej turkot stawał się głośniejszy, a struga proszku coraz gęstsza. W godzinę po obiedzie Arnold wstał od biurka.

- No, nareszcie skończyłem - rzekł poważnie.

- A więc co to jest? - Gregor zastanawiał się, czy aby Arnold nie dokonał jakiegoś wielkiego odkrycia.

- To jest tangress - rzekł Arnold i spojrzał zaniepokojony na Gregora.

- Tangress?

- Tak jest.

- Może zechciałbyś mi wyjaśnić, co to takiego tangress? - zdenerwował się Gregor.

- Sądziłem, że wiesz. To jest, jak by ci to wyjaśnić, podstawowa potrawa, podstawowy produkt żywnościowy mieszkańców planety Meldge. O ile mnie pamięć nie myli, dorosły Meldgejczyk spożywa kilka ton tangressu rocznie.

- Aha. To jest więc pokarm?

Gregor spojrzał na górę proszku z odcieniem respektu. Maszyna, która wytwarzała produkt żywnościowy dwadzieścia cztery godziny na dwadzieścia cztery - mogła rzeczywiście przynieść zysk. Zwłaszcza że nie trzeba jej było niczym zasilać i nie zużywała żadnej energii.

Arnold otworzył książkę telefoniczną. - Zaraz to sprawdzimy.

Nakręcił jakiś numer.

- Halo? Czy to Instytut Żywienia Międzyplanetarnego? Poproszę do telefonu dyrektora. Nie ma go? To może jego zastępcę? To

bardzo ważne... Halo? Ach, to ty, Channels? Dzień dobry. Mam dla ciebie interesującą propozycję. Mogę ci dostarczyć nieograni czone ilości tangressu, podstawowego pokarmu Meldgejczyków. Tak, tak. Domyślam się, że to cię może zainteresować. Dobrze, czekam. Nie, nie. Nie wyłączam.

Odwrócił się do Gregora.

- Przypuszczam, że będzie mógł to zakupić... Tak, tak. Słucham. Możesz zakupić tangress? Znakomicie. Świetnie...

Gregor zbliżył się do aparatu, chcąc usłyszeć słowa wypowiedziane na drugim końcu drutu. Arnold odepchnął go lekko łokciem.

- Cena? A jakie są obecnie ceny na rynku? Pięć dolarów tona? To nie jest wiele, ale ostatecznie... Co?! Pięć centów! Chyba się śmiesz?

Gregor odsunął się od telefonu i opadł na fotel. Z obojętnością wysłuchał rozmowy do końca.

- Tak, tak. Nie wiedziałem. Rozumiem. Do widzenia. Arnold odłożył słuchawkę.

- Okazuje się, że popyt na tangress jest u nas niewielki. Na Ziemi mieszka kilkudziesięciu Meldgejczyków, transport zaś tego produktu jest zupełnie nieopłacalny.

Gregor spojrział ponownie na maszynę. Odnalazła prawdopodobnie swój normalny rytm, gdyż tangress wysypywał się z niej jakby pod wielkim ciśnieniem. Obok maszyny rozciągała się piętnastocentymetrowa warstwa proszku, który pokrył całą prawie podłogę.

- Nic nie szkodzi - rzekł Arnold. - W jakiś sposób uda nam się to sprzedać. To przecież może służyć i do innych celów.

Usiadł przy biurku i ponownie zabrał się do wertowania książek.

- Czy nie należałoby jej jednak zatrzymać? - zaniepokoił się Gregor.

- Oczywiście, że nie - powiedział Arnold stanowczo. - To idzie przecież zupełnie gratis, rozumiesz? Przecież ona sypie nam pieniądze.

Przed maszyną góra proszku osiągnęła wysokość jednego metra. Utonęły w niej pióra i ołówki, rejestr i jeden z regałów. Gregor zadawał sobie pytanie, czy aby podłoga wytrzyma taki ciężar.

- Wreszcie Arnold zamknął swoje książki. Był zmęczony, ale zadowolony.

- To rzeczywiście może służyć do czegoś innego.

- Do czego?

- Tangress może być używany także jako materiał budowlany. Jeśli pozostawi się go na powietrzu przez kilka tygodni, staje się twardy jak granit, rozumiesz?

- Nie wiedziałem o tym.

- Połącz mnie z jakimś przedsiębiorstwem budowlanym. Gregor zadzwonił do przedsiębiorstwa budowlanego Toledo-Mars i poinformował jakiegoś O'Toole'a, że może mu dostarczyć nieograniczonych ilości tangressu.

- Tangress? - rzekł O'Toole. - Nie jest to nadzwyczajny materiał budowlany. Nie trzyma żadnej farby, rozumie pan?

- Nie miałem o tym zielonego pojęcia - usprawiedliwił się Gregor.

- Tak to jest. Poradzę, co pan ma zrobić. Podobno istnieje gdzieś jakaś rasa bałwanów, które odżywiają się tym świństwem. Może by tam spróbować...?

- Wolalbym to sprzedać jako materiał budowlany.

- Jak pan chce. Ostatecznie moglibyśmy to kupić. Buduje się jeszcze tu i ówdzie tanie domy mieszkalne. Mogę zapłacić piętnaście za tonę.

- Dolarów?

- Nie, centów.

- To muszę się jeszcze zastanowić - rzekł Gregor. Kiedy Arnold usłyszał tę propozycję, pomyślał chwilę i skinął głową.

- Zgoda - rzekł. - Powiedzmy, że maszyna wyrobi tego dziesięć ton dziennie. Wypadnie to około pięciuset dolarów rocznie. To nie jest majątek, ale zawsze pozwoli nam to płacić komorne.

- Ale tego nie można tu w tym stanie zostawić! zawołał Gregor wskazując na maszynę, wypuszczającą z siebie regularnie szary proszek.

- Oczywiście, że nie. Trzeba będzie wyszukać jakiś ką, gdzieś poza miastem, gdzie to ulokujemy. Kiedy zechcą, będą mogli tam przyjechać i załadować, ile im potrzeba.

Gregor połączył się ponownie z O'Toole'em i powiedział mu, że gotów jest zrobić z nim interes.

- Dobrze - rzekł O'Toole - znacie nasz adres. Będziecie mogli to dostarczyć, kiedy zechcecie.

- To my mamy wam dostarczyć? Myślałem, że sami będziecie odbierać...

- Po piętnaście centów za tonę? To my wam wyświadczamy przysługę, że wreszcie będziecie się mogli tego pozbyć.

- Niedobrze - rzekł ponuro Arnold, gdy Gregor odłożył słuchawkę. - Koszty transportu...

- ...przekroczyłyby oczywiście piętnaście centów za tonę - dokończył Gregor. - Najwyższy czas, byś maszynę zatrzymał, dopóki czegoś nie wynajdziemy.

Arnold utorował sobie drogę do maszyny. - Zaraz to zrobię.

Obejrzał dokładnie maszynę ze wszystkich stron.

- Zatrzymajże to! - zawołał Gregor.

- Chwileczkę.

- Zatrzymasz, czy nie?

Arnold pochylił się nad maszyną, następnie wyprostował się i rzekł z wymuszonym uśmiechem.

- To nie jest takie proste...

- A to dlaczego?

- Bo bez klucza liguryjskiego maszyny zatrzymać nie można, a my takiego klucza nie mamy.

Następne kilka godzin spędzili obaj przy telefonie. Dzwonili na wszystkie strony w poszukiwaniu klucza.

Informowali się w muzeach, w laboratoriach naukowych, w instytucie archeologii i wielu innych instytucjach, które mogły im udzielić pomocy. Bezskutecznie. Nikt nigdy na tezy nie widział klucza liguryjskiego i nikt nigdy o nim nie słyszał.

A maszyna ciągle wysypywała z siebie proszek, którego nie moim się było pozbyć. Tangress zasypał już obydwa krzesła, kaloryfer i osiągnął wysokość biurka.

- Co to za wspaniałe źródło dochodu - mruknął Gregor.
- Znajdziemy w końcu jakiś sposób.
- Na pewno?

Arnold zabrał się do studiowania swoich książek i resztę nocy spędził przy biurku. Gregor musiał część proszku przesypać na korytarz, aby całe umeblowanie nie utonęło w tangressie.

Nastał ranek i promień słońca próbował przedrzeć się przez szybę pokrytą chmurą szarego kurzu. Arnold wstał od biurka i ziewnął.

- I co nowego? - zapytał Gregor.
- Właściwie nic.

Gregor znowu utorował sobie drogę do drzwi, aby zejść po kawę. Gdy wrócił, zastał w pokoju dozorcę budynku i dwóch potężnych policjantów, którzy wykrzykiwali coś pod adresem nieszczęsnego Arnolda.

- Natychmiast zabierze mi pan to świństwo z korytarza! - krzyczał dozorca

- Oczywiście! I jeszcze zapłaci pan karę za zainstalowanie fabryki w dzielnicy urzędowej. Bez zezwolenia! - dodał owo jeden z policjantów.

- To nie jest fabryka - próbował sprawę wyjaśnić Gregor. - To jest taka maszyna, która produkuje...

- A ja panu mówię, że to jest fabryka - powtórzył policjant. - I pan to natychmiast zatrzyma.

- Niestety, są pewne trudności - powiedział Arnold. - Można by powiedzieć, że nie potrafimy tego zatrzymać...

- Nie potrafi pan tego zatrzymać? - policjant spojrzał na Arnolda podejrzliwie. - Pan się ze mnie śmieje, co? A ja panu mówię, żeby pan to zatrzymał!

- Przysięgam panu, że...

- Słuchaj, chłopie - policjant przeszedł na "ty". Wracam za godzinę. W ciągu tego czasu zatrzymasz mi tę maszynę i usuniesz całe to świństwo. Jeśli nie, to inaczej pogadamy.

Cała trójka z dostojeństwem opuściła pokój. Gregor i Arnold spojrzeli na siebie, a następnie na maszynę. Wyrzucała z siebie

regularnie szary proszek, który dochodził już do połowy wysokości pokoju.

- Do jasnej cholery! - krzyknął Arnold u progu hysterii. - Musi się znaleźć jakiś sposób, aby to upłynnić. Przecież to wszystko bezpłatnie. Przypominam ci, bezpłatnie, bezpłatnie!

- Spokojnie, mój drogi rzekł Gregor drapiąc się w głowę pokrytą szarym proszkiem.

- Czy naprawdę tego nie rozumiesz? Jeśli możesz coś wyprodukować bezpłatnie i to w każdych ilościach, to do czegoś musi to służyć!

Drzwi się nagle otworzyły i do pokoju wszedł wysoki chudy mężczyzna, elegancko ubrany, trzymając w rękach dziwny przedmiot.

- A więc to tu - rzekł.

Gregor powstrzymał oddech w radosnej nadziei.

- To jest klucz liguryjski? - zapytał.

- Co?! To nie żaden klucz - rzekł przybysz. - To jest drenometr.

- Ach, tak...

- Właśnie, i jak widzę, zaprowadził mnie do źródła zaburzeń - rzekł przybysz. - Przepraszam, jeszcze się nie przedstawiłem. Moje nazwisko Canters.

Zamaszystym gestem zmiótł z biurka proszek, spojrzął jeszcze raz na swój drenometr i zabrał się do wypełniania wdrukowanych formularzy.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Arnold.

- Pracuję w Kontynentalnej Centrali Energetycznej rzekł Canters. - To rozpoczęło się wczoraj koło południa. Zauważyli śmy na naszych licznikach, że jakaś potężna siła absorbuje niezwykle potężne ilości energii. Zmusiło to nas do odszukania miejsca, gdzie zaburzenia te powstają...

- I to właśnie tutaj? - zapytał Gregor.

- Z tej właśnie maszyny - rzekł Canters.

Zakończył wypełnianie swoich formularzy, złożył je i schował do teczki.

- Dziękuję panom za pomoc. Oczywiście rachunek wkrótce prześlemy.

Otworzył, nie bez pewnych trudności, drzwi i spojrzał jeszcze raz na maszynę.

- Ona musi wytwarzać coś, co ma wielką wartość rzekł - jeśli tak olbrzymie zużycie energii ma się opłacać. Co to jest? Proszek platynowy?

Uśmiechnął się, skłonił uprzejmie głową i wyszedł. Gregor odwrócił się w stronę Arnolda.

- Bezpłatna energia, co?

- Myślę, że ona wykorzystuje po prostu to źródło, które znajduje się najbliżej.

- Też tak myślę. Ta maszyna czerpie energię z powietrza, ze słońca, z eteru. No i oczywiście z centrali energetycznej, jeśli ta znajduje się w pobliżu.

Tak to wygląda. Ale zasada działania...

- Niech diabli wezmą całą zasadę działania! - krzyknął Gregor. - Nie możemy zatrzymać tej maszyny bez klucza Liguryjskiego, nikt nie ma klucza liguryjskiego, a my zasypani jesteśmy przez ten przeklęty kurz, którego nie możemy się pozbyć. I w dodatku w błyskawicznym tempie zużywamy olbrzymie ilości energii.

- Musi się znaleźć jakieś wyjście - z uporem powtórzył Arnold.

Gregor zaczął zastanawiać się nad losem ich konta bankowego, które gwałtownie malało. Coś niecoś ostatnio zarobili, ale całe ich oszczędności zamieniały się szybko w szary proszek. Nie mógł temu przeciwdziałać. Arnold był od dawna jego współnikiem. Trudno, musi wytrzymać do końca.

Arnold usiadł tam, gdzie powinno było znajdować się biurko, i ukrył twarz w dłoniach. Znowu usłyszeli pukanie do drzwi i jakieś głosy.

- Zasuń zamek - rzekł Arnold.

Gregor spuścił zasuwę. Arnold znowu pograżył się w myślach.

- Nic nie jest stracone - rzekł. - Ta maszyna musi nas wzbogacić.

- Owszem, pozostała nam jeszcze jedna droga - rzekł Gregor. - Trzeba ją usunąć. Wyrzucmy ją po prostu do morza.

- Nigdy w życiu! Nigdy! A poza tym wymyśliłem! Znalazłem! Trzeba natychmiast ruszyć w drogę.

Następne dni minęły im na gorączkowej działalności. Zaangażowali ludzi, którzy oczyścili dom z tangressu. Potem trzeba było wnieść maszynę, która ciągle pluła proszkiem do ich niewielkiego statku międzyplanetarnego - a to nie było łatwe. Wreszcie wszystko było gotowe. Maszynę umieszczono w zbiorniku, który zresztą szybko wypełnił się tangressem. Wreszcie wyruszyli i wkrótce pojazd ich przekroczył granice systemu słonecznego.

- Wszystko to jest bardzo logiczne - wyjaśnił później Arnold. - Oczywiście, że tangress nie znajduje zbytu na Ziemi. I dlatego nie ma właśnie sensu upłynniać go właśnie , na naszym globie. Natomiast na planecie Meldge...

- Muszę ci powiedzieć, że mimo wszystko nie mam tej pewności - powiedział Gregor.

- To nie może się nie udać. Koszty transportu tangressu na Meldge są zbyt wysokie. Ale można tam zainstalować naszą maszynę. Możemy im dostarczyć każdą ilość tego pokarmu.

- A jeśli ceny i tam są zbyt niskie? - zapytał Gregor. - Nie mogą być. Przecież tangress stanowi tam podstawowy pokarm; to chleb dla Meldgejczyków. Tym razem ta historia musi nam się udać...

Po trzytygodniowej podróży w przestrzeni sygnały na tablicy rozdzielczej zapowiedziały planetę Meldge. Był już najwyższy czas. Zbiornik całkowicie zapełnił się tangressem. Sam zbiornik był wprawdzie dobrze zamknięty, ale produkcja szarego proszku groziła rozsądzeniem całego statku kosmicznego. Codziennie musieli pozbywać się tego produktu; ale taka operacja zajmowała dużo czasu i powodowała stratę ciepła i powietrza.

Wylądowali wreszcie na planecie mając statek kosmiczny wypełniony tangressem, z niewielkimi zapasami tlenu i prawie kompletnie zamarznięci. Natychmiast po wylądowaniu zjawił się na pokładzie celnik o pomarańczowej skórze.

- Witam panów - powiedział. - Rzadko przybywają do nas ostatnimi czasy podróżni. Zamierzają panowie zostać tu długo?

- Prawdopodobnie - rzekł Arnold. - Chcemy tu otworzyć pewne przedsiębiorstwo.

- Doskonały pomysł - powiedział urzędnik. - Nasza planeta potrzebuje trochę świeżej krwi, trochę dynamizmu ziemskiego.

Czy wolno zapytać, jakiego rodzaju przedsiębiorstwo zamierzają tu panowie założyć?

- Zamierzamy sprzedawać tangress - wasz podstawowy produkt żywnościowy.

Twarz celnika spochmurniała.

- Co panowie zamierzają sprzedawać?

- Tangress. Mamy maszynę, która produkuje tangress zupełnie bezpłatnie.

Celnik nacisnął guzik na specjalnej tarczy, którą nosił przy sobie.

- Bardzo żałuję, ale muszą panowie natychmiast ruszyć w powrotną drogę.

- Ale my mamy odpowiednie paszporty i przepustki!

- A my mamy nasze prawa. Musicie, panowie, natychmiast stąd wyjechać i zabrać ze sobą swoją maszynę.

- Chwileczkę - rzekł Gregor - głosicie przecież, że panuje u was całkowita wolność w dziedzinie inicjatywy prywatnej.

- Z wyjątkiem produkcji tangressu.

Na zewnątrz pojawiło się prawie dwadzieścia czołgów. Z głuchym szumem otoczyły statek kosmiczny. Celnik wycofał się i zaczął schodzić ze schodów.

- Jeszcze chwilę! - zawołał Gregor z rozpaczą w głosie. - Domyślam się, że obawiacie się z naszej strony jakiejś nielojalnej konkurencji. Wobec tego weźcie sobie tę maszynę. Zostawiamy ją w charakterze prezentu.

- Co takiego?! Nigdy! - zawołał Arnold.

- Tak, tak. Zabierzcie ją. Będziecie mogli dzięki niej nakarmić waszych biedaków. A potem postawcie nam pomnik.

Na zewnątrz czołgi drugim rzędem zaczęły otaczać ich pojazd kosmiczny. Nad nimi pojawiła się eskadra starych samolotów odrzutowych, które powoli osiadły na kosmodromie.

- Wynoście się stąd! - krzyknął celnik. - Czy na prawdę sądzicie, że można sprzedać tangress na naszej planecie? Spójrzcie dookoła!

Rozejrzeli się. Cały kosmodrom pokryty był szarym proszkiem, który unosił się w powietrzu gryzącym kurzem. Stojące opodał

budynki były również szare - bez cienia kolorowych tynków. Smutne szare pola rozciągały się hen w dal, aż do podnóża równie szarych wzgórz. Wszystko wokół, jak daleko okiem sięgnąć, było z tangressu.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że planeta jest z...

- Możecie to sobie sami obliczyć - odpowiedział celnik schodząc z drabiny. - To tutaj przecież rozpoczął się okres Starej Wiedzy, a zawsze się znajdzie paru durniów, którzy wszystko chcą sprawdzić i dotknąć...

Na połowie drabinki zatrzymał się, podniósł głowę do góry i dodał:

- Gdybyście jednak, któregoś dnia, odnaleźli klucz liguryjski, możecie wrócić. Postawimy wam wspaniałą pomnik.

Pułapka

Samish, potrzebuję twojej pomocy! Sytuacja staje się niebezpieczna. Czy możesz przybyć natychmiast?

Miałeś rację. Ziemianie to istoty podstępne i nieodpowiedzialne. I nie są takimi głupcami, na jakich wyglądają. Zaczynam wierzyć, że subtelność czułek nie jest jedynym kryterium inteligencji.

Jakież żalosny zamęt, Samish! A mój plan wydawał się przecież bezbłędny!

Ed Dailey spostrzegł o parę kroków od chaty coś metalowego. Ale był jeszcze zanadto zaszpany, żeby chciało mu się podejść i obejrzeć to z bliska.

Zbudził się wkrótce po świcie i wyszedł na palcach, żeby rzucić okiem na niebo.

Przez całą noc lało jak z cebra i teraz deszcz ściekał z liści drzew pobliskiego lasu. Samochód wyglądał jak porzucony wrak, a ścieżka tonęła w błocie.

Na progu chaty stanął w piżamie jego przyjaciel, Thurston. Jego okrągła twarz, spokojna jak u Buddy, była nabrzmiąta od snu.

- Zawsze leje w pierwszym dniu wakacji - oświadczył. - Takie już prawo natury.

- Dobry czas na łowienie pstrągów - poddał Dailey. - Raczej na to, żeby rozpaść ogień na kominku i napić się czegoś rozgrzewającego.

Od jedenastu lat dwaj przyjaciele przywykli spędzać razem jesienny urlop, choć z różnych powodów.

Dailey namiętnie kochał wszystko, co należało do ekwipunku. Sprzedawcy sklepów z artykułami sportowymi odziewali go w przedziwne skafandry, w jakich można by tropić na szczytach ślady śnieżnego człowieka.

Sprzedawali mu małe, cudowne kochery, które nie gasły podczas najgwałtowniejszych huraganów, a także wspaniałe noże z najlepszej szwedzkiej stali.

Dailey lubił nosić u pasa płaską manierkę, a na ramieniu karabinek z niebieskiej stali. Co prawda karabinek rzadko służył do innych celów niż do otwierania puszek z konserwami. Albowiem na przekór swym marzeniom, Dailey był człowiekiem spokojnym i muchy by nie skrzywdził.

Jego otyły przyjaciel Thurston miał skłonność do zadyszki i zawsze potrafił znaleźć dla siebie najlżejszą wędkę i najmniejszy plecak. Zawsze z początkiem drugiego tygodnia urlopu umiał tak pokierować polowaniem, żeby znaleźć się nad brzegami jeziora. Były tam małe, wygodne knajpki, w których Thurston nareszcie czuł się znowu w swoim żywiole.

Te odrobiny sportu były raczej wskazane dla dwóch ludzi z za biurek - koło czterdziestki, nieco już ocieężałych i przygarbionych. Wracali brązowi i odświeżeni, z nowym zapałem do pracy i z odnowioną czułością dla swych drogich małżonek.

- No to chodźmy się napić - zgodził się Dailey, nie dając się długo prosić. - Hola, a cóż to takiego? spojrzął na metalowy przedmiot przed chatką.

Rozsunąwszy wysoką trawę, znalazł się wobec czegoś w rodzaju szkieletu zbudowanego z metalowych płaskich listewek, którego górną część można było usunąć. Na jednej z owych listewek znajdował się napis: SIDŁA - PUŁAPKA.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- To nie ja, zapewniam cię.

Dailey odkrył małą, plastikową etykietkę, zawieszoną z boku aparatu. Zdjął ją i przeczytał:

Drogi przyjacielu, przedstawiamy ci oto SIDŁA - PUŁAPKĘ o nowej, rewolucyjnej konstrukcji. Ażeby zapoznać publiczność z naszymi SIDŁAMI, ofiarujemy ten egzemplarz całkowicie bezpłatnie! Z pewnością potrafi pan ocenić ten specjalny i z niczym nieporównywalny system chwytania malej zwierzyny, pod warunkiem, że zastosuje się pan dokładnie do instrukcji podanych na odwrocie. Życzymy powodzenia i pomyślnego polowania!

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Myślisz, że oni postawili to tutaj w nocy? - spytał Dailey.

- Nie wiem.

- Co! Nie interesuje cię to?

- Jeżeli mam być szczery, niespecjalnie. Jeszcze jeden z ich reklamowanych "cudów". Jest tego na tuziny. Sidła na niedźwiedzie firmy Abererombie Fitch. Pułapka na jaguary firmy Battler. Przynęta na krokodyle firmy...

- Ale nigdy jeszcze nie widziałem sideł tego rodzaju rzekł Dailey w zamyśleniu. - Niezła reklama, tak to tutaj zostawić.

- Potem ci przyślą rachunek - cynicznie odparł Thurston. - Idę robić śniadanie. Ty zajmij się naczyniem.

Wrócił do chaty, podczas gdy Dailey studiował notatkę wydrukowaną na odwrocie etykiетки:

Należy umieścić SIDŁA - PUŁAPKĘ na polance i łańcuchem, przymocowanym do kadłuba aparatu, przywiązać je do najbliższego drzewa. Nacisnąć guzik nr 1, umieszczony w podstawie. Teraz wasze SIDŁA są odbezpieczone. Należy

odczekać pięć sekund i nacisnąć guzik nr 2. Teraz wasze SIDŁA funkcjonują. Następnie należy już tylko czekać. A potem naciśnijcie guzik nr 3. Otwórzcie SIDŁA i wyjmijcie ZDOBYCZ.

Uwaga! SIDŁA muszą być stale zamknięte, z wyjątkiem chwili, w której wyjmuje się ZDOBYCZ. Nie ma potrzeby otwierania SIDŁ po to, aby mogły ZDOBYCZ schwytać, gdyż funkcjonują one na zasadzie ultraosmozy i wciągają ZDOBYCZ za pomocą bezpośredniej indukcji.

- Fiu! Czego to ludzie nie wymyślą! - gwizdnął Dailey z podziwem.

- Śniadanie gotowe! - zawołał Thurston.

- Pomóż mi najpierw zainstalować pułapkę.

Thurston, ubrany teraz w szorty i w pstrą koszulę, wyszedł z chaty i patrzył na pułapkę z powątpiewaniem.

- Nie sądzisz, że lepiej byłoby tego nie ruszać?

- Ależ dlaczego? A może złapie się lis, kto wie?

- A po co chcesz złapać lisa?

- Żeby go wypuścić! Cała przyjemność polega na schwyтaniu... Pomóż mi to podnieść.

Sidła były zdumiewająco ciężkie. We dwóch zaledwie mogli je odciągnąć o pięćdziesiąt metrów od chaty. Dailey przywiązał je do jodły, a potem nacisnął guzik nr 1. Sidła zaczęły wydawać lekki blask. Thurston, zaniepokojony, cofnął się o krok.

Po pięciu sekundach Dailey nacisnął drugi guzik.

Las ociekał kroplami deszczu po ostatniej ulewie. Wśród drzew przebiegały wiewiórki, a długie trawy poruszały się aksamitnym szmerem. Sidła leżały nieruchomo, ich szkielet lekko fosforyzował.

- Chodźże - powiedział Thurston. - Jajecznicza wystygnie.

Samish, gdzie jesteś? Coraz pilniej cię potrzebuję. Moja mała planetoida została przewrócona do góry nogami!

Jesteś moim przyjacielem, Samish, jesteś przyjacielem mojego dzieciństwa, świadkiem mojego ślubu. Jesteś też przyjacielem mojej pięknej Fregel. Liczę na ciebie.

Nie spóźnij się.

Ziemianie uznali moją pułapkę za zwykłe sidła i nic ponadto. I natychmiast jej użyli, tak jak oczekiwałem. Niewiarygodna ciekawość tych istot jest przecież znana.

Tymczasem moja żona przyjechała do mnie wesółą, szczęśliwą, że opuściła miasto. Wszystko składało się doskonale.

Podczas śniadania otyły Thurston, wdając się w uczone szczegóły, tłumaczył z przekonaniem, że sidła nie mogą funkcjonować, skoro się ich nie otworzy, tak żeby zdobycz w nie wpadła. Chudy Dailey uśmiechał się pobłaźliwie i opowiedział mu o osmozie i przenikaniu. Gdy już pomyli i osuszyli naczynia, poszli poprzez wilgotną, elastyczną łąkę w stronę sideł.

- Patrz! - wykrzyknął Dailey.

W sidłach coś było, coś przedziwnego, co miało wielkość królika, lecz w kształcie i kolorze przypominało zielone jabłko. "Zwierzę" miało wydłużone oczy na końcu wystających czulek i wyciągało ku nim kleszcze jak u kraba.

- Już nigdy nie będę pił rumu przed śniadaniem oświadczył Thurston. - Od jutra. Daj mi manierkę.

Pociągnął obfitą porcję, a potem znów spojrzął na istotę zamkniętą w pułapce.

- Brrr!

- To musi być jakiś nowy okaz - powiedział Dailey. - Okaz koszmarny, w każdym razie. Co byś powiedział na to, żeby raczej przenieść się nad jezioro i zapomnieć o tym wszystkim?

- Nie ma mowy. Nawet w książkach zoologicznych nigdy nie widziałem niczego, co by było do tego podobne. Jakaś rasa nie znana uczonym. Gdzie to schować?

- Schować?!!

- Oczywiście. Nie można przecież zostawić tego w sidłach. Trzeba zbudować jakąś klatkę i zastanowić się nad tym, co toto może jeść.

Twarz Thurstona straciła swój zwykły spokojny wyraz. - Posłuchaj, Ed. Nie mam najmniejszego zamiaru spędzić moich wakacji z czymś podobnym. Może to jest jadowite, a jestem zupełnie pewien, że jest brudne. - Złapał oddech i ciągnął: - To

coś, co jest w tych sidłach, nie jest normalne. To jest... to jest nieludzkie.

Dailey zaśmiał się szyderczo:

- Tak samo właśnie mówiono o pierwszym samochodzie Forda i o żarówce Edisona. Te sidła są nowym świadectwem postępu i wiedzy.

- Nie jestem bynajmniej przeciwny postępowi - zaprotestował Thurston - ale myślę...

- Powiesz mi później. Najpierw zbudujmy klatkę i znowu nastawmy sidła.

Thurston coś mruknął, ale poszedł za nim.

Dlaczego jeszcze cię tu nie ma, Samish!

Czy nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji? Pomyśl o swoim starym przyjacielu! Pomyśl o pięknej Fregel, o lśniącej sierści, którą kocham, dla której zaryzykowałem tę całą awanturę. Przynajmniej daj mi odpowiedź.

Ziemiańskie użyli sideł, które - rzecz jasna - nie były żadnymi sidłami, lecz przekaźnikami materii. Nadajnik ukryłem na planecie i wysyłałem trzy zwierzęta, które znalazłem w ogrodzie.

Ziemiańskie wydobywali je z przekaźnika, w miarę jak je wysyłałem, zastanawiam się po co. Ale Ziemiańskie chowają wszystko, co znajdują. Gdy trzecie zwierzę zostało wysłane i nie wróciło, powiedziałem sobie, że wszystko gotowe.

Przygotowałem więc czwartą i ostatnią przesyłkę, tę jedynie ważną, wobec której wszystkie poprzednie były tylko manewrem przygotowawczym.

Znajdowały się w trzech klatkach odnalezionych w przybudówce przyległej do chaty. Thurston ze wstrętem patrzył na klatki. Każda z nich ukrywała jednego stwora.

- Pfuj! - mówił Thurston. - Cóż za zapach!

Pierwsza klatka zawierała pierwszą zdobycz, zwierzę wyposażone w czułki i w kleszcze jak u kraba. W następnej klatce znajdowała się istota latająca, zaopatrzona w trzy pary skrzydeł pokrytych łuskami. W ostatniej coś, co można by nazwać wężem, gdyby nie to, że miało dwie głowy, po jednej z każdej strony. W

klatkach znajdowały się poza tym miseczki z mlekiem, kawałkami mięsa, jarzyny, trawa i łupiny - lecz wszystko to było nietknięte.

- Nic nie chcą jeść - stwierdził Dailey ze smutkiem.

- Z pewnością są chore - zapewniał Thurston. Mogą rozsiewać bakterie. Powinniśmy się ich pozbyć, Ed! Dailey ze złością spojrzął na przyjaciela.

- Czy nigdy nie marzyłeś o sławie, Tom?

- Hę?

- Tak, o sławie. O tym, że twoje nazwisko może być znane potomnym.

- Nigdy nie myślałem o czymś takim.

- Nigdy?

Thurston głupio się uśmiechnął.

- Ba! Któż nigdy nie marzył o sławie...? Ale do czego zmierzasz?

- Te stworzenia - cierpliwie wyjaśniał Dailey - są unikatami. Ofiarujemy je do muzeum.

- Ach! - krzyknął Thurston.

- Wystawa Daileya i Thurstona... Wystawa istot nie znanych aż po dzień dzisiejszy...

- Może nadadzą im nasze imiona - ożywił się Thurston. - Ostatecznie to myśmy je odkryli.

- Będą musieli to zrobić. I nasze imiona przejdą do potomności, obok imion Linneusza, Darwina i Kolumba.

- Hm! - chrząknął Thurston, zatopiony w myślach. Pewnie masz rację. Zajęłoby się tym Muzeum Historii Naturalnej. Zorganizują wystawę...

- Myślałem nie tylko o wystawie... Myślałem raczej o całym oddziale muzeum... oddział Daileya i Thurstona. Thurston patrzył na przyjaciela ze zdumieniem. W tym Daileyu tkwiły głębie, których nigdy by nie podejrzewał. - Ed, ale my dysponujemy tylko trzema okazami. A trzema okazami nie zapełnimy całego oddziału. .

- Tam, skąd przybyły te trzy, są z pewnością i inne. Chodźmy spojrzeć na sidła.

Tym razem w sidłach tkwiła istota wysoka prawie na metr, o małej zielonkawej głowie i z rozwidlonym ogonem. Miała około tuzina czulek, którymi poruszała z furją.

- Tamte były łagodniejsze - zauważył Thurston z niepokojem. - Ta może być niebezpieczna.

- Schwytny ją w sieć - zdecydował Dailey. - A potem zredagujemy raport dla muzeum.

Naprawdę z wielkim trudem udało im się wcisnąć zwierzę do klatki. Znowu nastawili sidła i Dailey wysłał do muzeum Historii Naturalnej telegram tej treści:

ODKRYLIŚMY CO NAJMNIJ CZTERY ZWIERZĘTA KTÓRE JAK SĄDZĘ, NALEŻĄ DO NIEZNANYCH GATUNKÓW STOP CZY DYSPONUJECIE MIEJSCEM NA EKSPOZYCJĘ STOP POSTARAJCIE SIĘ ZARAZ KOGOŚ DO NAS PRZYSŁAĆ.

Później, na prośbę Thurstona, przesłał jeszcze do Muzeum szczegółowe opisy istot; a to po to, żeby nie wzięto go za jakiegoś żartownisia.

Tego samego popołudnia Dailey wyłożył Thurstonowi swoją teorię. W tych stronach musiała istnieć jakaś izolowana okolica, w której zachowały się do dziś zwierzęta przedhistoryczne. Nie schwytano ich nigdy przedtem z tego prostego powodu, że ze względu na swój wiek nabyły one niezwyklej przezorności i doświadczenia. Ale te sidła, działające na zupełnie nowej zasadzie osmozy, okazały się silniejsze od ich przezorności i sprytu.

- Jednakże te strony zostały chyba zbadane - oponował Thurston.

- Jak się okazało, niewystarczająco - odparł Dailey z niezbitą logiką.

Gdy wieczorem poszli do sideł, były puste.

Musiałem cię źle słyszeć, Samish. Może zechcesz trochę powiększyć wolumen. Albo jeszcze lepiej: przyjdź tutaj sam. Po co mnie wywołujesz? Nie jest to dla mnie zbyt wielką pomocą. Moja sytuacja jest coraz bardziej rozpaczliwa.

Co, Samish? Koniec historii? Po wysłaniu trzech zwierząt przez przekaźnik byłem gotów. Nadszedł czas, abym poszukał mojej żony.

Koniec końców poprosiłem ją, żeby poczołgała się ze mną trochę po ogrodzie. Była zachwycona.

- Powiedz mi, najdroższy - spytała - czy ostatnio nic cię nie dręczy?

- Uhm - odparłem.

- Czy może ja zrobiłam ci jakąś przykrość?

- Ależ nie, kochanie, ty jesteś zupełnie w porządku ... Na nieszczęście, okazuje się, że to nie wystarcza. Mam zamiar ożenić się z kimś innym.

Na chwilę jakby skamieniała, jej czułki poruszały się nieskoordynowanie. Potem zawołała:

- Fregel!

- Tak - powiedziałem. - Cudowna Fregel zgodziła się dzielić mój dom.

- Ależ... zapominasz, że połączyliśmy się na całe życie. - Wiem. Tym gorzej dla ciebie, że wspomniałaś o tym drobiazgu.

I w zwykły sposób wysłałem ją przez przekaźnik materii. Och, Samish, żebyś mógł ją zobaczyć! Konwulsyjnie ruszała czułkami, wrzeszczała... a potem znikła.

Nareszcie jestem wolny! Czuję do siebie trochę wstrętu, lecz jestem wolny! Wolny, aby poślubić Fregel!

Mam nadzieję, że oceniasz doskonałość mego planu. Wystarczyło mi się upewnić co do współpracy Ziemian, co do tego, że przekaźnik materii będzie obsługiwany z obu stron. Podrzuciłem go im jako sidła, bo Ziemianie nie wierzą w byle co. I w końcu wysłałem im swoją żonę. Może jakoś spróbują z nią żyć! Ja już dłużej nie mogłem! Mój plan był absolutnie niezawodny! Nikt nigdy nie znajdzie ciała mojej żony! Ziemianie zawsze chowają wszystko, co znajdą. Nikt nie będzie mi nigdy mógł niczego dowieść.

Otoczenie małej chaty straciło swój spokojny, wiejski wygląd. Ślady opon krzyżowały się tam i z powrotem na błotnistej ścieżce. Ziemia była zasłana żarówkami fleszów, pudełkami od

papierosów, papierkami od cukierków. Ale po kilku godzinach szalonego ruchu wszyscy odjechali. Zostało tylko niewyraźne rozgoryczenie.

Dailey i Thurston stali przed pustymi sidłami, patrząc na nie z rozpaczą.

- Co się stało tej przeklętej maszynie? - spytał Dailey i z wściekłością kopnął aparat.

- Może po prostu nie ma już nic więcej do schwywania - mówił Thurston.

- To niemożliwe. Dlaczego mogła schwytać cztery nieznane zwierzęta, a potem nagle już nic?

Ukląkł przy sidłach i dodał z goryczą:

- Co za idioci, ci faceci z muzeum! I dziennikarze!

- Szkoda, że w chwili, kiedy te typki z muzeum przyjechały, zwierzęta były już nieżywe. To musiało im się wydawać podejrzanym.

- Te głupie stworzenia nie chciały jeść. Nic na to nie poradzę. To zupełnie nie jest moja wina! Już nie mówię o dziennikarzach... Sądziłem, że nasze wielkie gazety przyślą trochę inteligentniejszych reporterów.

- Same zwierzęta byłyby wystarczającą sensacją. Nie powinienem był obiecywać, że złapiesz jeszcze inne zwierzęta. Od tej chwili zaczęli posądzać nas, że opowiadamy im zmyślane historyjki; w nasze sidła nic już nie wpadło.

- Naturalnie, że obiecałem! Skąd mogłem wiedzieć, że ta przeklęta maszyna zatrzyma się za czwartym razem! I czemu oni, do diabła, się śmiali, kiedy im mówiłem o osmozie?

- Nic z tego nie zrozumieli - odparł Thurston znużonym tonem. - Wiesz, w gruncie rzeczy myślę, że nikt nigdy nie rozumie nic z tego, co się do niego mówi. Jedźmy nad jezioro i zapomnijmy o tym wszystkim.

- Nie! Ten aparat musi zacząć działać! Musi!

Dailey odbezpieczył sidła i nastawił je, a potem obserwował je przez kilka sekund. Wreszcie otworzył ruchomy wierzch.

Wsunął rękę do środka i krzyknął:

- Moja ręka! Nie mam jej! Straciłem rękę! Odskoczył do tyłu.

- Ależ masz ją, spójrzże - odrzekł Thurston uspokajająco.

Dailey patrzył na swoje obie ręce i pocierał jedną o drugą, lecz upierał się przy swym twierdzeniu.

- Moja ręka zniknęła we wnętrzu sideł, zapewniam cię. - Tak, tak - łagodnie potakiwał Thurston. - Myślę, że mały odpoczynek nad jeziorem znakomicie ci zrobi.

Dailey znowu pochylił się nad siłkami i zanurzył w nie rękę. I ręka zniknęła. Zanurzył ją głębiej i spostrzegł, jak jego ramię znika aż do barku. Spojrzał na Thurstona z uśmiechem triumfu.

- Rozumiesz już teraz, jak to działa - rzekł. - Te zwierzęta nie przyszły tutaj z niezbadanej okolicy.

- Więc skąd?

- Stamtąd, gdzie w tej chwili znajduje się moja ręka, gdziekolwiek by to było... Chcą innych zwierząt, co? Uważają mnie za łgarza, he? Ja im pokażę!

- Ed, nie rób tego! Nie wiesz, czy...

Ale Dailey włożył tym razem nogi do sideł. I nogi zniknęły. Powoli pogrążał się w siłkach całym ciałem. Wkrótce widać mu już było tylko głowę.

- Życz mi powodzenia - rzekł do Thurstona. - Ed!

Dailey zacisnął nozdrza, zanurzył się i znikł.

Samish, jeśli natychmiast nie przyjdiesz, będzie już za późno. Nie mogę dłużej porozumiewać się z tobą. Olbrzymi Ziemiannin zupełnie splądrował moją planetoidę. Co mu tylko wpada w rękę, wysyła przez przekaźnik. Wszystko jest w ruinie. Samish, ten potwór chce mnie schwytać jako okaz nieznanego gatunku! Nie ma ani chwili do stracenia!

Samish, co cię właściwie zatrzymuje? Ciebie, mojego najlepszego przyjaciela???

Co? Samish? Co ty mówisz? Ty i Fregel? Nie, nie mówisz tego poważnie! Opamiętaj się, Samish! Przez wzgląd na naszą przyjaźń!

Maszyna, która nie lubiła powtarzać

Richard Gregor siedział przy biurku w pokojach Międzyplanetarnego Towarzystwa Zleceń i zmęczonym wzrokiem patrzył na leżącą przed nim długą listę. Zawierała około dwóch tysięcy trzystu pozycji.

Gregor starał się przypomnieć sobie, czy czegoś nie opuścił. Maść przeciwko promieniowaniu? Lampy próżniowe? Komplet przyrządów do oczyszczania wody? Tak, wszystko było w porządku.

Ziewnął i spojrzał na zegarek. Arnold, jego wspólnik i towarzysz, powinien był już wrócić. Poszedł zamówić dwa tysiące trzysta artykułów i załadować je na statek międzyplanetarny. Za kilka godzin ich zgrabny okręcik "As" miał wylecieć w przestrzeń.

Ale czy na pewno niczego nie zapomniał? Statek międzyplanetarny jest z konieczności odizolowaną od świata samowystarczalną jednostką. Jeśli zabraknie ci fasolki w puszkach, nie ma żadnego sklepiku za rogiem, gdzie mógłbyś ten artykuł nabyć. Słowem - wszystko trzeba wozić z sobą.

Zasysacz tlenu? Zapas papierosów? Gregor odsunął od siebie listę, wyciągnął z biurka talię zatłuszczonych i zniszczonych kart i począł rozkładać skomplikowanego pasjansa własnego pomysłu.

W kilka minut później Arnold wkroczył do pokoju.

- Dostałeś wszystko? - zapytał Gregor.

- Więcej niż wszystko - powiedział z dumą Arnold. Zaoszczędziłem naszej firmie poważną sumę pieniędzy.

- Co znowu zrobiłeś? Czy to jeszcze jeden z twoich wspaniałych pomysłów?

- Zastanów się - mówił Arnold przekonującym tonem - tylko się zastanów nad straszliwą rozrzutnością przy ekwipowaniu przeciętnej ekspedycji. Załadujemy dwa tysiące trzysta rozma-

itych artykułów tylko dlatego, że czegoś możemy przypadkiem potrzebować. Nasza przestrzeń załadunkowa jest zmniejszona, załoga nie ma miejsca do poruszania się, a większość tych rzeczy i tak nigdy nie zostaje użyta.

- Oczywiście z wyjątkiem tych momentów - powiedział sarkastycznie Gregor - kiedy niektóre zapasy po prostu ratują nam życie.

- I to wziąłem pod uwagę. Zastanawiałem się nad tym poważnie. I dzięki łutowi szczęścia znalazłem ten jeden jedyny przyrząd niezbędny dla naszej ekspedycji.

Gregor wstał i o mało nie rzucił się na swojego współnika; lecz po chwili opanował się i usiadł.

- Nie mam pojęcia, coś wyrabiał. Ale radzę ci, postaraj się o te dwa tysiące trzysta artykułów, które tutaj są wymienione, i to jak najszybciej.

- Nic się nie da zrobić - odparł Arnold z nerwowym uśmiechem.

- Wydałem całą forszę. Ale ten sprawunek zapłaci sam za siebie.

- Jaki?

- Chodź ze mną na statek.

Gregor nie mógł wydobyć z niego ani jednego słowa więcej podczas całogodzinnej drogi do portu międzyplanetarnego w Idlewild. Statek stał już gotów na wyrzutni; był przygotowany do odjazdu, mającego nastąpić za kilka godzin.

- Patrz! Oto jest materializacja marzeń członków wszystkich ekspedycji międzyplanetarnych.

Gregor wszedł do środka. Ujrzał tam dużą, fantastycznie wyglądającą maszynę z zegarem, światełkami i wskazówkami rozsianymi po całej niemal powierzchni.

- Powiedz sam, czy nie jest piękna? - Arnold pogłaskał maszynę pieszczotliwie. - Znalazłem ją w sklepie ze złomem międzyplanetarnym. Oddali ją po prostu za grosze.

Gregor poruszył się niecierpliwie.

- Poczekaj! - rzekł Arnold. - Pozwól, niech ci pokażę. Bo zastanów się tylko - lecimy w przestrzeni... automatyczny kierunkowskaz wysiada. Okazuje się, że ćwierćcalowa nakrętka z

trzeciego kółka zębatego jest do niczego. Nie możemy znaleźć nakrętki. Cóż wtedy czynimy?

- Wyciągamy nową nakrętkę spośród dwóch tysięcy trzystu artykułów, jakie zabraliśmy ze sobą właśnie na takie wypadki - odparł Gregor.

- Tak, tak. Tylko że na naszej liście nie ma ćwierćcalowych nakrętek duraluminiowych! - zawołał triumfalnie Arnold. - Sprawdziłem listę. Cóż wtedy?

- Nie mam pojęcia i bardzo jestem ciekaw.

Arnold podszedł do maszyny, nacisnął guzik i powiedział głośno i wyraźnie:

- Nakrętka duraluminiowa, gwint jedna czwarta cala. Maszyna mruknęła, szcęknęła, zapaliło się kilka światełek, po czym ze środka wysunęła się niewielka tacka ze spoczywającą na niej nowiutką, świeżo wykonaną ćwierćcalową nakrętką duraluminiową.

- To właśnie robimy w takim przypadku - powiedział Arnold.

Na Gregorze nie wywarło to zbyt wielkiego wrażenia.

- A więc ta maszyna wykonuje nakrętki. Cóż jeszcze?

Arnold nacisnął guzik.

- Funt szyjek rakowych - powiedział.

Gdy wyciągnął z powrotem tackę, leżały na niej szyjki rakowe.

- Powinieneś kazać obrać - dodał Arnold. - Ale zresztą - machnął ręką i nacisnął guzik. - Bolec grafitowy długości czterech stóp, średnica dwa cale.

Otwór automatu rozchylił się tym razem szerzej, aby przepuścić żądany bolec.

- Co jeszcze potrafi ta maszyna wykonać? - zapytał Gregor.

- A cóż byś jeszcze chciał? Małego żywego tygrysa? Karburator model A? A może dwudziestopięciowatową żarówkę? Czy kawałek gumy do żucia?

- Chcesz przez to powiedzieć, że ta maszyna wykona wszystko, czego od niej żądamy? - zapytał Gregor.

- Wszystko absolutnie. To jest konfigurator. Zresztą spróbuj sam.

Gregor spróbował i otrzymał szybko litr świeżej wody, zegarek na rękę i słoik sarepskiej musztardy.

- Hmm... - mruknął.

- A więc widzisz. Czy to nie lepiej, niż obciążać statek dwoma tysiącami niepotrzebnych rzeczy?

Gregor nie był jednak zupełnie przekonany. Doświadczenie mówiło mu, że różne przyrządy nie zawsze i nie w każdej okoliczności działają tak, jak się tego od nich oczekuje. Zastanowił się chwilę, po czym podszedł do maszyny i nacisnął guzik.

- Tranzystor seria GE 1324 E.

Maszyna poszła w ruch, mruknęła i po chwili wyrzuciła maleńki tranzystor.

- Wygląda całkiem nieźle - przyznał wreszcie Gregor. - Co robisz?

- Obieram raki! - odparł Arnold.

Po spożyciu porcji szyjek obaj podróżnicy uzgodnili z kierownictwem portu godzinę odlotu i po godzinie wznieśli się w przestrzeń.

Celu ich podróży był Dennett IV, średniej wielkości planeta w grupie Sycophaxa. Dennett IV był dość gorącą i żyzną planetą, miał tylko jedną wadę: zbyt wielkie opady deszczowe. Deszcz padał tam praktycznie bez Przerwy.

Na szczęście technika zmieniania klimatu była już tak dobrze znana, że uczynienie z Dennetta IV krainy słońca mogło zająć naszym dwóm przyjaciołom kilka zaledwie dni. Podróż przebiegała spokojnie. Gdy planeta zjawiała się w wizjerze, Arnold wyłączył automatyczne sterowanie i skierował statek w dół, prosto przez grube zwały chmur. Spadali przez dziesiątki kilometrów w białej puchowej mgle. Wreszcie zaczęły się zjawiać szczyty górskie, a na koniec podróżnicy ujrzeli pustą gładką równinę.

- Dziwny kolor ma ten krajobraz - zauważył Gregor.

Arnold skinął głową. Z nabraną przez lata rutyną wprowadził statek w spiralę, wyrównał, spokojnie wprowadził go na równinę i wyłączył motor.

Gregora nagle coś tknęło.

- Do góry! Poderwij do góry! - zawołał.

Reagując instynktownie, Arnold nacisnął guzik uruchamiający odrzutowe motory, lecz było już za późno. Statek Zawisnął na chwilę w powietrzu, po czym opadł poprzez równinę i dopiero kilka metrów niżej uderzył o ziemię.

Równina - jak się okazało - była mgłą tak gęstą, jaka się zdarzała tylko na Dennecie IV.

Podróżnicy wyswobodzili się z kabiny i sprawdzili najpierw całość swych własnych osób. Stwierdziwszy, że nic im się nie stało, poczęli przeglądać statek.

Impet upadku nie wpłynął, oczywiście, dobrze na pojazd. Radio i aparat automatycznego sterowania były zupełnie zrujnowane. W tym ostatnim zwłaszcza uległo zniszczeniu kilka bardzo delikatnych części.

- No, mieliśmy dużo szczęścia - powiedział Arnold.

- Tak - odrzekł bez przekonania Gregor. - Ale następnym razem lądujemy z radarem.

- W pewnym sensie jestem zadowolony z tego, co się stało - powiedział Arnold. - Teraz zobaczysz, jakie usługi może nam oddać konfigurator. Zabieramy się do roboty.

Sporządzili spis wszystkich uszkodzonych części. Arnold podszedł do Konfiguratora, nacisnął guzik i powiedział: - Płytką, powierzchnia cztery cale kwadratowe, grubość pół cala, stop stalowy numer 342.

Maszyna momentalnie dostarczyła żądaną płytkę.

- Potrzebujemy takich dziesięć - powiedział Gregor. - Wiem. - Arnold znów nacisnął guzik. - Jeszcze jedną proszę.

Maszyna nie zareagowała.

- Pewnie trzeba powtórzyć całe polecenie - powiedział Arnold. Nacisnął guzik jeszcze raz i rzekł: - Płytką, powierzchnia cztery cale kwadratowe, grubość pół cala, stop stalowy numer 342.

Maszyna milczała.

- To dziwne - powiedział Arnold.

- Prawda? - Gregor poczuł przykre gniewienie w dołku.

Arnold spróbował jeszcze raz - bez skutku. Chwilę zastanawiał się głęboko, po czym nacisnął guzik i powiedział:

- Plastikowy kubek do mycia zębów.

Maszyna wyrzuciła piękny kubek w jasnoniebieskim kolorze.

- Jeszcze jeden - rozkazał Arnold. Gdy konfigurator stał spokojnie, Arnold zażądał woskowej kredki. Maszyna wyrzuciła żądany przedmiot. - Jeszcze jedną woskową kredkę. - Maszyna milczała.

- To ciekawe. Zdaje mi się, że ktoś powinien był pomyśleć o takiej ewentualności.

- O jakiej ewentualności?

- Najwidoczniej konfigurator potrafi wykonać wszystko - powiedział Arnold. - Ale tylko raz.

- A to doskonale. Potrzebujemy jeszcze dziewięciu płytek. A automatyczne sterowanie wymaga czterech identycznych części. Co teraz poczniemy?

- Trzeba będzie coś wymyślić.

- Mam nadzieję - powiedział Gregor.

Spadła kolejna ulewa. Podróżnicy poczęli się intensywnie zastanawiać.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie - powiedział Arnold po kilku godzinach. - Zasada przyjemności i nudy.

- Co? - zapytał Gregor. Słowa Arnolda obudziły go z drzemki.

- Ta maszyna musi mieć rodzaj inteligencji - rzekł Arnold. - Otrzymuje bodźce, sama je przetwarza w polecenia wytwórcze i wykonuje przedmioty z czegoś, co nazwałbym intelektualnym rysunkiem technicznym.

- Tak jest. Wszystko racja. Ale tylko raz.

- Tak. A dlaczego tylko raz? To jest klucz do naszych trudności. Mam wrażenie, że chodzi tu o jakieś ograniczenie połączone z pędem do zaspokojenia przyjemności.

- Nie bardzo rozumiem.

- Słuchaj uważnie. Konstruktorzy na pewno umyślnie nie ograniczyliby aparatu w ten sposób. Nasuwa się jedyne wyjaśnienie: gdy maszyna jest skonstruowana w sposób tak skomplikowany, nabiera częściowo ludzkich cech. Uzyskuje jakiś

rodzaj mechanicznej przyjemności z wyprodukowania nowego przedmiotu. Lecz przedmiot jest nowy tylko raz. Potem konfigurator chce robić coś nowego.

Gregor zapadł ponownie w apatyczny półsen.

Arnold mówił dalej:

- Pełne zadowolenie, pełne wykorzystanie potencjalnych możliwości - oto czego pragnie maszyna. Pragnieniem konfiguratora jest tworzenie wszystkiego co możliwe. Z tego punktu widzenia powtórzenie jest stratą czasu i powoduje nudę.

- To najdziwniejszy sposób rozumowania, jaki kiedykolwiek słyszałem - powiedział Gregor. - Ale przypuśćmy, że masz rację, cóż możemy począć?

- Nie mam pojęcia.

- Tak właśnie myślałem.

Na kolację tego wieczoru Konfigurator wyprodukował bardzo przyzwoity kawałek rostbefu. Na deser podróżnicy zjedli szarlotkę i kawałek ostrego francuskiego sera. Posiłek bardzo podniósł ich samopoczucie.

- Materiały zastępcze - rzekł Gregor puszczając dym z konfiguratorowego cygara. - Tego powinniśmy spróbować. Stop numer 342 nie jest jedynym materiałem, jakiego możemy używać do tych płytek. Istnieje całe mnóstwo innych surowców, które wytrzymują podróż na Ziemię.

Jednak nie można było nabrać konfiguratora na to, by wyprodukował płytkę z żelaza czy też jakiegokolwiek stali. Zażądali i otrzymali płytkę z brązu. Lecz maszyna odmówiła potem wykonania płytki z miedzi lub cyny. Następnie zamówili płytki z aluminium, z kadmu, platyny, złota i srebra. Potem przypomnieli sobie tungsten. Arnold był ciekaw, w jaki sposób maszyna wykonała to zamówienie. Gregor sprzeciwił się plutonowi i zaczynało im już brakować materiałów. Arnoldowi przypomniło się, że niezłym materiałem zastępczym będzie twarda płytka ceramiczna. Wreszcie ostatnią płytkę zamówili z czystego cynku.

Wprawdzie szlachetne metale będą miały tendencje do topienia się podczas podróży, lecz przy zastosowaniu odpowiedniego

chłodzenia mogą wytrwać aż do powrotu na Ziemię. W sumie odwalili tej nocy kawał roboty. Toteż z nową nadzieją wzniesli toasty kielichami z doskonałym sherry, zatracającym lekko olejem.

Następnego dnia wspólnicy zamocowali płytki na miejscu i przyjrzeni się swojej pracy. Rufa okrętu przypominała pocerowaną pończochę.

- Wygląda dosyć ładnie - zauważył Arnold.

- Mam nadzieję, że wytrzyma - powiedział Gregor. No, a teraz trzeba dorobić części do aparatu automatycznego sterowania.

Ale to była już zupełnie inna sprawa. Brak było czterech jednakowych, delikatnych, precyzyjnie wykonanych przyrządów ze szkła i cieniutkiego drutu. Tu nie można było stosować materiałów zastępczych.

Konfigurator wykonał pierwszą część bez wahania. Ale to było wszystko. Około południa podróżnicy stracili ochotę do dalszych prób.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał Gregor.

- Nie w tej chwili. Zróbmy przerwę obiadową.

Zdecydowali, że najchętniej zjedzą sałatkę z krabów i wydali odpowiedni rozkaz maszynie. Konfigurator pomruczał przez chwilę, lecz nie wyprodukował nic.

- O co chodzi? - Gregor spojrzał pytająco na maszynę.

- Tego się bałem - powiedział Arnold.

- Czego? Przecież nie zamawialiśmy do tej pory krabów. - Nie. Ale żądaliśmy raków. Obawiam się, że konfigurator podejmuje decyzje zależnie od klas i gatunków. - No to trzeba otworzyć kilka puszek.

Arnold uśmiechnął się niewyraźnie.

- Gdy już kupiłem konfigurator, sądziłem, że nie będziemy musieli...

- Nie ma konserw? - Nie.

Powrócili do maszyny i zażądali łososia, tuńczyka i węgorza - bez rezultatu. Następnie spróbowali pieczonej wieprzowiny, baraniny i cielęciny. Nic.

- Boję się, że nasz konfigurator uważa rostbef za reprezentatywny dla wszystkich ssaków - powiedział Arnold.

- To ciekawe. Będziemy mogli tu rozwinąć całą nową teorię gatunków...

- Umierając z głodu - przerwał Gregor. Spróbował zamówić pieczoną kurę - i tym razem konfigurator wykonał polecenie natychmiast.

- Eureka! - wykrzyknął Arnold.

- Do diabła! - zaklął Gregor. - Powinienem był zażądać indyka, dużego indyka.

Deszcz padał dalej i woda ściekała po wielokolorowej rufie statku. Arnold usiadł w kącie i długo coś kombinował. Gregor dopił sherry, spróbował bez powodzenia zamówić butelkę szkockiej whisky i począł rozkładać pasjansa. Podczas tego zajęcia najlepiej mu się myślało.

Na kolację zjedli resztki kury, a następnie Arnold dokończył swe rachunki.

- Tak, z tego coś może być - powiedział wreszcie.

- Z czego?

- Zasada przyjemności i nudy.

Arnold wstał i począł się przechadzać po kabinie tam i na powrót.

- Ta maszyna ma quasi-ludzkie cechy. Niewątpliwie potrafi się uczyć. Sądzę, że potrafimy ją nauczyć doznawania przyjemności z produkowania tego samego przedmiotu wielokrotnie. A mianowicie części do mechanizmu automatycznego sterowania.

- Warto spróbować - zgodził się Gregor.

Do późnej nocy obaj podróżnicy pouczali łagodnym głosem maszynę. Arnold przekonywał ją o radości, jaką może dać powtarzanie. Gregor wyrażał się z uznaniem o wrażeniach estetycznych, czerpanych z produkowania tak pięknych obiektów, jak części do mechanizmu automatycznego sterowania i to w kilku identycznych egzemplarzach.

Konfigurator zapalał i gasił lampki, szczękał zębami kółkami pokazując w ten sposób, że słucha uważnie. I gdy wreszcie noc

ustąpiła blademu świtowi, Arnold nacisnął guzik i wydał polecenie wykonania części do mechanizmu sterującego.

Maszyna się zawahała. Światła migotały niepewnie, wskazówki zegarów poczęły błędzić po skalach. Konfigurator wyraźnie się zastanawiał. Wreszcie aparat szczęknął i - wyrzucił jeszcze jedną żadaną część.

- Brawo! - zawołał Gregor i poklepał mocno po plecach Arnolda. Następnie szybko powtórzył swój rozkaz. Lecz konfigurator długo i przeciągle zamruczał i nie wyprodukował nic.

Gregor spróbował jeszcze raz, lecz tym razem maszyna nawet się nie zawahała, lecz stała spokojnie.

- Co się tam teraz zepsuło? - zapytał Gregor.

- Jasna rzecz - powiedział smutno Arnold. - Konfigurator zdecydował się spróbować powtórzenia, po prostu, żeby się przekonać, jak to wygląda. Lecz po tej próbie przestało mu się to podobać.

- Maszyna, która nie lubi powtarzać! - zawołał Gregor. - To nieludzkie!

- Przeciwnie, to jak najbardziej ludzkie!

Przyszła pora kolacji i partnerzy musieli się dobrze napocić, zanim wymyślili potrawy, które aparat zechciałby wyprodukować. Bukiet z jarzyn byłby najłatwiejszym rozwiązaniem, lecz było to danie mało pożywne. Udało im się uzyskać jeden bochenek chleba, lecz już nie ciasto. Wszystkie produkty mleczne były wykluczone, ponieważ kilka dni temu jedli ser.

Wreszcie, po godzinnych próbach, konfigurator dał im porcję wielorybiego mięsa.

Po posiłku Gregor ponownie rozpoczął wygłaszać przemówienia na temat rozkoszy powtarzania. Stały pomruk i błyskanie świateł wskazywały, że konfigurator słuchał z uwagą. Był to dobry znak.

Wilgoć zaczynała się wkradać do kabiny statku. Części stalowe pokryła rdza, a na ubraniach podróżników zjawiała się pleśń.

Na następny posiłek nic nie mogli wymyślić.

Wówczas Gregor wpadł na pewien pomysł. Powoli zbliżył się do konfiguratora. Arnold podniósł głowę, przerażony dzikim blaskiem oczu towarzysza.

- Gregor! Co chcesz zrobić?

- Mam zamiar wydać tej maszynie ostatni rozkaz. Drżącą ręką Gregor nacisnął guziczek i szepnął swoje polecenie. Nastąpiła chwila ciszy. Nagle Arnold krzyknął:

- Cofnij się! Cofnij się!

Konfigurator począł drżeć i trząść się, wskazówki jak szalone biegały po tarczach, światełka zapalały się spazmatycznie.

- Co mu kazałeś wyprodukować? - zapytał Arnold. - Nie kazałem mu nic produkować - powiedział Gregor. - Kazałem mu się z r e p r o d u k o w a ć!

Konfiguratorem wstrząsały konwulsje i z maszyny począł wydobywać się czarny dym. Podróżnicy zakaszleli i poczęli się dusić.

Gdy dym się rozwiął, aparat stał w dalszym ciągu na swoim miejscu z popękaną farbą i pokrzywionymi częściami. A obok niego, błyszczący nowością, stał drugi konfigurator.

- Brawo! - Arnold nie posiadał się z radości. Uratowałeś nas.

- Żeby tylko to - powiedział z zadowoleniem Gregor. - To przedsięwzięcie przyniesie nam sławę i majątek. - To powiedziawszy obrócił się do nowego konfiguratora, nacisnął guzik i rozkazał: - Zreprodukcuj się!

W ciągu tygodnia Arnold, Gregor i trzy konfigulatory Zawinęli z powrotem do kosmoportu im. Kennedy'ego. Nie musieli już nic robić, tylko cierpliwie czekać na fortunę, która sama wpadnie im w ręce. Zaraz po wylądowaniu Arnold opuścił statek i złapał taksówkę. Pojechał najpierw na ulicę Canal, a potem do śródmieścia Nowego Jorku. Uwinął się szybko ze swoimi sprawami i po kilku godzinach był z powrotem na statku.

- Dobra, wszystko w porządku! - zawołał do Gregora. - Byłem u kilku jubilerów. Możemy sprzedać jakieś dwadzieścia dużych kamieni, ale bez robienia sensacji na rynku. A potem trzeba zmusić konfigulatory do produkcji platyny, przez pewien okres, a później... co u diabła?

Gregor popatrzył na niego kwaśno.

- Czy zauważyłeś jakieś zmiany?

- Mhm? - Arnold rozejrzał się po kabinie, rzucił okiem na Gregora i konfiguratory. W kabinie znajdowały się c z t e r y konfiguratory.

- Zmusiłeś je do wyprodukowania nowego? - spytał Arnold. - Nic nie szkodzi. Teraz niech produkują diamenty każdy z osobna.

- Jeszcze nie zrozumiałeś - powiedział Gregor ze smutkiem. - Spójrz.

Nacisnął guzik najbliższego konfiguratora i powiedział: "Diament". Konfigurator zaczął się trząść.

- Ty i ta twoja cholerna zasada przyjemności - jęknął Gregor. - Reprodukacja. Te przekłete maszyny oszalały na punkcie seksu!

Maszyna zatrzymała się i wyprodukowała następny konfigurator.

Najazd o świcie

System składał się z jedenastu planet i Dillon szybko stwierdził, że na zewnętrznych brak jest jakichkolwiek śladów życia. Czwarta planeta od słońca była niegdyś zamieszkana, a trzecia dopiero oczekiwała na mieszkańców. Tylko na drugiej - błękitnym globie z własnym księżycem - istniało rozumne życie i tam Dillon skierował swój statek.

Zbliżał się chyłkiem pod osłoną ciemności, prześlizgując się przez gęste, burzowe chmury, od których jego pojazd niewiele się różnił. Wylądował nie robiąc żadnego zamieszania, w sposób charakterystyczny dla Ziemiianina.

Jego statek osiadł na powierzchni planety godzinę przed świtem; w porze, gdy większość żywych stworzeń jest pogrążona we śnie. A przynajmniej tak mówił mu ojciec. Było to zgodne z wszelkimi

regułami sztuki inwazji; krwawo okupionej wiedzy o tym, jak przetrwać na obcych planetach.

- Jednak cała ta naukowa teoria jest zawodna - przypominał mu ojciec - ponieważ dotyczy czegoś zupełnie nieobliczalnego; inteligentnych istot.

Wygłosiwszy tę uwagę stary człowiek pokiwał sentencjonalnie głową.

- Pamiętaj, mój chłopcze - ciągnął dalej - można przewidzieć deszcz meteorów, nadejście ery lodowcowej czy wybuch supernowej. Cóż jednak można wiedzieć naprawdę o innej inteligentnej istocie?

Niewiele, stwierdził Dillon. Jednak wierzył w swoją młodość, spryt i zapał, a ponadto ufał technice inwazji. Dzięki niej Ziemianin mógł wywalczyć sobie prawo bytu w każdym środowisku, choćby nie wiem jak obcym i wrogim.

Od urodzenia uczono go, że życie to nieustanna walka. Dowiedział się, że Galaktyka jest wielka i nieprzyjazna, złożona głównie z żarzących się słońc i pustej przestrzeni

Jednak czasem spotyka się w niej planety, a na nich istoty o niezmiernie zróżnicowanych kształtach i rozmiarach, lecz pod pewnym względem podobne do siebie: jednakowo nienawidzące innych, odmiennych ras. Współpraca między rasami była niemożliwa. Chcąc żyć wśród nich, Ziemianin musiał zmobilizować cały swój spryt, odwagę i zręczność.

A nawet wtedy nie przeżyłby, gdyby nie wspomniała, ziemiska metoda inwazji.

Dillon był zdolnym studentem i z niecierpliwością oczekiwał na dzień, w którym stawi czoło swemu przeznaczeniu.

Zgłosił się na ochotnika, nie czekał, aż go powołają.

W końcu, tak samo jak miliony młodych ludzi przed nim, otrzymał własny statek i wyruszył w drogę, zostawiając za sobą małą, zatłoczoną Ziemię - na zawsze. Leciał, aż skończyło mu się paliwo. I wreszcie znalazł swoje przeznaczenie.

Jego statek wylądował na skraju dżungli, obok wioski o słomianych dachach, prawie zupełnie ukrytej w gęstwinie

Czekał w napięciu za pulpitem sterowniczym, aż nadszedł błądy świt, zaróżowiony łuną wschodzącego słońca. Nikt się nie pojawił, nie wybuchła żadna bomba, nie wystrzelono do niego żadnych pocisków. Musiał uznać, że udało mu się wylądować niepostrzeżenie.

Kiedy żółte słońce wychynęło zza horyzontu, Dillon wysiadł i ocenił sytuację. Zbadał powietrze, sprawdził ciężenie, oszacował zakres i natężenie promieniowania słonecznego, po czym ze smutkiem potrzęsł głową.

Podobnie jak większość planet w Galaktyce, ta również nie nadawała się do zamieszkania przez Ziemię. Miał może godzinę na zakończenie pierwszej fazy inwazji.

Wcisnął guzik na tablicy rozdzielczej i szybko odszedł. Za jego plecami statek rozpadł się w szary proch. Ranny wietrzyk rozwiął go i rozsypał nad dżunglą. Teraz Dillon nie miał już odwrotu. Ruszył ku wiosce.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdził, że kryte strzechą chaty zbudowano z drewna lub ręcznie ociosanego kamienia. Wyglądały na solidne i dostosowane do klimatu.

Nigdzie nie dostrzegł urządzeń energetycznych ani wyrobów przemysłowych. Zdecydował, że natknął się na prymitywną cywilizację, z opanowaniem której nie powinno być kłopotów.

Wyszedł z gąszczy i prawie zderzył się z obcym.

Spojrzeli na siebie. Obcy był dwunogi, znacznie wyższym od Ziemi, o sporej pojemności czaszki. Nosił tylko coś w rodzaju pasiastej spódnicy. Szare futro okrywało większość jasnobrązowej skóry. Nie zdradzał chęci do ucieczki.

-Ir tai! - powiedział, co Dillon przyjął za okrzyk zdumienia.

Rozejrzawszy się szybko dookoła stwierdził, że nikt inny nie odkrył jeszcze jego obecności. Spięty, pochylił się lekko.

- K, tal tai a.

Dillon skoczył jak gwałtownie rozprężająca się sprężyna. Obcy próbował uskoczyć, lecz Dillon przekreślił się w powietrzu jak kot i zdołał zacisnąć dłoń na jednej z kończyn napotkanego.

To wystarczyło. Kontakt fizyczny został nawiązany. Reszta powinna być łatwa.

Od setek lat katastrofalnie wysoki przyrost demograficzny zmuszał mieszkańców Ziemi do nieustającej migracji. Jednak zaledwie jedna na dziesięć tysięcy planet nadawała się do zasiedlenia. Próbowano zmienić środowisko tak, by planety odpowiadały ludzkim potrzebom, lub genetycznie przystosować człowieka do panujących na nich warunków. Jednak była jeszcze inna metoda, zapewniająca najlepsze wyniki przy minimum zachodu. Hipnotyczna projekcja własnej osobowości - zdolność, jaką w mniejszym lub większym stopniu posiadają wszystkie inteligentne istoty.

Ziemiańskie pielęgowali ją w sobie, ćwiczyli i potęgowali. Dzięki niej człowiek mógł żyć na każdej planecie, jeżeli tylko udało mu się opanować umysł jednego z jej mieszkańców. W ten sposób zyskiwał ciało dopasowane do środowiska oraz masę ciekawych i użytecznych wiadomości. Kiedy już się przystosował, wiedziony potrzebą współzawodnictwa zazwyczaj zajmował wysoką pozycję w hierarchii miejscowego społeczeństwa.

Była tylko jedna trudność: obcy zwykle niechętnie oddawali swoje ciała. I czasem potrafili sprawić trochę kłopotu.

Wniknąwszy, Dillon z głębokim żalem poczuł, że jego własne ciało natychmiast zwiotczało i skurczyło się. Po chwili miało zniknąć zupełnie, nie zostawiając żadnego śladu. Tylko on i jego ofiara będą wiedzieć, że inwazja miała miejsce.

A później tylko jeden z nich.

Teraz Dillon skoncentrował się na oczekującym go zadaniu. Bariery myślowe padały jedna po drugiej, gdy parł naprzód do centrum kryjącego podstawy samoświadomości. Jeżeli uda mu się wdrzeć do tej cytadeli i wyprzeć okupujące ego, bitwa będzie wygrana. Pospiesznie wznoszone barykady padały, wzięte szturmem. Przez chwilę myślał, że już pierwszy atak doprowadzi go do celu. Nagle zagubił się w szarej, bezpostaciowej mgle.

Obcy otrząsnął się z zaskoczenia. Dillon czuł rosnący opór.

Oczekiwała go zacięta walka. Rozpoczęli krótką rozmowę.

- Kim jesteś?

- Edward Dillon, z planety Ziemi. A ty?

- Arek. Nazywamy tę planetę K'egra. Czego tu szukasz, Dillon?

- Trochę przestrzeni życiowej, Arek - powiedział ze śmiechem Dillon. - Możesz mi jej użyczyć?

- No, niech mnie diabli... Wynoś się!

- Nie mogę - rzekł Dillon. - Nie mam dokąd iść. - Rozumiem. Ostro. Jednak jesteś tu nieproszonym gościem, naprawdę. I coś mi się wydaje, że chcesz nie tylko odrobiny miejsca do życia. Chcesz czegoś więcej, no nie?

- Muszę przejąć kontrolę. Nie ma innego wyjścia. Jednak jeżeli nie będziesz się opierał, to może zostawię ci trochę miejsca, chociaż to nie jest przyjęte.

- Nie jest?

- Jasne, że nie - odparł Dillon. - Współistnienie odmiennych istot jest niemożliwe. Silniejszy zawsze wypiera słabszego. Jednak może zechcę spróbować.

- Nie potrzebuję łaski - rzekł Arek i zerwał kontakt.

Otoczająca Dillona szarość zmieniła się w nieprzeniknioną czerń. Czekaając na zbliżającą się walkę, poczuł pierwsze rodzące się wątpliwości

Arek był prymitywną istotą. Nie miał żadnego doświadczenia w odpieraniu ataku myślowego. A jednak w lot zrozumiał sytuację, opanował się i przygotował do bitwy. Jego opór pewnie będzie słaby, ale mimo to...

Co to za stworzenie?

Stał na kamienistej wyżynie, otoczonej stromymi, poszarpanymi skałami. W oddali ciągnął się łańcuch wysokich, owianych niebieskawą mgiełką gór. Słońce świeciło mu prosto w oczy, a po zboczu pełzła powoli czarna plama.

Dillon kopnął i czekał, aż plama zmieni się w coś konkretnego. Takie były zasady walki - myśli przybierały określony kształt, wyobrażenia stawały się namacalne.

Plama zamieniła się w K'egranina. Olbrzymi wojownik o muskularnym, błyszczącym ciele wzniosł groźnie sztylet i miecz. Dillon cofnął się, unikając pierwszego ciosu.

Walka przebiegała w zwykły, łatwy do opanowania sposób. Obcy zwykle wywołują w swoich umysłach wyidealizowany wizerunek własnej postaci. Niezmiennie jest to superistota;

niezwyciężona, budząca lęk. Jednak z reguły taka postać jest obarczona jakąś słabością. Na tym Dillon opierał swoje rachuby. K'egranin runął na niego jak burza. Dillon zrobił unik, rzucił się na ziemię i kopnął obiema nogami, odsłaniając się ma moment. K'egranin próbował odparować cios i skontrolować, ale był zbyt powolny. Ciężkie buty Dillona z impetem wylądowały na jego brzuchu. Uradowany Ziemianin ruszył do ataku. Znalazł słaby punkt przeciwnika. Zanurkował pod wzniesione ramię, uchylił się przed spadającym ostrzem i zanim przeciwnik zdążył się zasłonić, precyzyjnie złamał mu kark dwoma uderzeniami kantem dłoni.

K'egranin upadł, aż zatrzęsała się ziemia. Dillon patrzył na jego śmierć z pewnym współczuciem. Wyidealizowana postać była większa od żywego wojownika, dzielniejsza i bardziej wytrzymała. Roztaczała aurę straszliwego majestatu i godności. Doskonale uosobienie siły, ale jako przeciwnik do niczego. Nadmiar godności wiązał się ze zwolnionym refleksem, a to oznaczało śmierć. Martwy gigant zniknął. Przez chwilę Dillon myślał, że już wygrał. Nagle usłyszał z tyłu cichy pomruk. Okręcił się na pięcie i zobaczył długie, przypląszczone cielsko. Czarne, przypominające pumę zwierzę wyszczerzyło kły i położyło uszy po sobie.

A więc Arek się nie poddał. Dillon wiedział, ile energii pochłania ten rodzaj walki. Niedługo siły obcego wyczerpią się, a wtedy...

Dillon podniósł miecz giganta i zaczął się cofać, aż plecami oparł się o skałę. Przed sobą miał niewysoki kamień, przez który puma musiała przeskoczyć. Słońce świeciło mu prosto w oczy, a słaby wietrzyk sypał w nie kurzem. Wzniósł miecz dokładnie w chwili, gdy zwierzę skoczyło.

W ciągu następnych, wolno płynących godzin, napotkał i pokonał co groźniejszych przedstawicieli k'egrańskiej fauny, radząc sobie z nimi tak samo, jak uczyniłby to z ich odpowiednikami na Ziemi. Nosorożec - a przynajmniej zwierzę bardzo do niego podobne - mimo swych rozmiarów i szybkości był łatwym przeciwnikiem. Dillon zdołał zwabić go nad urwisko i nakłonić do szarży. Kobra była groźniejsza i prawie udało jej się

trysnąć mu jadem w oczy, zanim przeciął ją na pół ostrzem miecza. Goryl był zwinny, silny i straszliwie szybki. Jednak nie zdołał schwycić człowieka w swój miażdżący uścisk. Nacierając i cofając się na przemian, Dillon porąbał go na kawałki. Tyranozaur miał gruby pancerz i niesłychaną wytrzymałość. Dopiero lawina go załatwiła. Dillon stracił rachunek; innych przeciwników. W końcu został na placu boju sam; chwiejąc się ze zmęczenia, z poszczerbionym kikutem miecza w dłoni.

- Masz dość, Dillon? - spytał Arek.

- Wcale nie - odparł Dillon spierzchniętymi z pragnienia wargami. - Nie możesz tego robić w nieskończoność. Nawet twoje siły muszą się w końcu wyczerpać.

- Naprawdę? - mruknął Arek.

- Nie zostało ci ich już wiele - ciągnął Dillon, próbując okazać pewność siebie, której nie czuł. - Czemu nie chcesz być rozsądny? Zostawię ci miejsce, naprawdę. Ja... no, mam dla ciebie coś w rodzaju szacunku.

- Dziękuję, Dillon - powiedział Arek. - Coś jakbym podzielał to uczucie. Słuchaj, jeżeli się poddasz...

- Nie - odparł Dillon. - Na moich warunkach.

- Dobrze - rzekł K'egranin. - Sam tego chciałeś!

- Dawaj, co tam masz - mruknął Dillon.

Skalista wyżyna zniknęła.

Stał po kolana w szarym bagnie. Otulone mchem, sękaty pnie wielkich drzew wznosiły się z nieruchomej, zielonej wody. Białe jak rybi brzuch lilie trzęsły się i kołysały, chociaż nawet najśłabszy podmuch wiatru nie przeleciał nad bagnem. Nad wodą wisiał ciężki, trupi opar przylegający do szorstkiej kory drzew. Dillon wyczuwał kłębiące się wokół życie, chociaż nie mógł niczego dosłyszeć ani dostrzec.

Czekał, rozglądając się powoli wokół siebie. Wciągnął w nozdrza zastale, ciężkie powietrze, grzebnął nogą w kleistej mazi, powąchał wydzielające woń rozkładu lilie. Nagle zrozumiał.

Takiego bagna nie było na K'egrze!

Wiedział, że się nie myli - mówiły mu o tym wszystkie zmysły. Ciężenie było inne, i powietrze także. Nawet błoto, w którym stał, nie przypominało k'egrańskiego.

Wynikające z tego wnioski przytłoczyły go na chwilę, uniemożliwiając sensowne wyjaśnienie tego faktu. Czyżby K'egrane potrafili podróżować w kosmosie? Niemożliwe! A więc skąd Arek mógł znać tak dobrze inną planetę? Może przeczytał, może wyobraził sobie albo...

Coś ciężkiego otarło się o bark Dillona. Zamyślił się tak głęboko, że kolejny atak go zaskoczył.

Próbował wprawdzie odskoczyć, ale utknął w gęstej mazi. Spadająca gałąź prawie go obaliła. Zobaczył, że wszystkie gigantyczne drzewa poczęły się chwiać i kołysać. Grube konary pękały i łamały się z trzaskiem, sypiąc się na niego jak deszcz.

A przecież nie powiał nawet leciutki wietrzyk.

Na wpół ogłuszony, z wysiłkiem brnął przez bagno, próbując znaleźć stały grunt i nie zadrzewioną przestrzeń. Jednak wielkie pnie wyrastały wszędzie, a bagnisko wydawało się nie mieć końca. Grad gałęzi padał coraz gęściej i Dillon na próżno rozglądał się na wszystkie strony szukając przeciwnika. Wokół rozciągało się tylko bezkresne bagno.

- Wyjdź i walcz! - wrzasnął Dillon. Upadł na kolana pod ciosem, podniósł się i znów upadł. Nagle, półprzytomny ze zmęczenia, znalazł wyjście z sytuacji.

Dobrnął do wielkiego drzewa i przywarł do niego całym ciałem. Konary dalej spadały, gałęzie smagały ze świstem powietrze, ale drzewo nie mogło go dosięgnąć. Był bezpieczny!

Nagle z przerażeniem stwierdził, że rosnące wokół lilie owijają swymi łodygami jego kostki. Próbował się uwolnić kopniakiem. Lilie, jak blade węże, owiły się jeszcze mocniej. Oswobodził się przecinając je mieczem i porzucił wątpliwe schronienie.

- Walcz ze mną! - zawył, obsypywany spadającymi gałęziami.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Lilie kołysały się na swoich łodyżkach, sięgając ku niemu łakomie. Nad głową usłyszał złowrogi łopot skrzydeł. Czarne wronce, zamieszkujące bagna, gęstą chmurą kołowały w powietrzu, czekając na nieunikniony

koniec. Zataczając się, Dillon poczuł, że coś ciepłego i ohydneho dotyka jego nogi.

Wtedy pojął, co musi zrobić.

Przez chwilę nabierał tchu, po czym rzucił się głową naprzód w brudnozieloną toń.

W ten samej chwili wszystko się uspokoiło. Gigantyczne drzewa stały nieruchomo na tle ciemnoszarego nieba. Lilie straciły zapach i zwisły bezwładnie na swoich łądyżkach. Biały opar wisiał nieruchomo, czepiając się szorstkiej kory pni, a ścierwojady odleciały cicho w bezkres nieba.

Przez chwilę na powierzchni bagna pokazywały się bąbelki. Później przestały.

Dillon wynurzył się, z trudem łapiąc powietrze, z głębokimi zadrapaniami na szyi i plecach. W rękach trzymał bezkształtne, przezroczyste stworzenie rządzące bagnem.

Dobrnął do drzewa i uderzył bezwładnym stworem o pień, miażdżąc kompletnie niekształtne ciało. Zrobiwszy to, usiadł ciężko.

Nigdy jeszcze nie był tak zmęczony i obolały ani tak przeświadczony o daremności wszelkich wysiłków. Czemu tak zażarcie walczy o życie, będące przecież czymś tak nieskończenie małym wobec ogromu wszechświata. Jakie znaczenie może mieć ta krótka chwila wobec wieczności krążących planet lub majestatycznego blasku dalekich gwiazd? Dillona zadziwił upór, z jakim kurczowo pragnął utrzymać się przy życiu.

Ciepła wody chlupotała wokół jego piersi. Życie, powiedział sobie Dillon, to zaledwie drobny okruch w porównaniu z ogromem martwej materii. Liczy się ilość, myślał, gdy woda sięgnęła mu po szyję. Czym jest życie w porównaniu z nieskończonością śmierci? Jeżeli martwota jest stanem naturalnym - pomyślał, gdy woda dotknęła mu podbródka - to życie jest chorobą, a jedynym na nią lekarstwem jest śmierć.

Tak, śmierć wydała mu się czymś przyjemnym. Woda sięgała mu już warg. Czuł się niewyobrażalnie zmęczony i obolały. Teraz tak dobrze byłoby poddać się, osunąć w...

- Świetnie - szepnął, podnosząc się na nogi. Świetnie, Arek. A może też jesteś zmęczony? Może zostało ci już niewiele więcej niż odrobina emocji?

Wokół zrobiło się ciemniej i coś zaczęło cicho szeptać Dillonowi do ucha; coś, co wyglądało jak maleńki sobowtór, skulony na ramieniu...

- Przecież są rzeczy gorsze od śmierci - mówił sobowtór. - Ukryte na samym dnie duszy, znienawidzone i godne pogardy uczucia, których istnienia nie da się jednak zaprzeczyć. Śmierć jest lepsza od uświadomienia sobie tego, Dillon. Śmierć staje się pożądana i niezwykle droga. Modlisz się o nią, wymyślasz sprytne plany napotkania jej - kiedy musisz stawić czoło prawdzie ukrytej na samym dnie twojej duszy.

Dillon próbował nie słuchać stworzenia, które tak bardzo było do niego podobne. Jednak sobowtór przyczepił się mocniej i wskazał palcem. Dillon zobaczył coś formującego się w mroku i rozpoznał to.

- Nie, Dillon! - prosił sobowtór. - Proszę, tylko nie to! Bądź dzielny, Dillon! Wybierz śmierć! Bądź śmiały, bądź odważny! Wiedz, kiedy lepiej umrzeć!

Patrząc na zbliżający się kształt Dillon poczuł ukłucie potwornego lęku. Zobaczył prawdę kryjącą się na dnie własnej duszy, zaznał przerażającej goryczy samouświadomienia.

- Szybko, Dillon! - krzyknął sobowtór. - Bądź silny, śmiały, bądź rzetelny! Umrzyj, dopóki jeszcze wiesz, kim jesteś!

I Dillon zapragnął umrzeć. Z głębokim westchnieniem ulgi rozluźnił się, chcąc dać umknąć świadomości...

I nie mógł.

- Pomóż mi! - wrzasnął.

- Nie mogę! - odkrzyknęło stworzenie. - Musisz to zrobić sam!

Dillon spróbował jeszcze raz. Kształt zbliżał się coraz bardziej. Daremnie prosił, błagał o śmierć - nie potrafił umrzeć. Pozostało mu tylko jedno. Zebrał wszystkie siły i rozpaczliwie rzucił się naprzód, na majaczący przed nim kształt.

Wszystko zniknęło.

Dopiero po chwili Dillon uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo minęło. Został sam na placu boju. Mimo wszystko wygrał!

Przed nim leżała opuszczona cytadela ego, oczekująca na zamieszkanie. Dillon poczuł przyływ szacunku dla biednego Arka. Walczył naprawdę dobrze i był godnym przeciwnikiem. Może mógłby mu zostawić trochę miejsca, gdyby Arek nie próbował...

- To bardzo miło z twojej strony, Dillon! - usłyszał. Nie miał czasu zareagować. Został pochwycony w uścisk tak silny, że myśl o jakimkolwiek oporze wydawała się śmieszna. Dopiero teraz poczuł prawdziwą moc umysłu K'egranina.

- Byłeś dobry, Dillon - rzekł Arek. - Nie musisz się wstydić swojej walki.

- Ale od początku nie miałem żadnych szans - dopowiedział Dillon.

- Tak, żadnych - odparł uprzejmie Arek. - Sądziłeś, że wasza ziemską metodą inwazji jest wyjątkowa. Większość młodych ras tak sądzi. Jednak K'egra to bardzo stara planeta i w swoim czasie przeżyliśmy wiele inwazji, zarówno fizycznych, jak i psychicznych. Tak więc dla nas to nic nowego.

- Bawiłeś się ze mną! - krzyknął Dillon.

- Chciałem się dowiedzieć, jaki jesteś - powiedział Arek.

- Pewnie jesteś zadowolony z siebie! Niezła zabawa. W porządku, skończmy z tym.

- W jaki sposób?

- Zabij mnie!

- Czemu miałbym to robić?

- Ponieważ... ponieważ coś innego mógłbyś zrobić? Czemu miałbyś mnie traktować inaczej niż tamtych najeźdźców?

- Niektórych z nich już spotkałeś, Dillon. Walczyłeś z Ethanem, który zamieszkiwał bagno swej rodzinnej planety, zanim zachciało mu się podróży. A małe stworzenie, które tak przekonująco szeptało ci do ucha, to Oolermik, który przybył tu niedawno, pełen zapału i energii tak jak ty.

- Ale...

- Przyjęliśmy ich, użyczyliśmy im miejsca i wykorzystaliśmy ich zdolności do uzupełnienia naszych. Razem jesteśmy czymś więcej, niż bylibyśmy osobno.

- Żyjecie razem? - wyszeptał Dillon. - W jednym ciele?

- Oczywiście. Dobre ciało to w Galaktyce rzadkość i nie można marnować okazji. Poznaj innych, Dillon.

Dillon znów zobaczył bezkształtne stworzenie z bagna, pokrytego łuskami Oolermika i tuzin innych.

- Przecież to niemożliwe! - wykrzyknął. - Obce rasy nie mogą żyć razem! Życie to walka i śmierć! To podstawowe prawo natury.

- Tylko we wczesnych stadiach rozwoju - odparł Arek. - Już dawno temu odkryliśmy, że współpraca oznacza przetrwanie i to w znacznie lepszych warunkach. Przyzwyczaisz się. Witamy w federacji, Dillon!

I wciąż oszołomiony Dillon wkroczył do cytadeli, by zamieszkać w niej wspólnie z licznymi przedstawicielami innych planet.

Ciało

Profesor Meyer otworzył oczy. Zobaczył trzech młodych specjalistów, pochylonych nad nim z wyrazem niepokoju. Pomyślał przede wszystkim, że trzeba być tak młodym jak oni, żeby odważyć się na przeprowadzenie takiej operacji. Młodym i nonszalanckim, przesiąkniętym wyłącznie teoretycznymi wiadomościami. Trzeba na to być precyzyjnym i niezawodnym jak automat, mieć stalowe nerwy i palce z żelaza.

Te myśli zafrapowały go do tego stopnia, że dopiero po dobrej chwili zdał sobie sprawę, że operacja się udała.

- Jak się pan czuje, panie profesorze?

- Wszystko jest w porządku?

- Może pan mówić?

Patrzyli na niego z niepokojem.

Profesor przełknął ślinę, dotknął swego nowego podniebienia końcem nowego języka, a potem rzekł drętwym głosem: - Myślę... zdaje mi się...

- W porządku! - wrzasnął Cassidy. - Feldman! Obudź się!

Feldman zeskoczył z polowego łóżka i zaczął gorączkowo szukać okularów.

- Już się zbudził?! Powiedział coś?!

- Tak, powiedział! Mówi jak anioł! Udało się! Feldman znalazł wreszcie okulary i podbiegł do stołu operacyjnego.

- Mógłby pan nam jeszcze coś powiedzieć, panie profesorze? Wszystko jedno co?

- Jestem... jestem...

- Mój Boże! - zawołał Feldman - chyba zemdleję. Tamci trzej wybuchnęli śmiechem. Otoczyli Feldmana i potężnie klepali go po plecach. Z kolei on się roześmiał, lecz śmiech przeszedł mu wkrótce w gwałtowny napad kaszlu.

- Dokąd poszedł Kent?! - zawołał Cassidy. - Powinien tu być. Dziesięć godzin siedziałem nad tym oscyloskopem. Ale dokąd on teraz polazł?

- Po sandwicze - wyjaśnił Lupowicz. - Jest! Kent! Kent! Udało się!

Wszedł Kent, obładowany dwiema papierowymi torbami, z połową sandwicza w ustach. Połknął go pośpiesznie.

- Powiedział coś? Co powiedział?

Za plecami Kenta rozległ się gwar. Z tuzin mężczyzn tłoczyło się po drzwiach.

- Każcie opróżnić salę! - zawołał Feldman. - Dzisiaj żadnych wywiadów. Gdzie ten cholerny policjant? Policjant torował sobie przejście wśród dziennikarzy i tarasował drzwi własnym ciałem.

- Słyszeliście, chłopcy, co wam powiedziano?

- To bezprawie! Profesor Meyer należy do świata! - Jakie były jego pierwsze słowa?

- Co powiedział?

- Naprawdę zamieniliście go w psa?

- Jakiej rasy?

- Może poruszać ogonem?

- Powiedział, że czuje się świetnie - oświadczył policjant, wciąż barykadując drzwi. - A teraz idźcie stąd!

Fotografowi udało się prześliznąć pod jego ramieniem. Spojrzał na profesora Meyera, rozciągniętego na stole operacyjnym i wybelkotał: "Rany boskie". Nastawił aparat. "Niech pan spojrzysz tutaj!"

Kent przesłonił ręką obiektyw w tej samej chwili, w której błysnął flesz.

- Co pan robi?! - zaprotestował fotograf.

- Niech się pan nie skarży, ma pan zdjęcie mojej ręki - sarkastycznie powiedział Kent. - Niech je pan powiększy i wystawi w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. A teraz wynoś się pan, jeśli chcesz mieć całe kości!

- Jazda, rozejść się! - surowo powtórzył policjant, odpychając dziennikarzy. Odwrócił się, żeby spojrzeć na profesora Meyera i mruknął, zamykając drzwi:

- Ojej! Nie mogę w to uwierzyć! Cassidy zaczął wrzeszczeć:

- Trzeba to uczcić!

- Zasłużyliśmy sobie!

Profesor Meyer uśmiechnął się - naturalnie wewnętrznie, bo jego zdolność wyrażania uczuć za pomocą gry rysów twarzy była teraz dość ograniczona.

Feldman zbliżył się do niego.

- Jak się pan czuje, panie profesorze?

- Czuję się zupełnie dobrze - z trudem wykrztusił Meyer, wciąż jeszcze nieprzyzwyczajony do nowego podniebienia. - Ale jestem trochę oszołomiony.

- Niczego pan nie żałuje?

- Nie wiem jeszcze - oświadczył Meyer. - Sprzeciwiałem się temu - w zasadzie, wie pan. Nikt nie jest niezastąpiony.

- Ale pan jest, panie profesorze - zaprotestował Feldman z żarliwym przekonaniem. - Słuchałem wszystkich pańskich wykładów. Nie roszczę sobie pretensji do zrozumienia nawet dziesiątej części tego, co pan mówił. Symbolika matematyki nie

jest dla mnie niczym, zamknięta księga, lecz wszystkie te zasady unifikacji...

- Proszę pana... - zaczął Meyer.

- Nie, proszę mi pozwolić mówić, profesorze - nastawał Feldman. - Podjął pan dzieło, gdzie najwybitniejsi je porzucili. Nikt inny nie potrafiłby go ukończyć, tylko pan! Nikt inny! Trzeba było absolutnie zapewnić panu kilka dodatkowych lat, wszelkimi środkami, jakimi wiedza może dysponować! Ubolewam tylko nad tym, że nie dało się dla pańskiej inteligencji wynaleźć godniejszej powłoki. Nie doszliśmy niestety jeszcze do możliwości eksperymentowania z innym ciałem ludzkim, a musieliśmy wyłączyć pierwotniaki...

- To nie ma żadnego znaczenia! - zapewniał Meyer. - Liczy się jedynie inteligencja. Jestem jeszcze trochę odurzony...

- Przypominam sobie pański ostatni wykład na uniwersytecie - ciągnął Feldman. - Sprawiał pan wrażenie takiego starca, profesorze! Chciało mi się płakać...! Patrzeć na pańskie ciało, tak zmęczone...

- Może pan się napije, profesorze? - spytał Cassidy, podając mu szklanę.

Meyer uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że w mojej nowej postaci nie bardzo się nadaję do korzystania z naczynia tego rodzaju. Może lepsza byłaby jakaś miseczka...

- To prawda! - przyznał Cassidy. - Miskę dla profesora proszę... Mój Boże! Mój Boże!...

- Zechce pan wybaczyć, profesorze - usprawiedliwiał się Feldman. - To był jednak dla nas olbrzymi wysiłek. Znajdujemy się w tej sali od tygodnia i żaden z nas w ciągu całego tego czasu nie spał dłużej niż cztery godziny. O mało nie straciliśmy pana, profesorze...

- Jest miska! Spodeczek pana profesora podany! powiedział Lupowicz. - Czego się pan napije, profesorze? Mamy whisky.

- Po prostu trochę wody - rzekł Meyer. - Czy sądzicie, że mógłbym teraz wstać?

- Jeśli pan to zrobi ostrożnie...

Lupowicz delikatnie go podniósł i postawił na ziemi. Meyer niezgrabnie zachwiał się na swych czterech łapach. Młodzi lekarze byli zachwyceni.

- Brawo!

- Myślę, że mogę od jutra zacząć trochę pracować. Oczywiście będę wyłącznie dyktował na magnetofon. Pojawi się na pewno jeszcze wiele innych problemów. Trzeba będzie podjąć różne decyzje w związku z faktem mojej metamorfozy. Nie mam jeszcze w tej chwili wyraźnych pomysłów...

- Ależ nie trzeba się spieszyć, ma pan mnóstwo czasu. - Och, przede wszystkim się nie spieszyć! Żebyśmy właśnie teraz pana nie stracili!

- Jakiego szumu narobi to w prasie!

- Sądzisz, że będzie lepiej, jeśli napiszemy wspólnie, czy też każdy napisze własną relację w ramach swej specjalności?

- Na pewno i jedno, i drugie! Oni nigdy nie będą mieli dosyć! Długo będzie się o tym mówiło...

- Czy moglibyście mi wskazać, gdzie są toalety? nieśmiało zapytał Meyer.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zakłopotani.

- Po co?

- Zamknij się, bałwanie! Tędy, panie profesorze. Otworzę panu drzwi.

Meyer, idąc za nogą młodego człowieka, zdawał sobie sprawę z łatwości poruszania się na czterech łapach. Gdy wrócił, lekarze z ożywieniem dyskutowali na temat technicznych aspektów tego przypadku.

- ...od wielu tysięcy lat...

- Nie zgadzam się z wami. To, co można było zrobić raz...

- Nie baw się w mędrca, pocziwcz. Dobrze wiesz, wszystko było dość przypadkowym połączeniem nie dających się przewidzieć czynników. Miało się szczęście, to wszystko...

- Nie masz prawa tak mówić. Niektóre z tych transformacji bioelektrycznych...

- Uwaga, oto on.

- Nie powinien jeszcze zbyt wiele chodzić...

- Nie jestem niemowlęciem - uciął profesor. - Jestem dość stary, żeby być waszym dziadkiem.

- Proszę nam wybaczyć, profesorze. Ale wydaje się, że lepiej by pan zrobił, gdyby się pan położył.

- Macie rację - przyznał profesor. - Nie czuję się jeszcze całkiem pewnie.

Kent podniósł go i położył na polowym łożku. - O tak! Dobrze panu?

Młodzi lekarze cisnęli się wokół niego, trzymając się za ramiona. Uśmiechali się, sprawiali wrażenie bardzo z siebie zadowolonych.

- Może pan sobie czegoś życzy?

- Prosimy tylko powiedzieć, zaraz panu przyniesiemy.

- O proszę, nalałem wody do pańskiej miseczki.

- Zostawimy panu przy łożku kilka sandwichów.

- Niech pan dobrze wypocznie - łagodnie powiedział Cassidy.

A potem, niechcący, jakby nieświadomie, pogłaskał długą, pokrytą jedwabistą sierścią głowę profesora Meyera. Feldman wykrzyknął coś bez związku.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się zakłopotany Cassidy.

- Musimy na siebie uważać!

- Wiem. Jestem zmęczony... Chcę powiedzieć, że on bardzo jest podobny do psa, że zapomina się...

- Wynoście się wszyscy! - ryknął Feldman. - Jazda! Wynoście się!

Wypchnął ich z pokoju i natychmiast wrócił do łożka profesora Meyera.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, profesorze?

Meyer zmusił się, żeby coś powiedzieć, aby się przekonać, że wciąż jeszcze jest człowiekiem. Ale słowa uwięzły mu w gardle.

- To się już nie powtórzy, profesorze. Może mi pan wierzyć. Jest pan... jest pan zawsze profesorem Meyerem!

Feldman naciągnął koc na drżące ciało profesora.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, usiłując nie patrzeć na zwierzę wstrząsane dreszczami. - Liczy się tylko inteligencja! Duch!

- Z pewnością - z trudem powiedział znakomity matematyk. - Ale... jeśli nie sprawi to panu różnicy... czy... czy mógłby pan pogłaskać mnie po głowie...?

Bunt łodzi ratunkowej

No, powiedzcie prawdę. Czy widzieliście kiedy wspanialsze silniki? - spytał Joe, międzygwiazdny handlarz starzyzną. I spójrzcie tylko na te serwa!

- Hm... - mruknął ostrożnie Gregor.

- I na kadłub - dodał miękko Joe. Poklepał czule lśniąca burtę łodzi. Co za szczęście, zdawał się mówić każdym z tych klepnięć, że ten pływający klejnot trafił się tu właśnie wtedy, gdy "As" potrzebuje łodzi ratunkowej. - Prezentuje się rzeczywiście nieźle - przyznał Joe z wystudiowaną miną człowieka, który właśnie się zakochał i ze wszystkich sił próbuje tego nie okazać. - Co o tym myślisz, Dick?

Richard Gregor nie odpowiedział. Łódź mu się podobała i odniósł wrażenie, że idealnie nadawała się do prac oceanograficznych na Tridencie. Ale do towaru Joego należało podchodzić z rezerwą.

- Dziś już takich po prostu nie budują - westchnął Joe. - Spójrzcie na blok napędowy. Nie przedziurawi go nawet młotem spadowym. Zobaczcie, jaka wydajność układu chłodzenia. Przyjrzyjcie się...

- Ona naprawdę w y g l ą d a nieźle... - powiedział powoli Gregor. Międzyplanetarna Służba Asenizacyjna "As" miewała już do czynienia z Joem i nauczyło ją to ostrożności. Wcale nie dlatego, że Joe był nieuczciwy; skądże znowu. Rupiecie gromadzone przez niego ze wszystkich zakątków zamieszkanego wszechświata działały. Ale te starożytne maszyny miewały często swoje własne poglądy na to, jak powinna być wykonana robota, a

zmuszane do zmiany utartych przyzwyczajzeń, bywały zrzędlawe i skore do popadania w irytację.

- ...ale dla mnie nie musi ona być ani piękna, ani wytrzymała, czy nawet wygodna - ciągnął prowokująco Gregor. - Chcę mieć za to absolutną pewność, że jest bezpieczna.

Joe skinął głową.

- To oczywiście sprawa podstawowa - powiedział. Wejźmy do środka.

Przez wąskie drzwi przesunęli się do kabiny. Joe podszedł do tablicy kontrolnej i uśmiechając się tajemniczo, nacisnął jeden z klawiszy.

W tej samej chwili Gregor usłyszał jakiś głos, który zdawał się rozlegać we wnętrzu jego głowy:

- Jestem łódź ratunkowa 342-A. Moim podstawowym zadaniem...

- Telepatia? - przerwał Gregor.

- Bezpośredni przekaz zapisu - odparł Joe, uśmiechając się ponownie, tym razem z widoczną dumą. - W ten sposób nie ma żadnych barier językowych. Mówiłem wam, że dziś się już takich nie buduje.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - podjęła swój przekaz maszyna.

- Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelakim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W tej chwili jestem uruchomiona tylko częściowo.

- Czy może być coś bezpieczniejszego?! - zawołał Joe. - To nie jest żadna nieczuła bryła metalu. Ta łódź będzie się wami opiekowała. Ona o was z a d b a!

Słowa łodzi wywarły na Gregorze silne wrażenie, choć sama myśl o korzystaniu z łodzi wyposażonej w zdolność odczuwania napełniła go czymś w rodzaju obrzydzenia. Ale też takie paternalistyczne gadgety zawsze go irytowały.

Arnold nie miał żadnych podobnych odczuć. - Weźmiemy ją! - wykrzyknął.

- I nie będziecie tego żałować - pochwalił tę decyzję Joe, a w jego głosie zadźwięczała ta sama szczerą i otwartą nutą, która wybitnie dopomogła mu w zbiciu wielu z jego milionów.

I Gregor miał nadzieję, że nie będą żałować. Następnego dnia ŁR-342-A została załadowana na pokład ich statku kosmicznego, który niezwłocznie odpalił w kierunku Tridentu.

Planeta Trident, położona w samym środku Doliny Wschodniej Gwiazdy, została ostatnio zakupiona przez spekulanta nieruchomości, który uznał ją za niemal idealną do kolonizacji. Wielkością przypominała Marsa, lecz panujący na niej klimat o wiele bardziej sprzyjał prowadzeniu akcji zasiedlania. Nie posiadała żadnej tubylczej ludności, którą trzeba byłoby wypierać, żadnych trujących roślin, żadnych bakterii chorobotwórczych. I w przeciwieństwie do wielu światów, na Tridencie nie było drapieżnych zwierząt. Prawdę mówiąc, nie było na nim w ogóle żadnych zwierząt. Poza jedną małą wyspą i czapą polarną całą powierzchnię planety pokrywał jeden wielki ocean.

Niemniej brak łądów był w znacznej mierze czysto pozorny; wiele mór Tridentu można byłoby przejść bród. Łądy po prostu nie wypiętrzały się jak trzeba.

Eksperci "As" uzyskali zlecenie na skorygowanie tej drobnej usterki.

Natychmiast po wylądowaniu na jedynej wyspie Tridentu przystąpiono do spuszczenia łodzi na wodę. Pozostałą część dnia zajęło sprawdzenie i przenoszenie na jej pokład specjalnej aparatury pomiarowo-badawczej. Wczesnym rankiem następnego dnia Gregor przygotował kanapki i napełnił wodą manierkę. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia prac.

Odczepiwszy liny cumownicze, Gregor zszedł do Arnolda, do kabiny łodzi. Z przesadnym namaszczeniem Arnold wcisnął pierwszy guzik.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - nadała telepatycznie łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest ochrona przed wszelkim niebezpieczeństwem i zachowanie w pełnym zdrowiu tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. W chwili obecnej jestem

uruchomiona tylko częściowo. Dla uzyskania pełnego rozruchu proszę wcisnąć klawisz oznaczony numerem dwa.

Gregor dotknął drugiego przycisku.

Gdzieś we wnętrzu łodzi rozległ się stłumiony chrobot. Poza tym nie nastąpiło zupełnie nic.

- To dziwne - powiedział Gregor. Ponownie wcisnął klawisz i ponownie odpowiedział mu jedynie stłumiony brzęk.

- Na moje ucho to coś jakby zwarcie - postawił diagnozę Arnold. Spoglądając przez bulaj, Gregor zobaczył oddalający się z wolna brzeg wyspy. Poczuł, że oblatuje go strach - na tej planecie było tak wiele wody, a tak mało lądu. Co gorsza, żadne z urządzeń kontrolnych na płycie rozdzielczej nie przypominało w niczym koła sterowego czy rumpla, żadne nie wyglądało na sprzęgło ani na dźwignię gazu. Jak, u licha, prowadzi się "częściowo uruchomioną" łódź?

- Musi być sterowana telepatycznie - orzekł w końcu z nadzieją w głosie, po czym dodał już bardziej stanowczo:

- Powoli naprzód.

Mała łódź ruszyła przed siebie.

- Teraz trochę w prawo.

Łódź idealnie reagowała na jasne, choć niezbyt żeglarskie komendy Gregora. Wspólnicy wymienili uśmiechy.

- Wyprostuj - rozkazał Gregor - i ruszaj pełnym gazem naprzód.

Łódź pomknęła przez rozmigotane, puste morze.

Uzbrojony w latarkę i próbnik do sprawdzania obwodów, Arnold zniknął w luku prowadzącym do maszynowni łodzi. Prowadzenie badań było na tyle proste, że Gregor mógł sobie doskonale radzić w pojedynkę. Wszystkie prace wykonywały maszyny, same kreśląc mapę dna morskiego, zaznaczając na niej przebieg ważniejszych uskocków i lokalizację najbardziej obiecujących wulkanów, a także kierunki prądów morskich i pionowe ukształtowanie wypiętrzeń. Po zakończeniu prac przygotowawczych następny etap robót miał zostać zlecony podwykonawcy. To on odrutuje wulkany, obsieje uskoki, po czym, z bezpiecznej odległości, naciśnie odpowiedni guzik.

I wtedy na pewien czas Trident stanie się miejscem ogromnie hałaśliwym. A później, wraz z powrotem ciszy, planeta będzie miała już dość suchego lądu, by zadowolić nawet najwybredniejszego handlarza nieruchomościami.

Wczesnym popołudniem Gregor uznał, że jak na pierwszy dzień, wykonali już dość prac kartograficznych. Zjedli z Arnoldem kanapki i popili je wodą z manierki. Potem zażyli krótkiej kąpieli w krystalicznie czystych zielonkawych falach Tridentu.

- Chyba już wiem, w czym problem - powiedział Arnold. - Ktoś usunął doprowadzenia do głównych aktywatorów. I przeciął kabel odprowadzający energię.

- A po co miałyby to robić? - zdziwił się Gregor. Arnold wzruszył ramionami.

- Może to jeden z elementów rozbrojenia łodzi zasugerował. - Naprawa nie zajmie mi dużo czasu. Wczołgał się z powrotem do maszynowni.

Gregor zawrócił telepatycznie łódź w kierunku wyspy, obserwując, jak jej dziób tnie rażno fale, zmieniając je w dwie wstęgi zielonkawej piany. W chwilach takich jak ta, wbrew wszystkim doświadczeniom przeszłości, wszechświat wydawał mu się miejscem pięknym i przyjaznym.

Pół godziny później Arnold wyłonił się z luku, umorusany smarem, lecz z triumfem w oczach.

- Wypróbuj ten klawisz teraz - powiedział.

- Przecież jesteśmy już prawie u brzegów wyspy.

- No to co? Nie zaszkodzi doprowadzić tę łódź do pełnej sprawności.

Gregor skinął głową i wcisnął drugi klawisz.

Usłyszeli serię delikatnych piknięć towarzyszących włączaniu się obwodów, a potem pomruk kilku podejmujących pracę urządzeń. Jakieś światło błysnęło ostrą czerwienią i mrugnawszy kilka razy, niemal natychmiast zgasło, dając znać, że zasilanie przejęły generatory.

- No, tak już lepiej - powiedział Arnold.

- Jestem łódź ratunkowa 342-A - oznajmiła telepatycznie łódź. - W tej chwili jestem już w pełni uruchomiona i mogę chronić tych, którzy znajdują się na moim pokładzie. Zaufajcie mi. Moje taśmy akcyjno-reakcyjne, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, zostały przygotowane przez najtęższe umysły naukowe Dromy.

- Człowiek zaraz czuje się znacznie pewniej, nie uważasz? - spytał Arnold. - Tylko co to takiego ta Droma?

- Panowie - ciągnęła łódź - spróbujcie myśleć o mnie nie jak o bezdusznej maszynie, lecz jak o swoim przyjacielu i towarzyszu broni. Wiem, co czujecie. Byliście świadkami zatonięcia własnego statku, podziurawionego jak rzeszoto przez bezlitosnych i nieprzejednanych H'genów. Ostatekiem sił wczołgaliście się...

- Jakiego statku? - spytał Gregor. - O czym ona mówi?

- ...wczołgaliście się na mój pokład, na wpół uduszeni zabójczymi oparami wody, ledwie żywi...

- Chodzi ci o tę paszę małą kąpiel? - spytał Arnold. Wszystko ci się pomieszało. Prowadzimy tutaj prace oceanograficzne i...

- ...ledwie żywi od doznanego szoku, z podupadłym morale - dokończyła łódź. - Być może jesteście trochę przestraszeni - dodała już znacznie łagodniej. - Jeśli tak, to macie do tego absolutne prawo, pozbawieni kontaktu z flotą Dromy, rzućni na łaskę fal morza obcej planety, planety o tak surowym klimacie. Tej odrobiny strachu nie należy się wstydzić, panowie. Ale to jest wojna, a wojna to okrutna rzecz. Nie mamy po prostu innego wyjścia, jak odeprzeć barbarzyńskich H'genów i zmusić ich do powrotu na własną planetę.

- Musi być jakieś sensowne wyjaśnienie tego jej bełkotu - powiedział Gregor. - Pewnie do jej banku reakcji zaplątał się jakiś stary scenariusz telewizyjny.

- Trzeba będzie zrobić jej generalny przegląd - zdecydował Arnold. - Nie możemy całymi dniami wysłuchiwać tych bredni.

Zbliżali się do wyspy. Łódź w dalszym ciągu plotła coś o domowych ogniskach, działaniach wymijających, manewrach taktycznych i potrzebie zachowania spokoju w sytuacjach tak krytycznych jak ta. I nagle zwolniła.

- O co chodzi? - spytał Gregor.

- Przeprowadzam inwigilację wyspy - odparła łódź. Gregor i Arnold spojrzeli po sobie.

- Lepiej jej nie drażnić - szepnął Arnold, po czym głośniejszym głosem odezwał się do łodzi: - Ta wyspa jest w porządku. Sprawdziliśmy ją osobiście.

- Może i sprawdziliście - zaproponowała łódź - ale przy prowadzeniu nowoczesnych, błyskawicznych działań wojennych zmysłom Dromów nie należy dowierzać. Są zbyt niedoskonałe, zbyt skłonne do takiej interpretacji faktów, która byłaby zgodna z ich życzeniami. Natomiast zmysły elektroniczne są beznamienne, wiecznie czujne i, w granicach określonych ich zastosowaniem, bezbłędne.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- Dostrzegam obcy statek kosmiczny - odpowiedziała łódź. - Nie ma na nim znaków rozpoznawczych Dromów. - Nie nosi także znaków wroga - zauważył Arnold z całkowitą pewnością siebie, ponieważ osobiście malował starożytny kadłub.

- To prawda, nie nosi. Ale w czasach wojny trzeba zakładać, że co nie należy do nas, należy do wroga. Rozumiem wasze pragnienie znalezienia się znów na stałym lądzie. Ale ja biorę pod uwagę czynniki, które ulegający emocjom Drom mógłby przeoczyć. Rozważam tę pozorną pustkę tak strategicznego kawałka lądu; obecność nie oznakowanego statku kosmicznego jakże kusząco wystawionego na przynętę; fakt, iż nasza flota nie operuje już w tych rejonach; to, że...

- W porządku, wystarczy. - Gregor miał już absolutnie dość tej dyskusji z wygadaną i egoistyczną maszyną. Płyn prosto do wyspy. To rozkaz.

- Nie mogę wypełnić tego rozkazu - odparła łódź. - Umkniecie śmierci ledwie o włos wytrąciło was poważnie z równowagi...

Arnold sięgnął ręką do wyłącznika i natychmiast ją cofnął, wydając okrzyk bólu.

- Bądźcież, panowie, rozsądni - powiedziała łódź dość surowo. - Tylko wyższy rangą oficer z uprawnieniami do rozbrajania może mnie wyłączyć. Dla waszego dobra muszę was ostrzec, byście nie dotykali żadnego z moich urządzeń kontrolnych. Jesteście

niezrównoważeni. Nieco później, kiedy znajdziemy się w bezpieczniejszej sytuacji, poddam was odpowiedniej kuracji. Na razie wszystkie swoje siły muszę poświęcić na wykrycie i uniknięcie wroga.

Nabrała gwałtownie szybkości i oddaliła się od wyspy, klucząc w niezwykle zawiły sposób.

- Dokąd płyniemy?- spytał Gregor.

- Połączyć się z flotą Dromy! - zawołała łódź z taką pewnością siebie w głosie, że współnicy rozejrzeli się nerwowo po bezkresnych, absolutnie pustych wodach Tridentu.

- To znaczy, jak tylko ją odzyskam - poprawiła się łódź.

Była już późna noc. Gregor i Arnold siedzieli obok siebie w kącie kajuty i łączywie jedli ostatnią kanapkę. Łódź w dalszym ciągu wściekle pruć fale, wyęzając maksymalnie wszystkie swoje elektroniczne zmysły w poszukiwaniu floty, która pływała pięć wieków wcześniej na zupełnie innej planecie.

- Słyszałeś kiedyś o tych Dromach? - spytał Gregor. Arnold przeszukiwał w pamięci swój pokaźny zasób wiedzy o mało istotnych wydarzeniach historycznych.

- Dromowie to istoty niehumanoidalne, produkt ewolucji jaszczurów - stwierdził. - Zamieszkiwały szóstą planetę pewnego niewielkiego układu w pobliżu Capelli. Cała rasa wymarła ponad sto lat temu.

- A ci H'genowie?

- Też jaszczury; ta sama historia - mruknął Arnold znajdując jakiś okruszek i wkładając go sobie do ust. - To nie była żadna znacząca wojna; wszyscy jej uczestnicy już dawno przestali istnieć. Najwyraźniej z wyjątkiem tej łodzi.

- No i nas - przypomniał mu Gregor. - Zostaliśmy wcieleni do armii Dromy. - Westchnął ze znużeniem. Czy myślisz, że uda nam się to tej balii wyperswadować? Arnold pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Nie bardzo widzę jak. Z punktu widzenia tej łodzi wojna trwa nadal. Wszystkie fakty interpretuje wyłącznie na podstawie tej przesłanki.

- Pewnie podsłuchuje nas nawet w tej chwili - powiedział Gregor.

- Nie przypuszczam. Ona chyba nie potrafi czytać wszystkich myśli. Centra percepcji musi mieć wyczulone wyłącznie na te skierowane bezpośrednio do niej.

- Miałeś pan rację, Joe - powiedział Gregor cierpko - dziś już się takich nie buduje. - Żałował, że nie może dostać w swoje ręce. międzygwiazdowego handlarza starzyzną.

- Prawdę mówiąc, to bardzo interesująca sytuacja podjął po chwili Arnold. - Może nawet napiszę o tym do "Cybernetyki dla Wszystkich". Oto mamy maszynę wyposażoną w niemal niezawodny system percepcji bodźców zewnętrznych. Odbierane przez nią impulsy są natychmiast logicznie przetwarzane w odpowiednie reakcje. Jedyne problem w tym, że zastosowana tu logika opiera się na nie istniejących już założeniach. Toteż można byłoby właściwie powiedzieć, że maszyna ta padła ofiarą usystematyzowanego układu złudzeń.

Gregor ziewnął.

- Chcesz powiedzieć, że ta łajba jest po prostu stuknięta - rzekł Gregor bez ogródek.

- Totalnie. Mam wrażenie, że paranoja byłaby odpowiednim rozpoznaniem. Ale już wkrótce będzie po wszystkim. - Skąd masz tę pewność?

- To zupełnie jasne - odparł Arnold. - Imperatywem tej łodzi jest utrzymanie nas przy życiu. Zatem musi nas karmić. Po kanapkach nie ma już nawet śladu, a jedyne zapasy pożywienia znajdują się na wyspie. Wnioskuje stąd, że będzie musiała zaryzykować i popłynąć z powrotem.

Kilka minut później poczuli, że łódź nabiera lekkiego przechyłu i zmienia kierunek.

- Ale tam nic nie ma! - zawołał Gregor.

- W tej chwili nie mogę zlokalizować floty Dromy odebrali jej telepatyczny przekaz. - Dlatego też zawracam, by przeprowadzić szczegółową inwigilację wyspy. Na szczęście w bezpośrednim sąsiedztwie nie ma także wrogów. Mogę więc już z całą mocą mojej pełnej uwagi poświęcić się opiece nad wami.

- Widzisz? - mruknął Arnold, trącąc łokciem Gregora. - Dokładnie jak przewidywałem. Teraz trzeba tylko utwierdzić ją w przekonaniu, że dobrze robi. W samą porę sobie o nas przypomniawsz - powiedział do łodzi. Jesteśmy głodni.

- Właśnie może być nas nakarmiła - zażądał Gregor. - Już się robi - nadała łódź i w tej samej chwili ze ściany wysunęła się jakaś taca. Znajdowała się na niej jakaś ciastowata bryła czegoś, co wizualnie przypominało glinę, lecz śmierdziało jak olej maszynowy.

- Co to ma być? - spytał Gregor.

- To jest pryka - odparła łódź. - Podstawowe pożywienie wszystkich Dromów. Potrafię ją przyrządzić na szesnaście różnych sposobów.

Gregor ostrożnie skosztował ciemnej mazi. Smakowała dokładnie jak glina zmieszana pół na pół z olejem maszynowym.

- Tego nie da się jeść! - zaprotestował.

- Oczywiście, że się da - powiedziała łódź tonem łagodnej perswazji. - Dorosły Drom spożywa pięć i trzy dziesiąte funta pryki dziennie i woła o jeszcze.

Taca przesunęła się w ich kierunku. Gregor i Arnold cofnęli się o krok.

- Chwileczkę - powiedział Arnold. - Posłuchaj. My nie jesteśmy bromami. Masz przed sobą ludzi, przedstawicieli zupełnie innego gatunku. Wojna, w której wydaje ci się, że bierzesz udział, zakończyła się pięćset lat temu. My nie możemy jeść pryki. Nasza żywność znajduje się na wyspie.

- Panowie, spróbujcie zrozumieć sytuację. Złudzenie, któremu ulegacie, jest u żołnierzy czymś zupełnie powszechnym. To zwykły przypadek ucieczki w krainę wyobraźni, uchylenia się od percepcji sytuacji, której nie można znieść. Panowie, błagam was na wszystko - spójrzcie w oczy rzeczywistości!

- To ty spójrz w oczy rzeczywistości! - zawołał Gregor. - Albo każę cię rozebrać na śrubki i trzpienie! - Groźby nie mogą mnie wytrącić z równowagi nadała pogodnie łódź. - Wiem, przez co przeszliście. Istnieje nawet możliwość, że kontakt z trującymi wyziewami wody spowodował u was trwałe uszkodzenie mózgu.

- Trującymi... - szepnął Gregor, czując, że coś go chwyta za gardło.

- Według kryteriów Dromów - przypomniał mu Arnold.

- Jeśli okaże się to absolutnie nieodzowne - ciągnęła łódź - to mam pełne wyposażenie do przeprowadzenia chirurgicznej operacji mózgu. To środek bardzo drastyczny, ale w czasach wojny nie można się zbytnio pieścić.

W tym momencie odskoczyła jakaś kłapa i oczom współników ukazał się rząd połyskujących ostrzy chirurgicznych.

- Czujemy się już znacznie lepiej - powiedział pośpiesznie Gregor. - Ta partia pryki wygląda rzeczywiście wspaniale, nie uważasz, Arnold?

- Bardzo smakowicie - powiedział Arnold, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Swego czasu wygrałam ogólnoplanetarny konkurs kulinarny - wyznała telepatycznie łódź ze zrozumiałą dumą. - Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłabym dla naszych chłopców w mundurach. Bardzo proszę, próbujcie.

Gregor wziął z tacy garść pryki, rozsmarował sobie trochę na wargach i dyskretnie upuścił resztę na podłogę. - Pycha - powiedział, mając nadzieję, że wewnętrzne czujniki łodzi są nieco mniej sprawne niż jej sensory zewnętrzne.

Najwyraźniej były.

- To świetnie - powiedziała łódź. - Kieruję się w tej chwili na wyspę. Aha, obiecuję wam także, że już za chwilę warunki staną się dla was znacznie bardziej znośne.

- Jakie warunki? - spytał Arnold.

- Panująca tu temperatura jest zabójczo wysoka. Zdumiewa mnie, że do tej pory nie zapadliście w letarg. Każdy inny Drom już by to zrobił. Wytrzymajcie proszę jeszcze chwilę. Już wkrótce obniżę ją do normalnych dla bromy dwudziestu stopni poniżej zera. A teraz, dla podtrzymania waszego morale, zagram wam nasz hymn narodowy.

Powietrze wypełnił upiorny, miarowy skrzek. Z zewnątrz dobiegał stłumiony plusk fal, bijących o kadłub rozpędzonej łodzi. Już w kilka chwil później w kajucie zrobiło się wyraźnie zimniej.

Gregor zamknął ze znużenia oczy, próbując ignorować chłód pełnący wzdłuż rąk i nóg. Zaczynał być śpiący. Takie już moje szczęście, pomyślał, że dam się zamrozić na śmierć wewnątrz jakiejś chorej umysłowo łodzi. Oto skutki kupowania paternalistycznych gadżetów, przeczulonych, humanistycznych kalkulatorów, przewrażliwionych, emocjonalnych maszyn.

Zapadając w półsen zaczął się zastanawiać, do czego to wszystko doprowadzi. Przed oczyma stanął mu ogromny szpital dla maszyn. Dwóch robotów-lekarzy pchało długim, białym korytarzem leżącą na łóżku kosiarkę. Naczelny robot-lekarz spytał:

- Cóż to dolega temu chłopcu?

- Zupełnie zbzikował - odparł asystent. - Myśli, że jest śmigłowcem.

- Aha! - powiedział naczelny uczenie. - Deluzja psychomotoryczna! Szkoda. Taki sympatyczny facet.

Asystent skinął głową.

- To wszystko z przepracowania - stwierdził stanowczo. - Serce mu pękło na kępie sitowia.

Kosiarka poruszyła się niespokojnie.

- A teraz jestem trzepaczką do jajek! - zachichotała. - Trach, trach, trach!

- Obudź się - powtórzył Arnold, szczękając zębami, i jeszcze raz potrząsnął Gregorem. - Musimy coś zrobić. - Poproś ją, żeby włączyła ogrzewanie - zaproponował Gregor słabo.

- Nie da rady. Dromowie żyją w temperaturze minus dwadzieścia; my jesteśmy bromami; minus dwadzieścia jest dla nas w sam raz i nie ma co pyskować.

Biegnące w poprzek całej łodzi przewody aparatury chłodzącej pokryła gruba warstwa szronu. Ściany zaczynały robić się białe, a na szyby iluminatora wypełził mróz.

- Mam pewien pomysł - odezwał się ostrożnie Arnold. Rzucił okiem na tablicę kontrolną, po czym szepnął coś Gregorowi do ucha.

- Możemy spróbować - odparł Gregor. Podniósł z podłogi manierkę z wodą, po czym obaj współnicy wstali i odeszli w najdalszy kąt kajuty.

- Co tam robicie? - spytała ostro łódź.

- Mamy zamiar trochę poćwiczyć - wyjaśnił Gregor. - Żołnierze Dromy muszą dbać o zachowanie sprawności fizycznej, sama o tym wiesz.

- To prawda - potwierdziła niepewnie łódź. Gregor rzucił manierkę do Arnolda.

Arnold zachichotał i odrzucił manierkę Gregorowi.

- Tylko ostrożnie z tym pojemnikiem - ostrzegła łódź. - Jest napełniony śmiertelną trucizną.

- Będziemy uważać - odparł Gregor. - Zabieramy ją ze sobą do kwatery głównej. - Rzucił manierkę do Arnolda.

- Dowództwo naczelne może kazać ją rozpylić nad armią H'genów - dodał Arnold.

- Naprawdę? - zaciekawiała się łódź. - To interesujące. Nowe zastosowanie tej...

Nagle Gregor rzucił manierkę w przewody chłodzące. Rura pękła i wypełniająca ją ciecz zaczęła spływać na podłogę.

- Fatalny rzut, staruszku - powiedział Arnold.

- Ależ ze mnie niezdara! - zawołał Gregor.

- Powinnam była podjąć środki zabezpieczające przed wypadkami na pokładzie - nadała łódź posępnie. To już się nie powtórzy. Ale sytuacja jest bardzo poważna. Nie jestem w stanie własnymi siłami naprawić tych przewodów. Nie jestem w stanie odpowiednio chłodzić kabiny.

- Gdybyś wysadziła nas na brzegu wyspy - zaczął Arnold - tylko na chwilę...

- To wykluczone! - zawołała łódź. - Moim podstawowym zadaniem jest utrzymanie was przy życiu, a w klimacie tej planety zginęlibyście prawie natychmiast. Dlatego też będę musiała podjąć odpowiednie środki dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Gregor, czując, że żołądek kurczy mu się ze strachu.

- Nie mam ani chwili do stracenia. Zbadam jeszcze raz całą wyspę. Jeśli nie wykryję na niej żadnych śladów naszych wojsk, popłyniemy do jedyne go miejsca na tej planecie, gdzie panują warunki odpowiednie do utrzymania przy życiu Dromów.

- To znaczy gdzie?!

- W okolicy południowej czapy polarnej - odparła łódź. - Tamtejsza temperatura jest niemal idealna. Szacuję, że jakieś trzydzieści stopni poniżej zera.

Silniki ryknęły na podwójnych obrotach, a łódź dodała tonem usprawiedliwienia:

- I oczywiście muszę się zabezpieczyć przed dalszymi wypadkami na moim pokładzie.

Kiedy ruszyła pełną szybkością w kierunku wyspy, usłyszeli ciche szczęknięcie zamków, odcinających im drogę wyjścia z kabiny.

- Myśl! - ponaglił Arnold.

- Nic innego nie robię - warknął Gregor. - Tyle że nic mi z tego nie wychodzi.

- Musimy się z niej wydostać, kiedy podpłynie do wyspy. To będzie nasza ostatnia szansa.

- Może udałoby nam się jakoś wyskoczyć za burtę? zasugerował Gregor.

- Mowy nie ma. Nie spuszcza nas już z oka. Gdybyś nie rozwalił tej rury chłodzącej, pewnie mielibyśmy jeszcze jakąś szansę.

- Tak, wiem - mruknął Gregor cierpko. - Ty i te twoje pomysły!

- Moje pomysły! Dokładnie przypominam sobie, że to była twoja propozycja. Powiedziałeś...

- Mniejsza o to, czyj to był pomysł - przerwał mu ugodowo Gregor, pogrążając się w rozmyślaniach. Słuchaj, wiemy już, że jej czujniki wewnętrzne nie są najlepsze. Może udałoby się jakoś przeciąć kabel energetyczny, kiedy znajdziemy się koło wyspy.

- Nie da ci podejść do niego bliżej niż na kilka stóp odparł Arnold, ciągle jeszcze mając świeżo w pamięci kopnięcie prądem, jakim potraktowała go łódź, kiedy próbował ją wyłączyć.

- Hmm... - mruknął Gregor, ściskając z całej siły obiema rękami czoło. Gdzieś w zakamarkach mózgu zaczynał mu

kielkować pewien pomysł. Był jeszcze dość nie sprecyzowany, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

- Dokonuję teraz szczegółowego badania wyspy oznajmiła Łódź.

Wyglądając przez bulaj, Gregor i Arnold ujrzeli brzeg wyspy oddalony od nich o mniej więcej sto jardów. Na niebie nad horyzontem kładła się pierwsza poświata nadchodzącego świtu, a od jej tła wyraźnie odcinało się pokryte bliznami, ukochane dziobisko ich statku.

- Mnie ta wyspa wydaje się zupełnie w porządku powiedział Arnold.

- Mnie też - poparł go Gregor. - Założę się, że nasze oddziały okopały się pod ziemią.

- Niestety nie - nadała ze smutkiem Łódź. - Zbadałam całą powierzchnię do głębokości stu stóp.

- No cóż - powiedział Arnold - w tych okolicznościach powinniśmy chyba sprawdzić to nieco dokładniej. Najlepiej będzie, jeśli sam zejdem na brzeg i trochę się rozejrzę.

- Wyspa jest opuszczona - oznajmiła stanowczo Łódź. - Naprawdę możecie mi wierzyć, że moje zmysły są nieskończenie bardziej wyczulone niż wasze. Nie mogę dopuścić, byście narażali życie, schodząc na brzeg. Droma potrzebuje swoich żołnierzy, zwłaszcza takich jak wy, odpornych na upał śmiałków.

- Nam ten klimat bardzo odpowiada - powiedział Arnold.

- Oto słowa godne patrioty! - nadała Łódź serdecznie. - Wiem, jak bardzo musicie cierpieć. Ale już ruszam na biegun południowy, a tam znajdziecie wreszcie, dzielni weterani, tak bardzo zasłużony odpoczynek.

Gregor uznał, że najwyższy czas wprowadzić w życie własny plan, choćby był nie wiadomo jak nie sprecyzowany.

- To nie będzie potrzebne - powiedział.

- Co?

- Działamy zgodnie z rozkazem specjalnym - wyjaśnił. - Otrzymaliśmy polecenie nie ujawniać tego żadnej jednostce pływającej poniżej rangi pancernika. Ale w tych okolicznościach...

- Właśnie - zawtórował mu skwapliwie Arnold w tych okolicznościach będziemy musieli cię z nim zapoznać.

- Jesteśmy żołnierzami jednostki samobójczej - powiedział Gregor.

- Szkolonymi specjalnie do zadań w gorącym klimacie. - Mamy rozkaz wylądowania na tej wyspie i zabezpieczenia jej dla wojsk Dromy.

- Nic o tym nie wiedziałam - odparła Łódź.

- Bo nie widzieliśmy potrzeby, żeby ci o tym mówić - wyjaśnił Gregor. - W końcu jesteś tylko łodzią ratunkową.

- Natychmiast wysadź nas na brzeg - rozkazał Gregor. - Nasza misja to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

- Trzeba mi było powiedzieć o tym wcześniej powiedziała Łódź.

- Chyba rozumiecie, że sama nie mogłam się tego domyślić.

Zaczęła z wolna zbliżać się do wyspy.

Gregor wstrzymał oddech. Nie mógł wprost uwierzyć, by taki prosty podstęp mógł się udać. Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Łódź zbudowano tak, by przyjmowała każde słowo tych, którzy nią kierują, za prawdę. Jeżeli tylko owa "prawda" była spójna logicznie z założeniami funkcjonalnymi łodzi, powinna ją ona przyjąć i wykonać.

Plaża znajdowała się teraz już tylko o pięćdziesiąt jardów, jaśniejąc w zimnym świetle poranka wstęgą bieli.

I nagle wrzuciła całą wstecz i zatrzymała się.

- Nie - powiedziała.

- Co nie?

- Nie mogę tego zrobić.

- Jak to nie możesz! - ryknął Arnold. - To jest wojna! Nasze rozkazy...

- Wiem - przerwała mu Łódź smutno. - I jest mi bardzo przykro. Ale przecież do wykonania takiej misji wybrano by jednostkę pływającą jakiegoś innego typu. J a k i e g o k o l w i e k innego typu. Lecz nie łódź ratunkową.

- Musisz to zrobić - jęknął błagalnie Gregor. Pomyśl o naszej ojczyźnie, pomyśl o barbarzyńskich H'genach...

- Wykonanie przeze mnie tego rozkazu jest czystą niemożliwością - wyjaśniła Łódź. - Podstawowym nakazem mego działania jest zabezpieczenie korzystających ze mnie osób przed wszelkim niebezpieczeństwem. Ten imperatyw zapisano na każdej z moich taśm, dając mu bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi nakazami. Nie mogę pozwolić, byście wyruszyli na pewną śmierć.

Łódź zaczęła oddalać się od wyspy.

- Za ten brak subordynacji czeka cię sąd wojskowy! wrzasnęła histerycznie Arnold. - Zostaniesz całkowicie rozbrojona.

- Muszę działać w wyznaczonych mi granicach odparła smutno Łódź. - Jeśli znajdziemy flotę, przekażę was niszczycielowi. Lecz tymczasem muszę umieścić was w jedynym miejscu, gdzie nic wam nie grozi - na biegunie południowym.

Nabrała szybkości, zostawiając wyspę powoli w tyle. Arnold rzucił się do tablicy kontrolnej i w tej samej chwili znalazł się, mocno oszołomiony, na pokładzie. Gregor chwycił manierkę i zamierzył się, by cisnąć nią daremnym gestem w zaryglowaną pokrywę luku. W połowie zamachu zmarł w bezruchu, porażony pewną szaleńczą myślą.

- Proszę was bardzo, nie próbujcie dokonywać żadnych dalszych zniszczeń - nadała błagalnie Łódź. - Wiem, co czujecie, ale...

Pomysł jest cholernie ryzykowny, uznał Gregor, ale przecież biegun południowy to i tak pewna śmierć. Odkręcił manierkę.

- Jeśli nie wykonamy swojej misji - powiedział - to jakże moglibyśmy spojrzeć w twarz naszym towarzyszom broni? Jedyne, co nam pozostało, to samobójstwo. - Wypił trochę wody i podał manierkę Arnoldowi, wciąż jeszcze leżącemu w oszołomie niu na podłodze.

- Nie! Nie róbcie tego! - krzyknęła przeraźliwie Łódź. - To jest w o d a!!! To śmiertelna trucizna...

Z tablicy wystrzelił strumień energii i uderzył w manierkę, wytrącając ją Arnoldowi z rąk.

Arnold chwycił ją w powietrzu i nim Łódź zdążyła zareagować ponownie, pociągnął z niej spory łyk.

- Umieram ku chwale Dromy! - zawołał Gregor, osuwając się na podłogę. Dyskretnym ruchem nakazał Arnoldowi, by się nie ruszał.

- Antidotum na tę truciznę nie jest znane! - jęknęła łódź. - Och, gdybym tylko skontaktowała się ze statkiem szpitalnym... - Zabrzęczała niezdecydowanie silnikami na jałowym biegu. - Odezwiście się! - nadała błagalnie. Powiedzcie do mnie choć słowo! Życie jeszcze?

Gregor i Arnold leżeli w absolutnym bezruchu, wstrzymując oddech.

- Odpowiedzcie! Może gdybyście zjedli trochę pryki... Podsunęła im pod nos dwie tace. Wspólnicy ani drgnęli. - Nie żyją - orzekła łódź. - N i e ż y j ą. Odprawię uroczystość pogrzebową.

Na chwilę zaległa zupełna cisza. A potem łódź zaintonowała:

- Wielki Duchu Wszechświata, przyjmij pod swą opiekę dusze tych Twoich dwóch sług. Choć zadali sobie śmierć własnymi rękami, uczynili to służąc naszej ojczyźnie, walcząc o domowe ognisko. Nie sądz surowo ich bezbożnego czynu, lecz winą obarcz raczej ducha wojny, który rozpała i niszczy wszystkich Dromów.

Pokrywa luku odskoczyła na całą szerokość. Gregor poczuł na twarzy powiew chłodnej bryzy.

- A teraz na mocy uprawnień przyznanych mi przez flotę Dromów i z pełnym nabożeństwem powierzam ich ciała głębinom.

Gregor poczuł, że zostaje wyniesiony przez luk i złożony na pokładzie. Chwilę później znów uniósł się w powietrze, po czym zaczął spadać i w następnym momencie znalazł się w wodzie, tuż obok Arnolda.

- Unoś się bez ruchu - szepnął.

Wyspa znajdowała się zupełnie niedaleko. Ale łódź w dalszym ciągu krążyła wokół nich, porykując nerwowo silnikami.

- Jak myślisz, co ta łajba kombinuje? - spytał szeptem Arnold.

- Pojęcia nie mam - odparł Gregor, mając nadzieję, że Dromowie nie praktykowali obracania ciał swoich zmarłych w proch.

Łódź podpłynęła bliżej. Jej dziób znajdował się już tylko o kilka stóp. Wspólnicy zamarli w napięciu. I wtedy to usłyszeli - upiorny skrzek hymnu narodowego Dromów. Chwilę później było już po wszystkim.

- Spoczywajcie w pokoju - powiedziała łódź, po czym zawróciła i z rykiem silników pomknęła w dal.

Kiedy wreszcie odważyli się popłynąć do brzegu, Gregor zobaczył, że łódź ratunkowa kieruje się na południe, ku biegunowi, by tam oczekiwać na przybycie floty Dromy.

Broń ostateczna

Edsel był w fatalnym nastroju. Pozbawiony już wszelkich hamulców, gotów prawdziwe i urojone konflikty rozwiązywać po prostu śmiertelnym strzałem. On, Parke i Faxon spędzili już trzy tygodnie w tym potwornym pustkowiu rozkopując każdy kurhan, na który się natknęli. Nie znajdowali niestety nic i szli dalej, próbując szczęścia przy następnym kurhanie.

Mijało już krótkie marsjańskie lato i każdy dzień stawał się chłodniejszy. I z każdym dniem nerwy Edsela, nigdy zresztą nie najmocniejsze, ścierały się coraz bardziej. Mały Faxon był nadal w dobrym humorze i wciąż marzył o fortunie, którą zdobędą po odnalezieniu broni. Parke włókł się bez słowa i harował, jakby był z żelaza. Odzywał się tylko wtedy, gdy któryś z kompanów zwracał się do niego.

Tylko Edsel osiągnął już granice wytrzymałości. Wryli się w kolejny kurhan i znów nie natrafili na żaden ślad zaginionej marsjańskiej broni. Rozwodnione słońce zdawało się świecić prosto w niego, ale mimo to widział doskonale gwiazdy na nieprawdopodobnie błękitnym niebie. Południowy chłód wsączał się pod izolowany skafander Edsela, usztywniał mu stawy, zamrażał potężne mięśnie.

Zupełnie niespodziewanie nawiedziła Edsela myśl o zabiciu Parkego. Nie lubił tego zbyt cichego człowieka jeszcze z czasów,

kiedy zawierali spółkę na Ziemi. Nie lubił go jeszcze bardziej, niż gardził Faxonem.

Edsel zatrzymał się.

- Czy wiesz, dokąd idziemy? - zapytał Parkego, złowieszczo zniżając głos.

Parke wzruszył szczupłymi ramionami, wyrażając w ten sposób niechęć do podejmowania rozmowy. Jego blada twarz o zapadłych policzkach była zupełnie bez wyrazu.

- No, wiesz? - nie rezygnował z zaczepki Edsel.

Parke znów wzruszył ramionami.

Kula w łeb - zdecydował Edsel i sięgnął po broń.

- Czekaj! - wtrącił się Faxon i wszedł między nich. Nie wygłupiaj się, Edsel. Pomyśl tylko o forsie, którą zdobędziemy, kiedy znajdziemy magazyn broni! - Oczy małego człowieczka aż zaiskrzyły się na tę myśl. - Ten magazyn musi być gdzieś tu w pobliżu, Edsel, może już pod następnym kurhanem...

Edsel zawahał się, spoglądając na Parkego. Teraz, właśnie teraz pragnął zabić, a pragnienie to było silniejsze niż wszystkie inne jego emocje. Gdyby wiedział, jak to będzie, kiedy tworzyli tę spółkę na Ziemi... Wtedy wydawało im się wszystko takie proste, takie łatwe. On miał tabliczkę, opisującą kryjówkę, w której znajdował się magazyn tej legendarnej, zaginionej broni marsjańskiej. Parke potrafił odcyfrowywać pismo marsjańskie, a Faxon podjął się sfinansowania ekspedycji. Wydawało mu się wówczas, że trzeba będzie tylko wylądować na Marsie i przejść się do kurhanu, osłaniającego kryjówkę.

Edsel nigdy przedtem nie opuszczał Ziemi. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie tych tygodni dokuczliwego chłodu, ograniczania się do głodowych racji skoncentrowanego pożywienia, ciągłych zawrotów głowy, wywoływanych niedostateczną ilością tlenu w stęchłym powietrzu z regeneratora. Nie spodziewał się ciągłego bólu mięśni, wyczerpanych uciążliwą wędrówką wśród gęstwiny marsjańskich krzewów.

Myślał wtedy tylko o jednym: o cenie, którą zapłaci rząd - jakikolwiek rząd - za ten legendarny arsenał cudownej broni.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie, odzyskawszy już panowanie nad sobą. - Ta planeta mnie dobija. Przykro mi, Parke, że wybuchłem. Przepraszam. Prowadź dalej.

Parke skinął tylko głową i ruszył naprzód. Faxon odetchnął z ulgą i poszedł ścieżką wydeptaną przez Parkego. Ostatecznie - pomyślał jeszcze Edsel, dołączając do nich - mogę go zabić później.

Poszukiwany tak długo kurhan odnaleźli w końcu przed wieczorem, w momencie kiedy znów wyczerpywała się cierpliwość Edsela. Wzgórze było dziwne, masywne i właściwie wyglądem swoim odpowiadało opisowi z tabliczki Edsela. Pod kilkoma calami gruntu natrafili na metal. Odslonili go szerzej i trafili na drzwi.

- Zaraz je rozwalę - zaofiarował się Edsel i wyciągnął swój rewolwer.

Parke odsunął go, przekręcił wielką klamkę i bez trudu otworzył drzwi. Weszli do olbrzymiego pomieszczenia. Rzędami leżała tam legendarna, zaginiona broń marsjańska, z zapisów tylko znane dowody wysokiego poziomu techniki tej martwej już planety.

Trzej mężczyźni stali przez chwilę zapatrzeni w osiągnięty cel swoich poszukiwań. Przed nimi leżał skarb, ze znalezienia którego rezygnowali już kilkakrotnie w chwilach słabości, skarb, którego bezskutecznie poszukiwało tyle ekspedycji przed nimi. Od czasu kiedy ludzie wylądowali na Marsie, badano ruiny wielkich miast. Na wielkich pustych placach, drogach i ulicach porzucane były resztki jakichś pojazdów, dzieł sztuki, narzędzi i maszyn, świadczących niby zjawy z innego świata, o potężnej cywilizacji, która co najmniej o tysiąclecie prześcignęła rozwój nauki i techniki na Ziemi. Cierpliwie odcyfrowywane dokumenty mówiły o potwornych wojnach, pustoszących powierzchnię Marsa. Niestety, zapisy dokumentów zatrzymały się w jakimś momencie i nie pozwoliły już ustalić, co stało się z mieszkańcami tej planety. Od kilku tysięcy lat nie było już na Marsie żadnej inteligentnej istoty. Również i wszelkie zwierzęce życie ustało całkowicie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Zniknęli gdzieś Marsjanie i wraz z nimi zniknęła mordercza broń, którą posługiwali się w tych swoich niszczycielskich wojnach. Edsel zdawał sobie sprawę, że ta broń warta jest swej wagi w diamentach. Na Ziemi nie było jej równej.

Poszli dalej w głąb magazynu. Edsel wziął w rękę coś, co wyglądem swoim przypominało pistolet maszynowy kalibru 0,45 cala. Podszedł z nim do drzwi i wycelował w kępę krzaków.

- Nie strzelaj - ostrzegł go Faxon. - Może odpalić do tyłu... albo diabli wiedzą co. Przecież nie znamy tej broni. Niech ją wypróbują ci, którzy ją od nas kupią.

Edsel pociągnął za kurek. Kępa krzaków oddalona o dwadzieścia pięć metrów zniknęła w oślepiającym, czerwonym blasku.

- Nieźle - stwierdził Edsel, poklepując pistolet. Odłożył go i sięgnął po broń innego typu.

- Proszę cię, Edsel - mówił błagalnym głosem Faxom nerwowo zezując w jego stronę. - Nie ma potrzeby wypróbowywania jej. Możesz jeszcze wywołać jakiś wybuch atomowy czy coś w tym rodzaju.

- Zamknij się - zgasił go Edsel, oglądając broń w poszukiwaniu mechanizmu uruchamiającego.

- Nie strzelaj już - błagał Faxon. Obejrzał się na Parkego, oczekując od niego poparcia, ale tamten spokojnie obserwował Edsela. - Przecież któraś ze znajdujących sil tu rzeczy mogła spowodować likwidację wszystkich mieszkańców Marsa. Nie chcesz chyba uruchomić jeszcze raz tej strasznej broni?

Edsel znów strzelił i z zadowoleniem przyglądał się ognistemu efektowi wybuchu gdzieś w oddali.

- Dobra rzecz - pochwalił i sięgnął po trzeci rodzaj broni, dziwny instrument podobny do zwykłego pręta. Zapomniał już o nękającym go głodzie. Był szczęśliwy, mając możliwość zabawienia się tymi połyskującymi narzędziami śmierci.

- Chodźmy już stąd - zaproponował Faxom ruszając w stronę drzwi.

- Dokąd? - zapytał Edsel. Oglądał właśnie następny okaz marsjańskiego uzbrojenia, pasujący doskonale do układu jego dłoni.

- Wracajmy na kosmodrom - powiedział Faxon. Polecimy na Ziemię, sprzedamy ten towar, tak jak zamierzaliśmy. Uważam, że możemy wziąć za to każdą cenę, absolutnie każdą cenę. Każdy rząd zapłaci miliardy za taki arsenał jak ten.

- Zmieniłem zamiar - oświadczył Edsel. Kącikiem oka obserwował Parkego. Szczupły mężczyzna chodził między równo ułożonymi stertami uzbrojenia, ale jak dotąd nie dotknął żadnej sztuki.

- Słuchaj, ty - odezwał się Faxon patrząc na Edsela - ja finansowałem tę ekspedycję. Zamierzaliśmy sprzedać ten towar. Mam prawo... hm, zresztą, może i nie...

Nie wypróbowana jeszcze broń wymierzona była wprost w jego żołądek.

- ...a co ty chcesz zrobić z tym towarem? - zapytał Faxon już innym tonem, starając się nie patrzeć na wymierzony w niego instrument.

- Do diabła ze sprzedawaniem tego - zaklął Edsel, opierając się o ścianę w takim miejscu, z którego jednocześnie mógł obserwować Parkego. - Myślę, że sam będę mógł wykorzystać ten towar. - Uśmiechnął się, wciąż nie spuszczać wzroku z obu współników. - Mogę uzbroić trochę chłopaków u nas w mieście. Mając tę broń do dyspozycji, bez trudu sprzątniemy któryś z rządów w jakiejś środkowoamerykańskiej republice. Myślę, że będziemy mogli na zawsze utrzymać ją w swoich rękach.

- Ja nie chcę brać udziału w czymś takim - powiedział Faxon zapatrzony w broń w rękach Edsela. - Nie licz na mnie.

- Proszę bardzo - zgodził się z zadowoleniem Edsel. - I nie martw się, że się wygadam - dodał prędko Faxon. - Nie wykapuję ciebie. Po prostu nie chcę uczestniczyć w żadnej strzelaninie i w zabijaniu. Mogę na tym zarobić, ale nie chcę sam tym się zajmować. Wrócę więc chyba na Ziemię.

- Oczywiście - odezwał się Edsel. Parke stał z boku i oglądał paznokcie.

- Kiedy już otworzysz to swoje królestwo, z chęcią przyjadę do ciebie - obiecał Faxom uśmiechając się sztucznie. - Może zrobisz mnie księciem albo czymś takim. - Sądzę, że coś się da zrobić.

- To świetnie. Powodzenia... - Faxon pomachał ręką i ruszył w kierunku drzwi. Edsel dał mu ujść jakieś dziesięć metrów, a potem skierował w niego trzymaną w ręce broń i zwolnił kurek.

Nie było żadnego huku ani błysku. Jednak niewidoczne działanie broni odcięło ramię Faxonowi. Edsel wymierzył jeszcze dokładniej i po raz drugi nacisnął kurek. Tym razem niewidoczne, niszczące promienie przecięły małego człowieczka na pół.

Edsel odwrócił się gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że Parke znalazł się za nim. Tamten mógł po prostu złapać najbliższą leżącą broń i strzelić do Edsela. Ale Parke stał bez ruchu tam, gdzie był poprzednio, złożony ramiona na piersiach.

- Te promienie mogą pewno przeciąć każdy materiał zauważył Parke. - Bardzo użyteczne.

Edsel spędził wspaniałe pół godziny, biegając tam i z powrotem z głębi magazynu do drzwi z różnymi rodzajami broni. Parke nie ruszał się nawet, ale obserwował próby kompana z zainteresowaniem. Starożytne uzbrojenie Marsjan było jak nowe, w pełni sprawne i nie uszkodzone mimo tysiący lat bezużytecznego magazynowania. Było wiele typów broni wybuchowej, różnych wzorów i mocy. Były pistolety ciepłe i wyzwalające energię promieniowania, narzędzia cudownie małe i poręczne. Były aparaty zamrażające i palące, były takie, które kruszyły najtwardszą skałę, takie, które cięły, które wywoływały krzepnięcie, paraliż i rozmaite inne efekty niszczące życie.

- Wypróbujemy ten aparat - zaproponował Parke. Edsel szykował się właśnie do próby interesującego, trzylufowego karabinu. Przerwał swoje wstępne badania na dźwięk głosu Parkego.

- Jestem zajęty - odburknął.

- Przestań się bawić tymi drobiazgami. Przyjrzyjmy się rzeczom poważniejszym.

Parke stał teraz obok przysadzistej, czarnej maszyny na kołach. Wspólnie z Edselem wyciągnął ją przed magazyn. Edsel

oczywiście zabrał się do uruchamiania maszyny, próbując efektów poruszania licznych kółek, dźwigni i tastrów. Gdzieś w głębi aparatu odezwał się słaby szum, a zaraz potem wokół nich utworzyła się sina mgielka. Przy pokręcaniu jednego z kółek na tablicy kontrolnej zasięg mgły się powiększył.

- Teraz wypróbuj którąś z tych pukawek - powiedział Parke. Edsel wziął jeden z pistoletów i strzelił. Pocisk pochłonięty został przez ścianę mgły. Wypróbowali zaraz jeszcze trzy dalsze rodzaje broni. Żaden z nich nie był w stanie przebić się przez świecąca siną mgłę.

- Sądzę, że to może odizolować nawet od wybuchu bomby atomowej - stwierdził Parke.

- To niezwykle silne pole magnetyczne...

Edsel wyłączył aparaturę. Sina mgła zniknęła. Słońce ginęło już za horyzontem. Kiedy powrócili do magazynu, było już tam znacznie ciemniej.

- Wiesz co, Parke - odezwał się nagle Edsel. - Jesteś całkiem fajny chłop. Podobasz mi się jednak.

- Dziękuję - odpowiedział Parke, ogarniając wzrokiem masę broni w magazynie.

- Nie masz do mnie pretensji, że przeciąłem na pół tego Faxona, co? On miał przecież zamiar donieść na mnie władzom na Ziemi.

- Wprost przeciwnie, w pełni aprobuję to, co uczyniłeś. - Świetnie. Mówiłem, że jesteś jednak całkiem fajny chłop. Mogłeś mnie wykończyć, kiedy załatwiałem Faxona... Edsel nie dodał, że sam tak właśnie by postąpił.

Parke wzruszył po swojemu ramionami.

- Odpowiadałoby ci, żeby współpracować ze mną przy zorganizowaniu tego królestwa w Ameryce Środkowej? spytał Edsel, uśmiechając się. - Myślę, że udałoby się nam. Zdobędziemy jakiś niezły kraik, kupę dziewczynek, mnóstwo uciech. Co o tym sądzisz?

- Naturalnie - odpowiedział Parke. - Na mnie możesz liczyć.

Edsel klepnął go po ramieniu i razem ruszyli na dalszą inspekcję magazynu.

- To wszystko jest jasne - mówił Parke, wskazując rozmaite rodzaje broni. - Różne odmiany tego, co już widzieliśmy.

Dopiero teraz ujrzeli drzwi, zasłonięte wysoką pryzmą jakichś śmiertelnych instrumentów. Na drzwiach tych wygrawerowany był marsjański napis.

- Co tam jest napisane? - dopytywał się Edsel.

- Coś o broni ostatecznej - odrzekł Parke, wysilając wzrok przy odcyfrowywaniu słabo już widocznego napisu. - Ostrzeżenie, żeby tam nie wchodzić...

Sam otworzył drzwi. Obaj weszli do następnej sali, ale już po pierwszym kroku wzdrygnęli się nagle i stanęli jak wryci.

Druga sala była co najmniej trzykrotnie większa od pierwszej. Jak daleko sięgał ich wzrok, pełna była żołnierzy. Barwnie ubranych, uzbrojonych od stóp do głów żołnierzy... nieruchomych, podobnych do posągów ...

Żołnierze ci nie żyli.

Tuż przy drzwiach stał stół, a na nim trzy przedmioty. Najbliżej ciekawych przybyszów znajdowała się kula wielkości mniej więcej ludzkiej pięści z wykalibrowaną na powierzchni tarczą. Obok kuli leżał połyskujący hełm. A dalej mała czarna szkatułka, na przykrywcę której znów znajdował się jakiś marsjański napis.

- Czy to grobowiec? - wyszeptał Edsel, z grozą obserwując grube, nieziemskie rysy marsjańskich wojaków. Parke, stojący za nim, nie odpowiadał.

Edsel odważył się wreszcie poruszyć, podszedł do stołu i wziął do ręki kulę. Ostrożnie przekręcił tarczę o jedno nacięcie.

- Co to za aparat, jak ci się zdaje? - zapytał jednocześnie kompana. - Czy uważasz, że...

Obaj ledwie złapali powietrze i cofnęli się.

Szeregi martwych dotąd żołnierzy się poruszyły. Wojacy zachwiali się i zaraz potem stanęli na baczność. Ale zniknęła z nich surowość śmierci. Starożytni rycerze marsjańscy ożyli. Jeden z nich we wspaniałym purpurowym mundurze, bogato szamerowanym srebrem, wystąpił naprzód i skłonił się przed Edselem.

- Panie, twoje wojska czekają na rozkazy.

Edsel był zbyt zaskoczony, żeby coś odpowiedzieć.

- W jaki sposób ożyliście po tysiącach lat? - zapytał rzeczowo Parke. - Czy jesteście Marsjanami?

- Jesteśmy poddanymi Marsjan - odpowiedział żołnierz. Parke zauważył jednak, że jego usta nie poruszały się, kiedy mówił. Ten stwór porozumiewał się z nimi telepatycznie. Dlatego go zresztą rozumieli, chociaż nie mógł przecież znać języka przybyszów z Ziemi.

- Kim więc jesteście? - dopytywał się Parke.

- Jesteśmy Syntetykami. Stworzono nas z materiałów odmiennych od protoplazmy. Dlatego jeszcze istniejemy. - Komu jesteście posłuszni? - zapytał Parke.

- Posłuszni jesteśmy rozkazom Aktywatora, panie syntetyczny żołnierz mówił teraz zwrócony w stronę Edsela i wpatrzony w kulę, którą tamten trzymał w ręce. - Nie potrzebujemy ani pożywienia, ani snu. Naszym jedynym pragnieniem jest służyć tobie, panie, i walczyć dla ciebie.

Żołnierze stojący w szeregach skinęli aprobowo głowami.

- Prowadź nas do boju, panie! - wyskandowali chórem.

- Na pewno was poprowadzę! - powiedział ośmielony już Edsel.

- Pokażę wam, chłopcy, jak trzeba walczyć, możecie na mnie polegać!

Żołnierze wiwatowali na cześć nowego dowódcy, który uruchomił kulę - aktywator, instrument ożywiający ich i budzący wojenne emocje, a do nich zostali przecież stworzeni. Edsel uśmiechnął się zadowolony i spojrzał na Parkego.

- A do czego służy reszta tych numerów? - zainteresował się, wskazując na tarczę kuli. Ale żołnierz nie odpowiadał. Pytanie przekraczało najwidoczniej zasięg jego wiedzy.

- Mogę zaktywizować chyba innych Syntetyków odgadywał Parke. - Pod spodem znajdują się tu chyba jeszcze dalsze komory.

- Bracie! - zawołał zachwycony Edsel. - Poprowadzę ich wszystkich do boju!

Żołnierze znów odpowiedzieli wiwatami.

- Uśpij ich z powrotem - powiedział Parke. Musimy się zastanowić, co zrobić dalej.

Oszołomiony Edsel przesunął tarczę do poprzedniej pozycji. Szeregi żołnierzy znów zamarły w bezruchu.

- Chodź, wyjdziemy stąd - zaproponował Parke. Jest już tu prawie zupełnie ciemno.

- Dobrze - zgodził się Edsel.

- I zabierz ze sobą resztę tych rzeczy - wskazał połyskujący hełm i czarną szkatułkę.

Edsel wziął jedno i drugie i wyszedł za Parkem. Słońce zniknęło już niemal zupełnie za horyzontem. Na czerwonym gruncie kładły się teraz długie czarne cienie. Było bardzo zimno, ale żaden z nich nie zwracał na to uwagi.

- Czy słyszałeś, co oni mówili, Parke? Czy słyszałeś to? Powiedzieli, że jestem ich wodzem! Z takim wojskiem... Roześmiał się uszczęśliwiony. Z takim wojskiem, z takim uzbrojeniem nic go już nie powstrzyma. Będzie miał to królestwo, o którym przedtem mówił, i wszystkie jego bogactwa, najładniejsze dziewczęta świata, będzie żył jak król.

- Jestem generałem! - zawołał Edsel i nałożył na głowę połyskujący hełm. - Jak w tym wyglądam, Parke? Czy nie wyglądam na generała...

Urwał nagle. Usłyszał jakiś głos, szeptem dochodzący do jego uszu, głos pomrukujący coś. Kto to mówił? Co takiego?

"...ty nędzny idioto z twoimi marnymi mrzonkami o królestwie w Ameryce Środkowej - brzmiały słowa dudniące w hełmie. - Taka potęga przeznaczona jest tylko dla geniusza, dla człowieka zdolnego zmienić bieg historii. A więc dla mnie!"

- Kto to mówi? Czy to nie ty, Parke...- Edsel uświadomił sobie wreszcie, że ten hełm pozwala mu słyszeć myśli kompana. Nie miał nawet czasu na rozważanie, co to za wspaniały instrument byłby dla wodza...

Parke przeciął go zgrabnie przez plecy tą samą bronią, którą przedtem Edsel zabił Faxona.

- Cóż to za idiota - mówił Parke do siebie, wkładając na głowę hełm zdjęty z głowy ofiary. - Królestwa mu się zachciało! Ma do dyspozycji całą potęgę wszechświata i marzy o operetkowym królestwie i dziwkach!

Zerknął za siebie na wejście do arsenału.

- Z tym syntetycznym wojskiem, z aparatem do wytwarzania pola magnetycznego, żółtym cudownym uzbrojeniem opanować mogę przecież całą Ziemię...

Wiedział, że nic go już nie powstrzyma przed zrealizowaniem tego zamiaru. Wiedział, że to już niemal fakt. Miał już zamiar wrócić do magazynu i zaktywizować syntetyczną armię, kiedy przypomniał sobie o czarnej szkatułce, którą wraz z hełmem Edsel wyniósł z arsenału.

Dopiero teraz dostrzegł, że na wieku szkatułki wygrawerowany był napis: BRONŃ OSTATECZNA. A więc jeszcze jeden instrument do zdobycia władzy. Może nawet potężniejszy niż wszystkie inne zgromadzone w marsjańskiej zbrojowni.

- Co to może być? - pytał Parke sam siebie. Dostatecznie długo utrzymał przy życiu Edsela, aby ten idiota wypróbował tajemnicze marsjańskie bronie. Zapomniał o tej szkatułce. Zbadanie jej samemu może zakończyć się dla niego nieszczęśliwie. Po co ryzykować? Szkoda jednak, że wykończył Edsela, zanim tamten wypróbował jeszcze tę broń ostateczną zamkniętą w niewielkiej czarnej szkatułce.

Oczywiście, że dam sobie doskonale radę i bez tego perswadował sobie Parke. Miał taką masę najróżniejszego uzbrojenia, przeciw któremu nie znano na Ziemi obrony. Ale wszystko mogłoby pójść znacznie łatwiej, dużo prędej, może i o wiele bezpieczniej dla niego samego. Cokolwiek to było, sądząc po reszcie skarbów nagromadzonych w zbrojowni, musiało być również coś wyśmienitego.

Wreszcie zdecydował się. Sprawdzi, co Marsjanie traktowali jako broń ostateczną. Otworzy szkatułkę... Wydobyła się z niej jakaś para. Parke odrzucił szkatułkę daleko od siebie sądząc, że to gaz trujący. Para wzbierała, koncentrowała się, falowała jakoś dziwnie przez chwilę, a potem zaczęła krzepnąć, rozrastać się, nabierać kształtów. Po kilku sekundach proces formowania się tego stworu ustał. Nad szkatułką, niby podstawą, kołysało się coś w rodzaju wielkiego balona o białą pobłyskującej powierzchni.

W tym momencie Parke zorientował się, że to, co powstało, to jakby olbrzymia paszcza, nad którą znajdowała się jeszcze para utkwionych w niego ślepi. Hełm, który przyszył wódz wszechświata miał na głowie, umożliwił mu zrozumienie słów wypowiedzianych przez olbrzymią paszczę.

- Nareszcie znów protoplazma! - radowała się paszcza. - Po tak długim czasie znów okazja pożywienia się protoplazmą...

Wyzwolony ze szkatułki potwór sięgnął po trupa Edsela. Paszcza pochłonęła zwłoki, nie zostawiając po nich żadnego śladu.

Parke podniósł trzymaną w ręce broń i wycelował ją w potwora.

- Spokojna protoplazma - zachwyciła się paszcza po połknięciu Edsela. - Lubię spokojną protoplazmę.

Parke wypalił. Pod szkatułką powstał trzymetrowy krater, ale potwór nawet nie drgnął. Chichotał tylko złowrogo, gramoląc się wraz ze szkatułką z krateru.

- Od dawna nie miałem świeżej protoplazmy - westchnął.

Parke starał się opanować. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu poddać się panice. Wiedział już, na czym polegała ta potworna, ostateczna broń Marsjan. Ostateczna broń, która nie oszczędziła ani obrońców, ani agresorów. Parke zbliżył się wolno do czarnej maszyny na kołach, którą przed godziną wytoczył z magazynu wraz z Edselem. Uruchomił aparaturę. Wokół niego powstała sina mgła pola magnetycznego.

Ale sina mgła niszcząca pociski nie stanowiła przeszkody dla olbrzymiej paszczy. Potwór zachichotał znów i bez trudu przedostał się przez mgłę magnetyczną. Parke sięgnął teraz po broń, którą zabił Edsela. Skierował śmiertelny promień w sam środek paszczy.

Potwór zbliżał się coraz bardziej.

- Giń, giń! - wrzeszczał Parke z całych sił naciskając spust broni.

Paszcza była już nad nim.

- Lubię spokojną protoplazmę - dudnił skrzeczący głos pod hełmem - ale lubię również żywą protoplazmę. Paszcza przełknęła żarłocznie Parkego i wyszła z obrębu pola magnetycznego,

rozglądając się wkoło z tęsknotą za milionami jednostek protoplazmy, które przed tysiącami lat zamieszkiwały tę planetę.

Duch V

Teraz czyta nasz szyld, powiedział Gregor, stojąc twarzą przyciśniętą do judasza w drzwiach biura,

- Daj mi popatrzeć, poprosił Arnold.

Gregor odepchnął go. Zaraz zapuka. Nie, rozmyślił się. Odchodzi.

Arnold wrócił do biurka i rozłożył karty do pasjansa. Gregor nadal obserwował przez judasza.

Judasza w drzwiach zamontowali po prostu z nudów trzy miesiące po założeniu spółki i wynajęciu biura. Przez cały ten czas interesy AAA Agencji Doskonałej Adaptacji Planet nie szły dobrze - mimo że była na pierwszym miejscu w książce telefonicznej. Adaptacja planet była specjalnością istniejącą od dawna i całkowicie zmonopolizowaną przez dwa duże przedsiębiorstwa. Dla małej, nowej firmy prowadzonej przez dwóch młodych ludzi o wspaniałych pomysłach i z wieloma niezapłaconymi rachunkami za aparaturę było to zniechęcające.

- Wraca, - krzyknął Gregor. - Szybko - udawaj zapracowanego i ważnego!

Arnold zgarnął karty do szuflady i ledwie skończył zapinać fartuch, kiedy rozległo się pukanie.

Ich gość był niskim, łysym mężczyzną o zmęczonej twarzy. Spojrzał na nich niepewnie.

- Panowie adaptują planety?

- Tak, proszę pana - powiedział Gregor i odsunawszy stos papierów ścisnął wilgotną dłoń mężczyzny - jestem Richard Gregor. A to mój wspólnik, doktor Frank Arnold.

Arnold wyglądający efektownie w białym fartuchu i okularach w czarnej rogowej oprawce, kiwnął głową w zamyśleniu, nie przerywając baczno przyglądania się starym próbowkom.

- Proszę, niech pan usiądzie, panie...

- Ferngraum

- Panie Ferngraum. Sądzę, że możemy prowadzić każdą sprawę, jaką pan nam zleci - powiedział Gregor zachęcająco. - Kontrolę flory i fauny, oczyszczanie atmosfery i zasobów wody, sterylizację gleby, próby stabilności, kontrole wulkanów i trzęsień ziemi - słowem, wszystko co jest konieczne, by umożliwić zasiedlenie planety.

Ferngraum nadal miał niewyraźną minę.

- Bedę z panami szczerzy. Mam problemy z moją planetą.

Gregor kiwnął głową z pewną siebie miną. - Nasza praca polega na rozwiązywaniu problemów.

- Jestem pośrednikiem w handlu nieruchomościami, mówił dalej Ferngraum. - Wie pan jak to jest - kupuję planety, sprzedaję - jakoś trzeba zarabiać na życie. Zwykle zajmuję się dzikimi planetami i adaptację pozostawiam nabywcom. Ale kilka miesięcy temu trafiła mi się okazja kupienia planety o naprawdę dużej wartości - sprzątnąłam ją sprzed nosa wielkiej spółce handlowej.

Ferngraum z z troskaniem wytarł czoło.

To jest piękne miejsce - ciągnął dalej bez entuzjazmu - przeciętna temperatura dwadzieścia dwa stopnie. Teren górzysty, ale gleba żyzna. Wodospady, tęczę, wszystkie te cuda. I zupełny brak fauny.

- Brzmi to wspaniale - powiedział Gregor. - A mikroorganizmy?

- Nic, co mogłoby być niebezpieczne.

- O co w takim razie chodzi?

Ferngraum wyglądał na zakłopotanego.

- Może panowie słyszeli o tej planecie. Numer ewidencyjny RJC - 5. Ale wszyscy nazywają ją Duch V.

Gregor uniósł brwi.

- Duch to dość dziwna nazwa dla planety, ale słyszał już dziwniejsze. W końcu trzeba było je jakoś nazywać. W zasięgu

lotów kosmicznych znajdowało się tysiące słońc z planetami zamieszkałymi przez ludzi lub nadającymi się do zasiedlenia. I w cywilizowanych światach było wielu ludzi którzy chcieli założyć kolonie. Sekty religijne, mniejszości polityczne, grupy filozoficzne - czy po prostu pionierzy chcący zacząć wszystko od nowa.

- Nie przypominam sobie, żebym coś o tym słyszał - powiedział Grogor.

Ferngraum poruszył się niespokojnie.

- Powinienem był posłuchać mojej żony. Ale nie - chciałem zostać wielkim przedsiębiorcą. Zapłaciłem za Ducha V dziesięć razy więcej niż zwykle płace i nabrałem się.

- - Ale w czym tkwi problem? - zapytał Gregor.

- - Wygląda na to, że tam straszy, odpowiedział z rozpaczą w głosie Ferngraum.

Ferngraum zbadał swoją planetę radarami, potem wydzierżawił ją spółce farmerów z Dijon VI. Ośmioosobowa grupa rozpoznawcza wylądowała na miejscu i nie minął dzień, kiedy zaczęły nadchodzić zniekształcone raporty o demonach, duchach, wampirach, dinozaurach i innych potworach.

Kiedy przybył po nich statek ratunkowy, wszyscy byli martwi. Raport po autopsji stwierdził, że cięcia i rany na ich ciałach mogły być zadane przez wszystko, nawet demony, duchy, wampiry czy dinozaury, jeśli takie istnieją - Ferngraum musiał zapłacić karę za niewłaściwe przygotowanie planu . Farmerzy zrezygnowali z dzierżawy. Ale udało mu się wydzierżawić ją grupie czcicieli słońca z Opalu II.

Czciciele słońca byli ostrożni. Wysłali swój ekwipunek i tylko trzech ludzi na rekonesans. Ludzie ci założyli obóz, rozpakowali rzeczy i ogłosili, że planeta jest rajem. Właśnie przekazywali wiadomość, by grupa przybyła na miejsce, kiedy rozległ się przeraźliwy krzyk i... cisza.

Statek patrolowy poleciał na Ducha V, pogrzebano ciała i opuszczono planetę w ciągu dokładnie pięciu minut.

- I tak to się skończyło - powiedział Ferngraum. - Teraz nikt jej nie chce za żadną cenę. Załogi statków nie chcą na niej lądować: A ja nadal nie wiem co się stało.

Westchnął głęboko i spojrzał na Gregora.

- Jeśli chcecie, możecie się tym zająć

Gregor i Arnold przeprosili go na chwilę i wyszli do przedpokoju.

Arnold wydał okrzyk radości: - Mamy robotę!

- Taak - powiedział Gregor, - ale jaką robotę.

- Chcieliśmy coś trudnego, - zwrócił mu uwagę Arnold. „Jeśli nam się uda, zdobędziemy rozgłos - nie mówiąc już o zyskach.

- Zdaje się, że zapominasz, - powiedział Gregor, - że to ja mam polecieć na te planety. Ty tylko będziesz tu siedział i wyciągał wnioski z przysłanych przeze mnie danych.

- Tak przecież ustaliliśmy, przypomniał Arnold. -Ja jestem dział naukowy, a ty przeprowadzasz ekspertyzę. Pamiętasz?

Gregor pamiętał. Od najmłodszych lat ciągle pakował się w kłopoty, podczas, gdy Arnold siedział spokojnie i tłumaczył mu dlaczego to robił.

- Nie podoba mi się ta sprawa, - powiedział.

- Chyba nie wierzysz w duchy?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Cóż, z każdą inną zmurą poradzimy sobie. Tylko odważni mogą liczyć na dobry zarobek.

Gregor wzruszył ramionami. Wrócili do Ferngrauma.

W ciągu pół godziny uzgodnili warunki - wysoki procent z przyszłych zysków jeśli robota się uda, pokrycie poniesionych kosztów jeśli się nie uda

Gregor odprowadził Ferngrauma do drzwi.

- Swoją drogą, zapytał, - jak pan do nas trafił?

- Nikt inny nie chciał wziąć tej sprawy, -powiedział Ferngraum, wyraźnie z siebie zadowolony. - Życzę powodzenia.

Trzy dni później Gregor był już w drodze na Ducha V na pokładzie frachtowca kosmicznego. Czas podróży wykorzystał na dokładne przestudiowanie raportów z dwóch prób kolonizacji i czytanie szeregu prac dotyczących zjawisk nadprzyrodzonych.

Ale to niczego nie wyjaśniało. Na Duchu V nie znaleziono żadnych śladów istnienia zwierząt i nigdzie w Galaktyce nie odkryto dowodów istnienia stworów nadprzyrodzonych.

Gregor zastanawiał się nad tym. Sprawdził swoją broń, gdyż frachtowiec zbliżał się do Ducha V. Wiózł arsenał wystarczający do prowadzenia i wygrania niewielkiej wojny.

O ile znajdzie się coś do czego będzie można strzelać...

Kapitan frachtowca zniżył statek na odległość kilku tysięcy stóp od pogodnej, zielonej powierzchni planety. Gregor zrzucił swoje rzeczy na spadochronie na miejsce dwóch poprzednich obozowisk, uścisnął rękę kapitana i sam również skoczył na spadochronie.

Wylądował bezpiecznie i spojrzał w górę. Frachtowiec gnał w górę jakby goniły go rozwścieczone furie.

Był sam na Duchu V.

Po sprawdzeniu czy aparatura nie uległa uszkodzeniu, nadał Arnoldowi wiadomość, że wylądował bezpiecznie. Potem z miotaczem w rękę, przeprowadził inspekcje obozu czcicieli słońca.

Wybrali sobie miejsce u podnóża gór, nad małym jeziorem o krystalicznie czystej wodzie. Baraki były w idealnym stanie.

Nie zniszczyły ich wiatry ani burze, bo Duch V obdarzony był wspaniałym klimatem. Stały smutne i opuszczone.

Gregor dokładnie zbadał wnętrze jednego z nich. Ubrania starannie ułożone w pokoikach, obrazy na ścianach, a na jednym oknie wisiała nawet zasłona. W rogu pokoju stało otwarte pudło z zabawkami, przygotowane na przyjazd dzieci.

Pistolet, na wodę, bąk i kulki do gry leżały rozrzucone na podłodze.

Nadchodził wieczór, więc Gregor wniósł swoje rzeczy do jednego z baraków i przygotował się do przetrwania nocy. Podłączył system alarmowy i nastawił go tak, że zareagowałby nawet na karalucha. Włączył radar kontrolujący najbliższe otoczenie. Rozpakował swój arsenał, układając karabiny ciężkiego kalibru w zasięgu ręki. Miotacz ręczny wetknął sobie za pas. Po czym, usatysfakcjonowany, zjadł lekką kolację.

Za oknami wieczór zmienił się w noc. Ciepłą, rozmarzoną krainę ogarnęła ciemność. Lekki wietrzyk zmarszczył wody jeziora i szeleścił cicho w wysokiej trawie.

Było spokojnie.

Doszedł do wniosku, że koloniści musieli być histerykami. Prawdopodobnie ogarnęła ich panika i pozabijali się nawzajem.

Po sprawdzeniu jeszcze raz systemu alarmowego, Gregor rzucił swoje ubranie na krzesło i wszedł do łóżka. Pokój rozświetlało światło gwiazd, silniejsze niż światło księżyca na Ziemi. Miotacz był pod poduszką. Wszystko było w porządku.

Właśnie zasypiał, kiedy poczuł że nie jest sam w pokoju.

To nie było możliwe. System alarmowy nie reagował. Radar nadal szemrał spokojnie.

A jednak każdy nerw w jego ciele wył na alarm. Wyciągnął miotacz i rozejrzał się.

W rogu pokoju stał mężczyzna.

Nie było czasu na zastanawianie się jak tu się dostał. Gregor wycelował miotacz i powiedział:

- Dobra, teraz ręce do góry.

Postać nie poruszyła się.

Palec Gregora zacisnął się na cynglu, a potem nagle rozluźnił się. Poznał tego mężczyznę. To było jego własne ubranie, ułożone na krześle, któremu światło gwiazd i jego wyobraźnia nadały kształt człowieka.

Uśmiechnął się i opuścił miotacz. Sperta ubrań poruszyła się. Gregor poczuł wiew powietrza od strony okna i nadal się uśmiechał. Potem sterta ubrań wstała, wyprostowała się i zaczęła iść wyraźnie w jego kierunku .

Znieruchomiały w łóżku; patrzył jak bezcielesne ubranie, przybrawszy ludzką postać, zbliża się do niego.

Kiedy było w połowie pokoju i puste rękawy wyciągnęły się ku niemu, zaczął strzelać.

I strzelał długo, gdyż strzępy i resztki ubrania leciały do niego jakby nagle ożyły. Płonące kawałki materiału napierały na jego twarz, a pas próbował okręcić się wokół jego nóg. Musiał spalić wszystko na popiół, zanim atak ustał.

Kiedy już było po wszystkim, Gregor zapalił wszystkie światła. Zaparzył kawę i wlał do niej prawie całą butelkę brandy. Z trudem powstrzymał się przed rozwaleniem urządzeń alarmowych na kawalki. Połączył się ze współnikiem.

- To bardzo interesujące, powiedział Arnold, kiedy Gregor opowiedział mu o wydarzeniach. Animacja ! Naprawdę bardzo interesujące.

- Wiedziałem, że cię to rozbawi, - powiedział z goryczą Gregor. Po sporej dawce brandy poczuł się opuszczony i wykorzystywany.

- Czy coś jeszcze się stało?

- Jeszcze nie.

- No tak, uważaj. Mam pewną teorię. Musze nad nią popracować. A propos, jakiś zwariowany facet stawia pięć do jednego, że ci się nie uda.

- Naprawdę?

- Tak. Założyłem się z nim.

- Postawiłeś na mnie?, - zapytał Gregor

- Oczywiście, - oburzył się Arnold. - Przecież jesteśmy współnikami.

Rozłączyli się i Gregor zaparzył jeszcze jeden dzbanek kawy. Nie miał zamiaru zasypiać tej nocy. Podtrzymała go na duchu myśl, że Arnold postawił na niego. Ale, w końcu, Arnold zawsze był złym graczem.

Obudził się koło południa, znalazł jakieś ubranie i zabrał się do przeszukiwania obozu czcicieli słońca.

Przed wieczorem znalazł coś. Na ścianie baraku ktoś w pośpiechu wydrapał słowo "TgaskliY" "TgaskliY". Nic mu to nie mówiło, ale natychmiast dał o tym znać Arnoldowi.

Potem przetrząsnął każdy kąt swojego baraku, zapalił światła, sprawdził system alarmowy i naładował miotacz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Z zalem patrzył na zachodzące słońce mając nadzieję że uda mu się przeżyć do wschodu. Potem usadowił się na wygodnym krześle i próbował wymyślić coś mądrego.

Nie było tu żadnych zwierząt ani wędrujących roślin, żyjących skał ani wielkich mózgow ukrytych w jądrze planety. Duch V nie miał nawet księżyc, na którym ktoś mógłby się schować.

Nie mógł uwierzyć w istnienie duchów czy demonów. Wiedział, że zjawiska nadprzyrodzone przestawały być niezwykle, jeśli je się dokładnie zbadało. Duchy nigdy nie chciały stać spokojnie, by jakiś niedowiarek mógł je zbadać - znikały. Zawsze wtedy, kiedy w zamku pojawiał się naukowiec z kamerami i magnetofonami, upiory wydawały się być na urlopie.

Była jeszcze jedna możliwość. Przypuśćmy, że ktoś chciał mieć te planetę, ale nie za cenę proponowaną przez Ferngraua. Czy taki ktoś nie mógł ukryć się tu, straszyć osadników, a nawet zabić ich, żeby doprowadzić do opuszczenia ceny?

To brzmiało logicznie. W ten sposób można by wytłumaczyć również zachowanie jego ubrania. Elektryczność statyczna, właściwie użyta...

Coś stało przed nim. System alarmowy, tak jak przedtem, nie zareagował.

Gregor powoli podniósł głowę. To coś naprzeciw niego miało dziesięć stóp wysokości i przypominało postać ludzką, z wyjątkiem krokodylej głowy. Było jasnoczerwone w pionowe, purpurowe pasy. W jednej pazurzastej łapie trzymało dużą, brązową puszkę.

- Cześć, - powiedziało.

- Cześć, - odpowiedział Gregor zdławionym głosem. Jego miotacz leżał na stole dwa metry od niego. Zastanawiał się czy to coś zaatakuje jeśli on sięgnie po broń. - Jak się nazywasz?, - zapytał Gregor spokojnie.

- Jestem Szkartatno-Purpurowy Pożeracz, - odpowiedziało. - Chwytam i pożeram.

- Bardzo ciekawe. - Gregor pomaleńku sięgał po miotacz.

- Chwytam i pożeram rzeczy nazywające się Richard Gregor - pogodnie i szczerze tłumaczył mu Pożeracz. - I zwykle jem je w czekoladowym sosie.

Pokazał mu puszkę i Gregor przeczytał nalepkę: "Sos Smiga - Wspaniały do polewania Gregorych, Arnoldów i Flynnów.

Palce Gregora dotknęły kolby miotacza. Zapytał:

- Czy miałeś zamiar mnie pożreć?

- O, tak, - odpowiedział Pożeracz.

Gregor miał już w ręku miotacz. Odbezpieczył go i strzelił. Świetlisty strumień spłynął po Pożeraczu, osmalił podłogę, ściany i brwi Gregora.

- To mnie nie zrani, - wyjaśnił Pożeracz. Jestem za wysoki.

Miotacz wypadł Gregorowi z ręki. Pożeracz pochylił się ku niemu.

- Nie zjem cię teraz, - powiedział.

- Nie? - wykrztusił Gregor.

- Nie. Mogę cię zjeść dopiero jutro, pierwszego maja. Takie są zasady. Przyszedłem prosić cię o przysługę.

- Jaką?

Pożeracz uśmiechnął się czarująco.

- Czy mógłbyś być tak miły i zjeść kilka jabłek? One nadają wspaniały aromat.

I powiedziawszy to pasiasty potwór zniknął.

Drżącymi rękami Gregor włączył nadajnik i opowiedział wszystko Arnoldowi.

- Hmm, - powiedział Arnold. "Szkarłatno-purpurowy Pożeracz", tak? To potwierdza moje przypuszczenia.

- Jakie przypuszczenia? - O czym ty mówisz?

- Po pierwsze zrób to co ci powiem. Muszę się upewnić.

Posłuszny instrukcjom Arnolda, Gregor rozpakował aparaturę do badań chemicznych. Porozkładał różne probówki, retorty i chemikalia. Mieszał potrząsał, dodawał i odejmował według wskazówek i w końcu podgrzał otrzymaną mieszaninę.

- No już, - powiedział podchodząc z powrotem do nadajnika, - wytłumacz mi co się dzieje.

- Posłuchaj. Poszukałem w słowniku słowa "TgaskliY". To po opaliańsku. Oznacza "ducha o wielu zębach". Czyciele słońca byli z Opalu. Czy już coś rozumiesz ?

- Zostali zabici przez rodzimego ducha, odparł burkliwie Gregor - Musiał się ukryć w ich statku. Pewnie jakaś klątwa...

- Uspokój się, - powiał Arnold. - Duchy nie mają z tym wspólnego. Czy roztwór się gotuje?

- Nie

- Powiedz mi jak się zagotuje. A teraz wróćmy do sprawy twojego ożywionego ubrania. Czy to ci czegoś nie przypomina?

Gregor zastanowił się.

- Cóż, kiedy byłem dzieckiem - nie, to bez sensu.

- No powiedz, nalegał Arnold.

- Kiedy byłem mały, nigdy nie zostawiałem ubrania na krześle. W ciemności zawsze wyglądało jak człowiek albo smok czy coś w tym rodzaju. Myślę, że każdemu się to zdarzyło. Ale to nie wyjaśnia...

- Oczywiście, że wyjaśnia! Czy już sobie przypominałeś Szkartatno-purpurowego Pożeracza?

- Nie. Dlaczego?

- Bo to ty go wymyśliłeś! Pamiętasz? Mieliśmy wtedy po osiem czy dziewięć lat, ty ja i Jimmy Flynn. Wymyśliliśmy najstraszniej szego potwora - to był nasz własny potwór i chciał pożreć tylko albo ciebie, albo mnie, albo Jimmiego - polanych czekoladowym sosem. Ale tylko pierwszego każdego miesiąca. Żeby się go pozbyć, trzeba było wymówić zaklęcie.

Teraz Gregor przypomniał sobie i dziwił się jak mógł o tym zapomnieć. Ileż to nocy przesiedział skulony, przerażony czekając na Pożeracza?

- Czy roztwór się gotuje?, zapytał Arnold.

- Tak, - odpowiedział Gregor spojrzawszy na próbkę.

- Jakiego jest koloru?

- Taki zielonkawo-niebieski. Bardziej niebieski...

- Prawidłowo. Możesz go już wylać. Muszę jeszcze przeprowadzić kilka prób, ale myślę, że wygraliśmy.

- Co wygraliśmy? Czy możesz mi wytłumaczyć?

- To oczywiste. Na planecie nie ma zwierząt. Duchy nie istnieją, przynajmniej nie takie które mogłyby zabić oddział uzbrojonych mężczyzn. Jedynym rozwiązaniem mogły być halucynacje, więc szukałem czegoś co mogło je powodować. Znalazłem sporo przyczyn. Oprócz narkotyków spotykanych na

Ziemi, jest kilkanaście gazów ,wywołujących halucynacje, spisanych w Katalogu Obcych Pierwiastków Śladowych. - Mogą powodować depresje, pobudzać - sprawiać, że czujesz się jak glista albo orzeł, albo geniusz. Ten, o który nam chodzi określony jest jako Longstead 42. Jest to ciężki, przezroczysty, bezwonny gaz, który nie uszkadza żadnych tkanek. To jest środek pobudzający wyobraźnię.

- Chcesz przez to powiedzieć że wszystko mi się przywidziało?
- Zrozum...

- To nie jest takie proste, - przerwał mu Arnold. - Longstead 42 działa bezpośrednio na podświadomość. Wyzwała , najmocniejsze podświadome lęki, stłumione koszmary z dzieciństwa. Ożywia je. I to właśnie widziałeś.

- Więc tak naprawdę to nic tu nie było?, - zapytał Gregor.

- Nic o realnej, fizycznej postaci. Ale te halucynacje są prawdziwe dla każdego kto je ma.

Gregor sięgnął po następną butelkę brandy. Trzeba było uczcić takie odkrycie.

- Bez trudu poradzimy sobie z Duchem V, - Arnold kontynuował , pewnym siebie głosem. - Longstead 42 można łatwo wyeliminować. I będziemy bogaci, współniku!

Gregor chciał już wznieść toast, kiedy przyszła mu do głowy niepokojąca myśl.

Jeśli to są tylko halucynacje, to co się stało z osadnikami?

Arnold milczał przez chwilę.

- No cóż, - odezwał się - Longstead 42 może powodować instynkt śmierci. Osadnicy musieli zwariować. Pozabijali się nawzajem

- I nikt nie pozostał przy życiu?

- Oczywiście. Ci ostatni popełnili samobójstwo albo zmarli na skutek odniesionych ran. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Zaraz wsiadam na statek i przylecę zrobić te badania. Za dzień lub dwa zabiorę cię stamtąd

Na tym skończyli rozmowę. Tego wieczoru Gregor pozwolił sobie na wypicie reszty brandy. Uważał, że mu się to należy. Zagadka Ducha V była rozwiązana i wkrótce mieli zostać bogaci .

Wtedy on będzie mógł wynająć człowieka na lądowania na dziwnych planetach, a sam będzie siedział w domu i dawał instrukcje przez radio.

Następnego dnia obudził się na kacu . Statek Arnolda jeszcze nie przybył, więc spakował swoje rzeczy i czekał. Nadszedł wieczór, a statku jeszcze nie było. Usiadł na progu baraku i przyglądał się jaskrawemu zachodowi słońca. Potem wszedł do środka i zrobił kolację.

Sprawa osadników nadal go niepokoiła, ale postanowił nie myśleć o tym. Na pewno istniało jakieś logiczne wytłumaczenie. Po kolacji wyciągnął się na łóżku. Zaledwie zamknął oczy, kiedy usłyszał czyjeś nieśmiało chrząknięcie.

- Cześć, - powiedział Szkarłatno-purpurowy Pożeracz.

Postać z wyobraźni wróciła by go pożreć.

- Cześć, stary, - odpowiedział pogodnie, bez cienia strachu czy niepokoju.

- Czy zjadłeś jabłka?

- Bardzo cię przepraszam. Zapomniałem.

- Trudno. - Pożeracz starał się ukryć rozczarowanie. - Przyniosłem sos czekoladowy. - Pokazał mu puszkę.

Gregor uśmiechnął się.

- Możesz już teraz zniknąć. Wiem, że jesteś tylko wymysłem mojej wyobraźni. Nie możesz zrobić mi nic złego

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział Pożeracz. - Po prostu mam zamiar cię zjeść

Podszedł do Gregora. Gregor stał w miejscu i uśmiechał się, chociaż wolałby, żeby Pożeracz nie wyglądał tak realnie materialnie. Pożeracz pochylił się i spróbował ugryźć go w rękę.

Gregor cofnął się gwałtownie i spojrzał na rękę. Widać było na niej ślady krwi. Z ranek sączyła się krew - prawdziwa jego krew.

Ciała osadników były poszarpane, pogryzione i pocięte.

W tym momencie Gregor przypomniał sobie pokaz hipnotyzera, który kiedyś oglądał. Hipnotyzer powiedział wtedy swojemu medium, że dotyka jego ramienia zapalonym papierosem. Dotknął to miejsce długopisem. W ciągu kilku

sekund na ramieniu medium pojawił się czerwony ślad i pęcherz, dlatego że uwierzyło w oparzenie.

A więc jeśli w podświadomości człowiek jest przekonany, że nie żyje, to naprawdę staje się martwy!

On nie wierzył w Pożeracza.

Ale jego podświadomość wierzyła.

Rzucił się w kierunku drzwi. Pożeracz zastąpił mu drogę. Schwycił go w łapy i zbliżył uzębiony pysk do jego szyi.

Zakłęcie! Jak to brzmiało?

Gregor krzyknął:

- Alfoisto?!

- To nie to słowo, - powiedział Pożeracz. - Proszę, nie wrywaj się.

- Regnastikio

- Nie. Przestań się wiercić, a będzie po wszystkim zanim...

- Woorspelhappilo!

Pożeracz wrzasnął z bólu i puścił go. Uniósł się do góry i zniknął. Gregor opadł bezwładnie na krzesło. Koniec był tak blisko. Zbyt blisko. Idiotycznie byłoby umrzeć w ten sposób - rozdarty przez swoją własną, pożądaną śmierci wyobraźnię, zabity przez przekonanie. Miał szczęście, że przypomniał sobie to słowo. Gdyby Arnold się pośpieszył...

Usłyszał cichy chichot.

Rozległ się w ciemności za przymkniętymi drzwiami pracowni. Przywołał wspomnienia z dawnych lat. Znow miał dziewięć lat i wrócił Zmrokotwór - jego Zmrokotwór - dziwne, chude, przerażające stworzenie, które kryło się za drzwiami, spało pod łóżkiem i atakowało tylko w ciemności.

- Zgaś światło, - powiedział Zmrokotwór.

- Nie ma mowy, - odpowiedział Gregor, chwytając miotacz. W oświetlonym pokoju był bezpieczny.

- Dobrze ci radzę, zgaś je.

- Nie !

- W porządku. Egan, Megan Degan!

Trzy małe stworzonka wbiegły do pokoju. Rzuciły się na żarówkę i zaczęły ją pożerać z apetytem.

W pokoju zrobiło się ciemniej. Gregor strzelał za każdym razem, kiedy zbliżały się do lampy. Szkło rozprysło się, ale zwinne stworki za każdym razem zdążyły uskoczyć z drogi.

I wtedy Gregor zdał sobie sprawę z tego co zrobił. Stworki nie mogły naprawdę jeść światła. Wyobraźnia nie działa na przedmioty martwe. Jemu zdawało się, że w pokoju się ściemnia i...

Rozwalił żarówki ! Niszcząca podświadomość zrobiła mu paskudny kawał.

Teraz Zmrokotwór wtoczył do pokoju. Skacząc od cienia do cienia zbliżył się do Gregora.

Miotacz okazał się bezużyteczny. Gregor gorączkowo próbował wymyślić zaklęcie i z przerażeniem przypomniał sobie, że na Zmrokotwora nie działało żadne. Cofał się, dopóki nie dotknął plecami wielkiej skrzyni. Zmrokotwór pochylił się nad nim. Gregor upadł na ziemię i zamknął oczy.

Jego ręka dotknęła czegoś zimnego. Leżał przy skrzyni z zabawkami dla dzieci osadników. Przedmiot, którego dotykał to był pistolet na wodę.

Chwycił go i wyciągnął przed siebie. Zmrokotwór cofnął się, patrząc na broń bojażliwie.

Gregor szybko podbiegł do kranu i napełnił pistolet. Skierował na potwora śmiertelny strumień wody.

Zmrokotwór zawył i zniknął.

Gregor uśmiechnął się i wcisnął pusty pistolet za pas.

Pistolet na wodę to skuteczna broń przeciwko wymyślonym potworom.

Już świtało kiedy wylądował statek Arnolda. Nie tracąc czasu Arnold zabrał się do przeprowadzania badań. Skończył koło południa, definitywnie stwierdzając że mają do czynienia z pierwiastkiem Longstead 42. Spakowali się natychmiast i wystartowali.

Kiedy już byli w przestrzeni, Gregor opowiedział swemu współnikowi o wydarzeniach ostatniej nocy.

- Przeżyłeś ciężkie chwile, - powiedział Arnold z podziwem .

Teraz, gdy był już w bezpiecznym oddaleniu od Ducha V, Gregor mógł przybrać pozę skromnego bohatera.

- Mogło być gorzej, - powiedział.

- Jak to gorzej?

- Gdyby Jimmy Flynn był tutaj. On to potrafił wymyślać potwory. Pamiętasz Gromostracha?

- Pamiętam jedynie, że przez niego przeżyłem wiele koszmarnych nocy - powiedział Arnold.

Statek sunął w kierunku Ziemi. Arnold napisał parę zdań do artykułu pod tytułem "Instynkt śmierci na Duchu V. Badania Stymulacji Podświadomości, Histerii i Grupowych. Halucynacji wywołujących objawy fizyczne". Potem poszedł do kabiny sterowania by włączyć autopilota.

Gregor wyciągnął się na łóżku, postanowiwszy odbić sobie nie przespane noce na Duchu V. Ledwie zasnął, kiedy do pokoju wpadł Arnold z twarzą bladą ze strachu.

- Wydaje mi się, że coś jest w kabinie sterowania, - powiedział.

Gregor usiadł.

- To niemożliwe. Jesteśmy daleko od ...

W kabinie sterowania rozległ się cichy pomruk.

- O Boże!, - jęknął Arnold. Milczał przez chwilę w skupieniu.

- Wiem. Kiedy wylądowałem, zapomniałem zamknąć dopływ powietrza. Nadal oddychamy powietrzem z Ducha V!

W drzwiach stał wielki szary stwór o skórze pokrytej czerwonymi cętkami. Miał zaskakującą ilość rąk, nóg, macek, szponów i zębów i jeszcze dwa małe skrzydła. Szedł powoli w ich stronę mrużąc i stękając.

Poznali go - to był Gromostrach.

Gregor rzucił się do drzwi i zamknął mu je przed nosem.

- Powinniśmy być bezpieczni tutaj, - szepnął oddychając z trudem. - Drzwi są hermetyczne. Ale jak będziemy kierować statkiem?

- Nie będziemy, - odparł Arnold. - Musimy zaufać autopilotowi, chyba że wymyślimy jakiś sposób by pozbyć się tego stwora.

Zauważyli, że nikły dym zaczynał przedostawać się przez uszczelnione drzwi.

- Co to? - zapytał drżącym głosem Arnold.

Gregor zmarszczył brwi.

- Zapomnieliśmy, że Gromostrach może wejść do każdego pokoju. Nie ma sposobu na powstrzymanie

- Nic sobie nie mogę przypomnieć, - powiedział Arnold. - Czy on je ludzi?

- Nie. O ile dobrze pamiętam, tylko rozszarpuje na kawałki.

Dym zaczął przybierać formę Gromostracha. Uciekli do następnego pokoju, zamykając szczelnie drzwi za sobą. W ciągu kilku sekund dym znów wślizgnął się za nimi.

- To idiotyczne, - powiedział Arnold przygryzając wargi. - Być ściganym przez wymyślonego potwora - poczekaj ! Masz jeszcze ten pistolet na wodę, prawda?

- Tak, ale...

- Daj mi go !

Arnold podbiegł do zbiornika z wodą i napełnił pistolet. Gromostrach znowu się zmaterializował. Sunął ku nim niezdarnie, stękając z niezadowolenia. Arnold strzelił do niego strumieniem wody.

Gromostrach ciągle się zbliżał.

- Już wiem - powiedział Gregor. - Pistolet na wodę nie zatrzyma Gromostracha.

Wycofali się do następnego pokoju i zatrzasnęli drzwi. Dalej był już tylko magazyn paliwa i śmiertelna próżnia przestrzeni.

- Czy nie możesz zrobić czegoś z powietrzem? -zapytał Gregor.

Arnold pokręcił głową przecząco.

Już się ulatnia. Ale Longstead przestaje działać dopiero po dwudziestu godzinach.

- Nie ma żadnego antidotum?

- Nie.

Gromostrach jeszcze raz się pojawił. Odgłosy, które wydawał, świadczyły, że jest w nie najlepszym nastroju.

- Jak można go zabić?, - zapytał Arnold. - Musi być jakiś sposób. Zaklęcia? A może drewniany miecz?

Gregor pokręcił głową.

- Już sobie wszystko przypomniałem, - powiedział smętnie

- Co go zniszczy !

- Nie zniszczy go ani pistolet na wodę, ani korkowiec ani fajerwerk , kopec, ani proca, ani żadna inna dziecięca broń. Gromostrach jest zupełnie niezniszczalny.

- Ach ten Flynn ze swoją cholerną wyobraźnią! Co nas podkuśliło, żeby o nim rozmawiać? Jak w takim razie pozbyć się potwora?

- Mówiłem ci. Nie ma rady. Może odejść tylko z własnej woli.

Gromostrach urósł już do swych normalnych rozmiarów. Arnold i Gregor schronili się w maleńkim magazynie i zatrzasnęli ostatnie drzwi.

- Pomyśl, Gregor - błagał Arnold. - Żadne dziecko nie wymyśla potwora przed którym nie można się jakoś obronić. Pomyśl !

- Gromostracha nie można zabić, - powtórzył Gregor.

Dym znów zaczął przybierać postać cętkowanego potwora. Gregor przypomniał sobie wszystkie nocne koszmary, jakie kiedykolwiek miał. Jako dziecko musiał przecież robić coś, by bronić się przed nieznaną siłą.

- I nagle - w ostatniej chwili - przypomniał sobie.

Sterowany przez autopilota statek mknął ku Ziemi, całkowicie opanowany przez Gromostracha. Gromostrach wędrował pustymi korytarzami, przenikał przez stalowe ściany do kabin i magazynów, jęcząc, stękając i ciskając gromy, bo nie mógł znaleźć żadnej ofiary.

Statek dotarł do systemu słonecznego i automatycznie wszedł na orbitę Księżyca.

Gregor ostrożnie wychylił głowę, gotowy schować się z powrotem w razie potrzeby. Nie słyhać było groźnego szurania ani jęków, ani stękań . Nie było złowrogiej mgły przenikającej Przez drzwi i ściany.

- W porządku, - krzyknął do Arnolda. - Gromostrach znikł

Bezpieczni w niezawodnym schronieniu przed koszmarami nocy - zawinięci po czubki głów w koce - teraz mogli już wyjść ze swych kryjówek.

- Mówiłem ci, że pistolet na wodę nic nie pomoże, - powiedział Gregor. Czule pogładził koc. - Przykrycie kocem głowy to najlepsza obrona.

Rozdwojenie

Everett Barthold wykupił polisę ubezpieczeniową na życie nie bez zastanowienia. Najpierw dokładnie zapoznał się z warunkami, zwracając szczególną uwagę na zagadnienia łamania punktów umowy, rozmyślnych oszustw, machinacji z czasoprzestrzenią i zasad wypłacania odszkodowań. Sprawdził, na ile drobiazgowo towarzystwa ubezpieczeniowe badają sprawy przed wypłaceniem odszkodowania. Uzyskał wreszcie znaczną wiedzę na temat przypadków rozdwojenia - a to właśnie interesowało go szczególnie.

Kiedy uznał, że wie już wszystko, zaczął szukać towarzystwa ubezpieczeniowego, które spełniałoby jego wymagania. W końcu zdecydował się na Inter-Temporal Corporation, które w Teraźniejszości miało siedzibę w Hartford. Filie Inter-Temporal mieściły się w Nowym Jorku (w roku 1959), w Rzymie (rok 1580) i w Konstantynopolu (rok 1126). Oferowali więc swe usługi w całym obszarze czasowym, co było ważne dla realizacji całego planu.

Zanim Barthold złożył wniosek o polisę, przedyskutował swój projekt z żoną. Mavis Barthold była szczupłą, przystojną kobietą o przewrotnej kociej naturze.

- To się nigdy nie uda - stwierdziła natychmiast.

- Ależ to jest całkiem bezpieczne, kochanie - rzekł stanowczo Barthold.

- Resztę życia spędzisz pod kluczem.

- Nie ma mowy - zapewnił ją Barthold. - To nie może się nie udać... jeżeli mi pomożesz.

- Chcesz zrobić ze mnie swoje narzędzie - powiedziała żona. - Nie zgadzam się, kochanie.

- Moja droga, wydaje mi się, że chciałabyś mieć futro z autentycznych marsjańskich skartów. Chyba już niewiele ich pozostało przy życiu.

Oczy pani Barthold błysnęły. Mąż sprytnie ugodził w jej czuły punkt.

- Myślę też - rzekł z wolna Barthold - że sprawiłby ci przyjemność nowy poduszkowiec Daimlera, stroje z firmy Letti Det, sznur klejnotów ruum, willa na wenusjańskiej Riwierze...

- Wystarczy, kochanie! - pani Barthold z lubością patrzyła na swego przedsiębiorczego męża. Od dawna podejrzewała, że w tym niepozornym ciecie bije dzielne serce. Barthold był niski, zaczynał łysieć, miał pospolite rysy, a zza rogowych okularów patrzyły łagodne oczy. Ale jego duch najlepiej czułby się w jakimś potężnym ciecie pirata.

- Więc jesteś pewny, że to się uda? --spytała go.

- Zupełnie pewny, jeśli zrobisz to, co ci powiem, i przestaniesz się zgrywać.

- Dobrze, kochanie - powiedziała pani Barthold i pomyślała o blasku klejnotów ruum, o zmysłowym dotyku futra ze skartów.

Barthold poczynił ostatnie przygotowania. Wszedł do małego sklepiku, w którym na wystawie były różne rzeczy, ale wewnątrz handlowano czymś zupełnie innym. Wyszedł uboższy o kilka tysięcy dolarów, ale za to z małą brązową walizeczką, którą mocno ścisnął pod pachą. Pochodzenie tych pieniędzy było nie do ustalenia. Zbierał je w drobnych banknotach przez kilka lat. Pochodzenie zawartości brązowej walizeczki również było nie do ustalenia.

Zdeponował walizeczkę w przechowalni bagażu, odetchnął głęboko i wszedł do biura Inter-Temporal Corporation.

Przez pół dnia lekarze opukiwali go i osłuchiwali. Wypełnił formularze i w końcu został zaprowadzony do gabinetu pana Grynsa, kierownika oddziału.

Gryns był uprzejmym, zwalistym mężczyzną. Szybko przejrzał papiery Bartholda, kiwając potakująco głową.

- Doskonale, doskonale - rzekł. - Wszystko wydaje się w porządku. Poza jedną sprawą.

- Co takiego? - zapytał Barthold, a serce zabiło mu gwałtownie.

- Kwestia dodatkowego ubezpieczenia. Nie jest pan zainteresowany pożarem albo kradzieżą? Może odpowiedzialność cywilna, wypadek albo choroba? Ubezpieczamy od wszystkiego, począwszy od kuli muszkietowej, a skończywszy na tak dokuczliwej dolegliwości jak chroniczny katar.

- Och - powiedział Barthold, a puls zaczął mu wracać do normy.

- Nie, dziękuję. Teraz interesuje mnie tylko polisa na życie. Moje obowiązki zmuszają mnie do podróżowania w czasie. Chcę odpowiednio zabezpieczyć moją żonę.

- Oczywiście, proszę pana - rzekł Gryns. - W takim razie sądzę, że wszystko jest w porządku. Czy zna pan warunki tej polisy?

- Myślę, że tak - odparł Barthold, który przez cały miesiąc studiował formularze Inter-Temporal.

- Polisa dotyczy życia ubezpieczonego - mówił pan Gryns - a okres tego życia mierzony jest wyłącznie w subiektywnym czasie fizjologicznym. Polisa chroni pana w przedziale tysiąca lat z obu stron Teraźniejszości. Ale nie dalej. Ryzyko jest zbyt wielkie.

- Nie mógłbym marzyć o niczym więcej - powiedział Barthold.

- Polisa zawiera też zwyczajową klauzulę dotyczącą rozdzielenia. Czy rozumie pan jej znaczenie i warunki?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Barthold, który pamiętał ją słowo w słowo.

- Wszystko jest wobec tego w porządku. Proszę tu podpisać. I tutaj.

- Dziękuję - rzekł Barthold i naprawdę tak pomyślał. Wrócił do swego biura. Był kierownikiem działu sprzedaży w firmie Alpro (zabawki dla wszystkich epok). Oznajmił, że w celach handlowych niezwłocznie udaje się w przeszłość.

- Wspaniale! - wykrzyknął pan Carlisle, dyrektor Alpro. - Od dawna miałem nadzieję, że to zrobisz, Everett. - Wiedziałem o tym, panie Carlisle. Ale decyzję, proszę pana, podjąłem niedawno. Udaj się tam, pomyślałem, i sam sprawdź, co się dzieje.

Wyszedłem więc, poczyniłem przygotowania i mogę już wyruszyć.

Carlisle poklepał go po ramieniu.

- Jesteś najlepszym szefem sprzedaży, jakiego Alpro kiedykolwiek miało. Bardzo się cieszę, że postanowiłeś wyruszyć.

- Ja także, panie Carlisle.

- Powodzenia! Przy okazji... - pan Carlisle uśmiechnął się szelmowsko - ...mam pewien adres w Kansas City w roku 1895, który może cię zainteresować. Wiesz, teraz się tego tak nie buduje. A w San Francisco w roku 1840 znam...

- Dziękuję, proszę pana, ale...

- Tylko sprawy zawodowe, co, Everett?

- Tak, proszę pana - rzekł Barthold z poważną miną. - Tylko sprawy zawodowe.

Wreszcie wszystko już było gotowe. Barthold wrócił do domu, spakował się i dał żonie ostatnie wskazówki.

- Pamiętaj - mówił jej - kiedy nadejdzie pora, udaj zaskoczoną, ale nie symuluj załamania nerwowego. Bądź zakłopotana, ale nie szalej.

- Wiem - powiedziała. - Czy myślisz, że jestem taka - głupia?

- Nie, moja droga. Po prostu masz tendencję do nadmiernego okazywania uczuć przy każdej okazji. Zbyt mało, to źle, zbyt dużo - także źle.

- Skarbie - rzekła pani Barthold cichym głosem.

- Co?

- Czy nie sądzisz, że mogłabym kupić jeden malutki ruum już teraz? Tylko jeden, żeby dotrzymał mi towarzystwa, zanim...

- Nie! Czy chcesz zmarnować wszystko? Psiakrew, Mavis...

- Już dobrze. Ja tylko zapytałam. Powodzenia, kochanie.

- Dziękuję, kochanie. Pocałowali się.

Potem Barthold wyszedł.

Odebrał brązową walizeczkę ze schowka w przechowalni bagażu. Następnie pojechał heli-taxi do centralnego magazynu wehikułów czasu. Po dłuższym zastanowieniu kupił flippera typu A i zapłacił za niego gotówką.

- Nigdy pan tego nie pożałuje - powiedział sprzedawca, odcinając metkę błyszczącym narzędziem. - Co za moc jest w tym pojeździe! Podwójny wirnik. Pełne sterowanie w każdej epoce. Na pewno nie utknie w osobliwym punkcie równowagi czasoprzestrzennej.

- Świetnie - rzekł Barthold. - Zaraz wejdę i...

- Pomogę panu włożyć te bagaże. Wie pan, że jest podatek federalny od podróży w czasie?

- Wiem - odpowiedział Barthold, ostrożnie wkładając brązową walizeczkę do bagażnika flippera. - Bardzo dziękuję, już wchodzę i...

- Dobrze, proszę pana. Zegar jest ustawiony na zero i zarejestruje wszystkie pana podróże. Tutaj jest lista obszarów czasoprzestrzennych zabronionych przez rząd. Drugi egzemplarz jest naklejony na tablicy rozdzielczej. Lista obejmuje wszystkie poważniejsze wojny, obszary klęsk żywiołowych i punkty osobliwe czasoprzestrzeni. Udanie się do zakazanego obszaru podlega karze, a zegar zarejestruje każdą taką podróż.

- Wiem o tym wszystkim. - Barthold nagle się zdenerwował. Oczywiście sprzedawca niczego nie podejrzewał, ale po co tyle trajkotał o łamaniu prawa?

- Muszę pana zapoznać z przepisami - powiedział pogodnie sprzedawca. - Ponadto, proszę pana, istnieje tysiącletni limit podróży czasoprzestrzennych. Nikomu nie wolno go przekraczać bez pisemnego zezwolenia z Departamentu Stanu.

- Bardzo rozsądny zakaz - rzekł Barthold - i jedyne, o którym mi wspomniano w towarzystwie ubezpieczeniowym.

- Teraz to już wszystko. Życzę panu przyjemnej podróży! Flipper okaże się idealnym pojazdem na każdą okazję. Czy zechce pan udać się na skaliste drogi Meksyku w roku 1932, czy do wilgotnych tropików Kanady z roku 2308, Flipper doprowadzi pana do celu.

Barthold uśmiechnął się sztywno, uściśnął rękę sprzedawcy i wszedł do flippera. Zamknął drzwiczki, poprawił pasy bezpieczeństwa i włączył silniki. Z zaciśniętymi zębami pochylił się do przodu i nastawił docelowy punkt czasoprzestrzenny.

Potem wcisnął klawisz startowy.

Otoczyła go szara nicość. Na chwilę Barthold wpadł w przerażenie. Przemógł to jednak i poczuł przypływ gwałtownego podniecenia.

Nareszcie zaczynała się jego podróż ku fortunie! Nieprzenikniona szarość otaczała flippera jak lepka mgła. Barthold pomyślał o przepływających obok latach, o bezkształtnym świecie, bezkształtnej przestrzeni.

Ale nie było czasu na filozoficzne rozważania. Otworzył brązową walizeczkę i wyciągnął plik zapisanych kartek. Notatki, przygotowane dla niego przez agencję badań historycznych, zawierały kompletną historię rodu Bartholdów od najwcześniejszych czasów.

Bardzo długo studiował tę historię. Do realizacji swego planu potrzebował bowiem... Bartholda. Ale nie byle jakiego Bartholda. Potrzebny był mu Barthold płci męskiej, liczący trzydzieści osiem lat, nieżonaty, nie utrzymujący kontaktów z rodziną, nie posiadający bliskich przyjaciół i nie piastujący zbyt ważnego stanowiska. Najlepiej w ogóle nie pracujący.

Potrzebował Bartholda, którego nagłe zniknięcie nie zaniepokoiłoby nikogo, którego nikt by nie szukał.

Mając takie wymagania, Barthold mógł skreślić ze swej listy tysiące Bartholdów. Większość mężczyzn ożeniła się przed trzydziestym ósmym rokiem życia. Niektórzy nie dożyli tego wieku. Inni, choć samotni w wieku trzydziestu ośmiu lat, mieli bliskich przyjaciół i utrzymywali ściśle kontakty z rodziną. Jeszcze inni, nie podtrzymujący więzów rodzinnych i pozbawieni przyjaciół, byli ludźmi, których zniknięcie spowodowałoby poszukiwania.

Po długotrwałym szperaniu Bartholdowi pozostała zaledwie garstka kandydatów. Tych zamierzał sprawdzić, mając nadzieję, że któryś spełni wszystkie jego wymagania...

Jeżeli taki człowiek w ogóle istniał - pomyślał i szybko wyrzucił tę myśl z głowy.

Niebawem szarość się rozproszyła. Wyjrzał i zobaczył, że znajduje się na brukowanej ulicy. Za nim parskał dziwny, wysoki automobil kierowany przez mężczyznę w słomkowym kapeluszu.

Był w Nowym Jorku w roku 1912.

Na pierwszej pozycji listy figurował Jack Barthold, zwany przez przyjaciół Bully Jackiem, dorywczo pracujący drukarz, włóczęga i niespokojny duch. Jack porzucił żonę i trójkę dzieci w 1902 roku w Cheyenne i nie zamierzał do nich wracać. Dla Bartholda taki człowiek był równie dobry jak kawaler. Bully Jack służył pod generałem Pershingiem, a potem wrócił do swego dawnego zajęcia. Przenosił się z drukarni do drukarni, nigdzie nie zabawiając dłużej. Teraz, w wieku trzydziestu ośmiu lat, pracował gdzieś w Nowym Jorku.

Barthold udał się na Battery i stamtąd zaczął swoje polowanie po nowojorskich drukarniach. W jedenastej, na Water Street, znalazł tego człowieka.

- Szukasz Jacka Bartholda? - spytał go stary drukarz. - Tak, jest na zapleczu. - Hej, Jack! Jakiś facet do ciebie!

Serce Bartholda żywiej zabiło. Mężczyzna zbliżył się do niego, wyłaniając się z ciemnych zakamarków. Podszedł i spojrzał spode łba.

- Jestem Jack Barthold - rzekł. - Czego chcesz? Barthold spojrzał na swego krewniaka i smutno potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - zupełnie nic. Szybko odwrócił się i wyszedł z drukarni.

Bully Jack, mierzący pięć stóp i osiem cali, ważący ze dwieście dziewięćdziesiąt funtów, poskrobał się w głowę. - O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi? - spytał. Stary majster wzruszył ramionami.

Everett Barthold wrócił do flippera i przełączył sterowanie. Szkoda - powiedział do siebie - ale tłuszczoch nie pasował do całego planu.

Następny przystanek był w Memphis w roku 1869. Odziany w stosowny strój Barthold wszedł do hotelu "Dixie Helle" i spytał w recepcji o Bena Bartholdera.

- Cóż - rzekł wytworny, siwy pan za biurkiem - jego klucz jest tutaj, więc sądzę, że wyszedł. Być może znajdzie go pan w barze na rogu, razem z resztą tej napływowej hołoty.

Barthold przełknął obelgę i wszedł do baru.

Był wczesny wieczór, ale gazowe lampy już się paliły. Ktoś brzdąkał na banjo; duża, wyłożona mahoniem sala była wypełniona.

- Gdzie mógłbym znaleźć Bena Bartholdera? - spytał a Barthold barmana.

- Tam dalej - odparł barman - wśród jankeskich handlarzy.

Wzdłuż długiego kontuaru Barthold przeszedł w drugi koniec baru. Tłoczyli się tam dostatnio odziani mężczyźni i wyzywająco wymalowane kobiety. Byli to z pewnością handlowcy z Północy, hałaśliwi, pewni siebie, zarozumiali. Kobiety były z Południa. Ale to już ich sprawa - stwierdził Barthold.

Gdy tylko podszedł do stołu, natknął się na tego człowieka. Bez wątpienia Ben Bartholder.

Wyglądał dokładnie tak samo jak Everett Barthold. Takiej właśnie osoby szukał Barthold.

- Panie Bartholder - powiedział - czy można słówko na osobności?

- Czemu nie? - rzekł Ben Bartholder.

Barthold skierował się do wolnego stolika. Jego krewniak usiadł naprzeciwko i patrzył bacznie.

- Proszę pana - zaczął Ben - między nami jest niesamowite podobieństwo.

- Rzeczywiście jest - odpowiedział Barthold. - Między innymi z tego powodu tu jestem.

- A jakie są pozostałe?

- Zaraz do nich przejdę. Ma pan ochotę na drinka? Barthold zamówił, zauważając jednocześnie, że Ben trzyma prawą rękę pod surdudem, poza zasięgiem wzroku. Ciekaw był, czy trzymał w niej rewolwer. Jankesi musieli być ostrożni w okresie "przebudowy" Południa.

Kiedy podano drinki, Barthold powiedział:

- Przejdę teraz do rzeczy. Czy chciałby pan zarobić wcale pokaźną sumę?

- Któż nie chciałby?

- Nawet gdyby wymagało to długiej i męczącej podróży?

- Przyjechałem tutaj z Chicago - rzekł Ben. - Mogę pojechać dalej.

- A jeśli trzeba będzie trochę naruszyć prawo?

- Ben Bartholder gotów jest na wszystko, proszę pana, jeśli ma z tego jakiś zysk. Ale kim pan jest i na czym polega pańska propozycja?

- Nie tutaj - powiedział Barthold. - Czy jest tu jakieś miejsce, w którym na pewno nikt nam nie przeszkodzi?

- Mój pokój w hotelu.

- Więc chodźmy tam.

Obaj wstali. Barthold spojrział na prawą rękę Bena i zamarł. Benjamin Bartholder nie miał prawej ręki.

- Straciłem pod Vicksburgiem - wyjaśnił Ben, widząc osłupienie Bartholda. - To nic wielkiego. Każdego mogę wyzwać i spuścić mu baty jedną ręką i protezą.

- Nie wątpię - rzekł z irytacją Barthold. - Podziwiam pańską siłę woli. Proszę zaczekać. Ja... ja zaraz wrócę.

Barthold wypadł przez obrotowe drzwi baru i pobiegł prosto do flippera. Szkoda - pomyślał nastawiając przyrządy. Benjamin Bartholder byłby idealny.

Ale kaleka nie pasował do jego planu.

Następny skok czasoprzestrzenny wykonał do Prus roku 1676. Zaopatrzony w hipnotyczną znajomość niemieckiego i strój stosownego kroju przemierzał wyludnione ulice Królewca, szukając Hansa Baerthalera.

Było południe, ale ulice niesamowicie opustoszałe. Barthold szedł i szedł, aż w końcu natknął się na mnicha.

- Baerthaler? - zamyślił się mnich. - A, chodzi wam, panie, o starego Ottona, krawca! Teraz mieszka on w Rawensburgu, dobry człowieku.

- To musi być jego ojciec - rzekł Barthold. - Ja szukam Hansa Baerthalera, syna.

- Hans... oczywiście! - Mnich energicznie pokiwał głową, a potem rzucił na Bartholda kpiące spojrzenie. Ale czy jesteście pewni, że tego człowieka szukacie?

- Całkowicie pewny - powiedział Barthold. - Mógłbyś pokazać mi drogę do niego?

- Możecie go znaleźć w katedrze - rzekł mnich.

Chodźmy, ja też tam idę.

Barthold poszedł za mnichem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie otrzymał złych informacji. Baerthaler, którego szukał, nie był księdzem. Był najemnym żołnierzem, który w bojach przemierzył całą Europę. Taki osobnik nie chodzi do katedry, chyba że - pomyślał ze zgrozą Barthold - niespodziewanie popadł w religijność.

Gorączkowo modlił się, żeby tak nie było. To zniweczyłoby wszystko.

- Oto jesteśmy, panie - powiedział mnich, zatrzymując się przed niebotyczną, imponującą budowlą. - A to jest Hans Baerthaler.

Barthold spojrział. Zobaczył okrytego łachmanami człowieka, siedzącego na schodach katedry. Przed nim leżał stary kapelusz, w którym wały się dwa miedziaki i kromka suchego chleba.

- Żebrak - mruknął Barthold z goryczą. - Chociaż może...

Przypatrzył się i dostrzegł pusty, pozbawiony wyrazu wzrok żebraka, trzęsącą się szczękę, pożądliwie rozbiegane wargi.

- Żal mi go - rzekł mnich. - Hans Baerthaler został ranny w głowę w bitwie ze Szwedami pod Fehrbellin i nigdy nie odzyskał rozumu. Bardzo mi go żal.

Barthold pokiwał głową i rozejrzał się po pustym placu przed katedrą, po wyludnionych ulicach.

- Gdzie są wszyscy? - spytał.

- Ależ, panie, przecież sami musicie to wiedzieć! Wszyscy poza nim i mną opuścili Królewiec. Szaleje tu czarna śmierć!

Przerażony Barthold zawrócił i pobiegł pustymi ulicami do flippera, do swych antybiotyków, do jakiejś innej epoki.

Z ciężkim sercem i poczuciem zbliżającej się klęski znów cofnął się w czasie, do Londynu roku 1595. W tawernie "Pod Małym

Dzikiem" obok Great Hertford wypytywał się o Thomasa Barthala.

- A na co ci Barthal? - spytał szynkarz tak bełkotliwie, że Barthold ledwie go zrozumiał.

- Mam sprawę do niego - odrzekł Barthold swym hipnotycznie wyuczonym staroangielskim.

- Naprawdę masz? - Szynkarz zmierzył od stóp do głów przyodzianego w koronki Bartholda. - Naprawdę teraz masz sprawę?

Tawerna była niską, cuchnącą izbą oświetloną tylko przez dwie kapiące łożowe świece. Klienci, którzy zebrali się wokół Bartholda i ciasno go otoczyli, wyglądali na najgorszą hołotę. Stali dokoła, wciąż trzymając swoje cynowe kufle, ale Barthold dostrzegł pomiędzy ich łachmanami ostre błyski metalu.

- Szpicel, co?

- Co, u diabła, porabia tu szpicel?

- Pewno stuknięty.

- Całkiem zgłupiał, skoro przyszedł tu sam.

- I chce, żebyśmy mu dali biednego Toma Barthala. - Dajmy mu coś innego, chłopaki!

- Dobra, dajmy mu!

Szynkarz ze śmiechem patrzył, jak odziany w łachmany tłum napierał na Bartholda, wznosząc cynowe kufle jak maczugi. Przyparli go do ściany obok oprawnych w ołów okien. I dopiero wtedy Barthold w pełni zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie dlań stanowiła ta banda włóczęgów.

- Nie jestem szpiclem! - krzyknął.

- Gadaj se zdrów! - Ciżba znów napała i ciężki kufel roztrzaskał się o ścianę tuż obok jego głowy.

Wiedziony niespodziewanym natchnieniem Barthold zerwał z głowy swój wielki kapelusz.

- Spójrzcie na mnie!

Zatrzymali się, wpatrując się w niego z otwartymi gębami. - Wierny obraz Toma Barthala! - zawołał ktoś.

- Ale Tom nigdy nie mówił, że ma brata! - zauważył ktoś inny.

- Jesteśmy bliźniakami - szybko powiedział Barthold - których rozłączono zaraz po urodzeniu. Ja wychowałem się w Normandii, Akwitanii i Kornwalii. Dopiero miesiąc temu dowiedziałem się, że mam brata bliźniaka. I przyjechałem, żeby się z nim spotkać.

Była to całkiem prawdopodobna historia w średniowiecznej Anglii, podobieństwo zaś było niezaprzeczalne. Barthold został posadzony za stołem i wyrosły przed nim kufle piwa.

- Przybyłeś za późno, chłopie - rzekł mu stary, jednooki żebrak.
- Dobry był z niego fachowiec i zdolny nocny masztalerz...

Barthold domyślił się, że termin ten oznacza koniokrada. - ...ale zabrali go do Aylesbury i sądzili razem z portowymi dziwkami i innymi szczurami lądowymi. Najgorsze, że go skazali.

- Na jaką karę? - spytał Barthold.

- Na najwyższą - powiedział krępy włóczęga. Wieszają go dziś na Rybnym Targu!

Barthold przez chwilę milczał. Potem zapytał:

- Czy mój brat naprawdę jest podobny do mnie?

- Jak wykapany! - wykrzyknął szynkarz. - To niesamowite, chłopie, nie do uwierzenia. Te same rysy, ten sam wzrost, ta sama tusza - wszystko tak samo!

Pozostali potakująco kiwali głowami. Barthold, tak już bliski sukcesu, postanowił zaryzykować. Musiał mieć Toma Bartha!

- Zbliżcie się, zuchy - rzekł. - Nie kochacie szpicli ani londyńskiego trybunału, prawda? Ja we Francji jestem bogatym człowiekiem, bardzo bogatym. Czy chcielibyście pojechać ze mną i żyć jak baronowie?

- Jasne, że chcielibyśmy.

- To się da załatwić. Ale musimy zabrać ze sobą również mego brata.

- Ale jak? - spytał wędrowny garncarz o potężnych barach. - Wieszają go dzisiaj!

- Nie macie odwagi? - pytał ich Barthold. - Nie macie broni? Nie ośmielilibyście się pchnąć nożem dla łatwiejszego życia i majątku?

Głośnymi okrzykami wyrazili swą zgodę. Barthold przemówił do nich:

- Wiem, że rwiecie się do tego. Ale chcę, żebyście wypełnili moje polecenia.

Tylko mała grupka ludzi zebrała się na Rybnym Targu, gdyż była to zwykła, nieznaczna egzekucja. Jednak tłumek uradował się i zaczął wiwatować, gdy więzienny wózek zadudnił na brukowanych uliczkach i zatrzymał się przed szubienicą.

- To jest Tom - mruknął garncarz, stojąc na uboczu. - Widzisz go?

- Tak - rzekł Barthold. - Ruszajmy.

On i jego piętnastu ludzi przebili się przez tłum i otoczyli szubienicę. Kat już podniósł platformę, przypatrzył się gapiom przez otwory swej czarnej maski, a teraz sprawdzał linę. Dwaj pachołkowie wprowadzili Toma Barthała na schodki, ustawili go tuż pod liną...

- Jesteś gotów? - spytał Bartholda szynkarz. - Hej, jesteś gotów?

Barthold wpatrywał się z otwartymi ustami w człowieka na platformie. Podobieństwo było bezbłędne. Tom Barthał wyglądał dokładnie tak samo jak on... poza jednym drobiazgiem.

Policzki i czoło Barthała były głęboko poznaczone dziobami po czarnej ospie.

- Nadeszła odpowiednia chwila - rzekł szynkarz. i Jesteś gotowy, panie? Hej!

Odwrócił się i ujrzał wielki kapelusz znikający w bocznej uliczce.

Chciał rzucić się w pogoń, ale nagle się zatrzymał. Z szubienicy usłyszał świst, stłumiony krzyk i głucho mlaśnięcie. Kiedy się znowu odwrócił, kapelusz zniknął mu z oczu.

Everett Barthold wrócił do flippera w ponurym nastroju. Oszpecony mężczyzna nie pasował do jego planu. Wewnątrz flippera Barthold długo rozmyślał. Sprawy miały się źle, naprawdę bardzo źle. Przemierzył tyle epok, aż do średniowiecznego Londynu i nie znalazł żadnego Barthała, którego mógłby wykorzystać. Teraz zbliżał się do granicy tysiąca lat.

Nie mógł poruszać się dalej. Legalnie nie mógł.

Ale przestępstwo trzeba udowodnić. On zaś nie chciał, nie mógł teraz wracać.

Gdzieś w czasoprzestrzeni musiał istnieć jakiś odpowiedni Barthold!

Otworzył brązową walizeczkę i wyjął z niej małe, ciężkie urządzenie. W swojej Teraźniejszości zapłacił za nie kilka tysięcy dolarów. Teraz znaczyło dla niego dużo więcej.

Starannie nastawił urządzenie i podłączył do zegara. Mógł już swobodnie podróżować w czasie. Nawet do prapoczątków świata, gdyby zechciał. Zegar tego nie zarejestruje.

Nastawił przyrząd i nagle poczuł się strasznie samotny. Przekroczenie bariery tysiąca lat było rzeczą przerażającą. Przez moment wahał się, czy nie zrezygnować z tego ryzykownego interesu, wrócić w bezpieczną Teraźniejszość, do żony, do pracy.

Jednak przemógł się i nacisnął klawisz startowy.

Zjawił się w Anglii, w roku 662, obok starożytnej warowni Maiden Castel. Ukrył flippera w zaroślach i włożył odzież ze zgrzebnego lnu. Wszedł na drogę prowadzącą do Maiden Castel, który stał na niewielkim wzniesieniu i był widoczny z daleka.

Minęła go grupa wojów ciągnących wózek. Na wózku dostrzegł żółtą bryłę bałtyckiego bursztynu, czerwone pomalowane dzbany z Galii, a nawet italski świecznik. Bez wątpienia łupy z jakiegoś obrabowanego miasta. Chciał spytać wojów, ale spojrzeli na niego groźnie, więc przemknął się obok nie zaczepiając ich.

Potem przeszło dwóch mężów obnażonych do pasa i śpiewających po łacinie. Ten z tyłu okładał drugiego srogim rzemiennym batogiem. Wtem zamienili się rolami, na moment tylko przerywając biczowanie.

- Bardzo panów przepraszam... Ale oni nawet nie spojrzeli na niego.

Barthold szedł dalej, wycierając pot z czoła. Po jakimś czasie minął mężczyznę w płaszczu, który niósł harfę na jednym ramieniu, a miecz na drugim.

- Panie - rzekł Barthold - czy wiesz może, gdzie mógłbym spotkać mojego krewniaka, który przybył z Iona? Nazywa się Connor Lough Mac Bairthre.

- Wiem - stwierdził mężczyzna.

- Gdzie? - spytał Barthold.

- Stoi przed tobą - rzekł mąż. Błyskawicznie cofnął się, wyciągając miecz z pochwy i odrzucił harfę na trawę. Zafascynowany Barthold patrzył na Bairthre'a. Pod długimi włosami dojrzał doskonale wierne odbicie samego siebie.

Nareszcie znalazł odpowiedniego człowieka!

Ale ten człowiek nie wykazał ochoty do współpracy. Bairthre zbliżył się wolno, trzymając w pogotowiu miecz i zawołał:

- Precz, demonie, bo zarżnę cię jak kapłona!

- Nie jestem demonem! - krzyknął Barthold. - Jestem twoim krewnym!

- Kłamiesz - stanowczo stwierdził Bairthre. - Dużo podróżuję, to prawda, i od dawna przebywam poza domem, ale wciąż pamiętam wszystkich członków mojej rodziny. Nie jesteś żadnym z nich. Musisz więc być demonem, który przybrał moją postać dla swych szatańskich celów.

- Zaczekaj! - błagał Barthold, gdy ramię Bairthre'a wznosiło się do ciosu. - Czy myślałeś kiedyś o przyszłości? - O przyszłości?

- Tak, o przyszłości! Całe wieki po tobie!

- Słyszałem o tych dziwnych czasach, choć ja sam żyję dniem dzisiejszym - rzekł Bairthre, wolno opuszczając miecz. - Mieliśmy kiedyś w Iona obcego, który twierdził, że jest Kornwalijszym, gdy był trzeźwy, po pijanemu zaś mówił, że jest reporterem "Life'a". Włóczył się wszędzie i szczekał dziwnym pudełkiem przed różnymi rzeczami, mrużąc do siebie. Wystarczyło go upoić miodem, a wszystko ci opowiedział o przyszłych czasach.

- Ja właśnie jestem stamtąd - powiedział Barthold. Jestem twoim dalekim krewnym z przyszłości. I jestem tu po to, by ofiarować ci ogromne skarby!

Bairthre szybko schował miecz do pochwy.

- To bardzo ładnie z twojej strony, krewniaku - rzekł uprzejmie.

- Oczywiście będzie to wymagało pewnej współpracy z twojej strony.

- Tego się obawiam - westchnął Bairthre. - Cóż, słucham cię, krewniaku.

- Chodź ze mną - powiedział Barthold i poprowadził go do flippera.

Cały sprzęt miał przygotowany w brązowej walizeczce. Zwalił z nóg Bairthre'a, gdyż Irlandczyk wykazywał pewne oznaki zdenerwowania. Następnie podłączył elektrody do czoła Bairthre'a i hipnotycznie przekazał mu krótki zarys historii świata, intensywny kurs angielskiego oraz kurs amerykańskich obyczajów. Zajęło mu to prawie dwa dni. W tym czasie Barthold za pomocą specjalnego urządzenia przeszczepił także skórę ze swoich palców na palce Bairthre'a. Teraz mieli takie same odciski palców. Na skutek odnawiania się naskórka odciski te znikną po kilku miesiącach i odsłonią pierwotne, ale to nie miało znaczenia. Nie musiały pozostać na stałe.

Następnie Barthold dodał kilka znaków szczególnych, których brakowało Bairthre'owi i usunął mu kilka, których on sam nie miał. Za pomocą elektrolizy poradził sobie ze zbyt bujną, w stosunku do jego łysiny, fryzurą Bairthre'a.

Kiedy skończył, wstrzyknął w żyły krewniaka odżywkę i czekał.

Po chwili Bairthre jęknął, potarł swą głowę i odezwał się we współczesnej angielszczyźnie:

- Człowieku! Czym ty mi przyłożyłeś?!

- Nie przejmuj się - rzekł Barthold. - Przystąpmy do interesów.

Krótko wyjaśnił swój plan wzbogacenia się kosztem Inter-Temporal Corporation.

- A oni naprawdę zapłacą? - spytał Bairthre. - Zapłacą, jeśli nie obalą naszych roszczeń.

- I zapłacą aż tyle?

- Tak. Sprawdziłem to przedtem. Odszkodowanie za rozdwojenie jest fantastycznie wysokie.

- Tego wciąż nie rozumiem - powiedział Bairthre. Co to jest rozdwojenie?

- Zdarza się to - wyjaśnił mu Barthold - gdy człowiek podróżując w czasie ma pecha i wpadnie w lustrzaną szczelinę czasoprzestrzeni. To bardzo rzadki przypadek. Ale kiedy nastąpi, rezultaty są katastrofalne. Widzisz, jeden człowiek udaje się w przeszłość, a dwóch identycznych ludzi wraca.

- Aha! - rzekł Bairthre. - Więc na tym polega rozdwojenie!

- Tak jest. Dwóch identycznych ludzi wraca z przeszłości. Każdy z nich czuje, że to on jest prawdziwą i oryginalną osobowością i że on jest jedynym pretendencem do swojego majątku, żony, pracy i tak dalej. Niemożliwe jest ich współistnienie. Jeden z nich musi utracić wszelkie prawa, opuścić Teraźniejszość, swój dom, żonę, pracę i udać się na zawsze w przeszłość. Ten drugi pozostaje w swoim czasie, ale żyje w ciągłym strachu, w poczuciu winy.

Barthold przerwał dla zaczerpnięcia powietrza.

- Widzisz więc - ciągnął dalej - że rozdwojenie jest nieszczęściem wyjątkowego kalibru. Tak więc obie strony muszą otrzymać stosowną rekompensatę.

- Hmm - mruknął Bairthre, intensywnie myśląc. Często się zdarza takie rozdwojenie?

- Dotychczas zdarzyło się mniej niż dziesięć razy. Istnieją pewne zabezpieczenia, jak omijanie punktów osobistych i przestrzegania limitu tysiąca lat.

- Cofnąłeś się poza tę granicę - zauważył Bairthre. - Zaryzykowałem i wygrałem.

- Słuchaj, skoro za rozdwojenie dostaje się tyle pieniędzy, dlaczego inni tego nie próbowali?

Barthold uśmiechnął się z przymusem.

- To nie takie łatwe do zrobienia. Opowiem ci kiedyś o tym. Ale wróćmy do rzeczy. Przyłączasz się do mnie? - Z takim majątkiem mógłbym zostać baronem - rzekł Bairthre z rozmarzeniem. - Może nawet królem Irlandii! Zgadzasz się.

- Świetnie. Podpisz tu.

- Co to jest? - spytał Bairthre, patrząc z ukosa na oficjalnie wyglądający dokument, który podsunął mu Barthold.

- To po prostu oświadczenie, że po otrzymaniu stosownego odszkodowania od Inter-Temporal Corporation z własnej woli odejdziesz w przeszłość i tam pozostaniesz, zrzekając się wszelkich praw do Teraźniejszości. Podpisz to jako Everett Barthold. Datę wstawię później.

- Ale podpis... - Bairthre chciał zaprotestować, zawahał się jednak i roześmiał. - Dzięki hipnozie! Wiem wszystko o hipnozie i jej możliwościach, łącznie z tym, że nie musisz mi odpowiadać na moje pytania. Gdy tylko je zadaję, od razu znam odpowiedź. O lustrzanej szczelinie również; przy okazji - to dlatego zahipnotyzowałeś mnie tak, bym stał się leworęcznym. I oczywiście przeszczepione odciski palców są lustrzanym odbiciem twoich. - Zgadza się - rzekł Barthold. - Masz jeszcze pytania? - Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie muszę nawet porównywać naszych podpisów. Wiem, że będą identyczne, z tym, że... - znów przerwał i spojrzał ze złością. - To świństwo! Będę pisał od prawej do lewej!

Barthold roześmiał się.

- Naturalnie. Jakże inaczej mógłbyś być moim lustrzanym odbiciem? A jeśli moja epoka spodoba ci się bardziej niż twoja i spróbujesz mnie wysłać z powrotem, pamiętaj o środkach ostrożności, które przedsięwziąłem. Wystarczą, by wysłać cię do końca twoich dni na Więzienną Planetę.

Wręczył dokument Bairthre'owi.

- Niczego nie zaniedbałeś, prawda? - spytał Bairthre, podpisując. - Staram się przewidzieć wszystkie ewentualności. To do mojego domu i do mojej Teraźniejszości się udajemy i mam zamiar zachować tam wszystko. Chodź. Powinieneś się ostrzyć i doprowadzić do porządku.

Obaj identycznie wyglądający mężczyźni ramię w ramię weszli do flippera.

Mavis Barthold nie musiała się zmuszać do gwałtownych reakcji. Dwóch Everettów Bartholdów, odzianych w identyczne stroje i z tym samym wyrazem nerwowego zażenowania, stanęło przed frontowymi drzwiami i dwóch Everettów Bartholdów powiedziało:

- Eee, Mavis, to wymaga małych wyjaśnień...

Było tego dla niej stanowczo za wiele. Nieważne, że wiedziała o tym wcześniej. Krzyknęła, uniosła ręce do góry i zemdłała.

Później, kiedy obaj mężowie ocucili ją, opanowała się nieco.

- Udało się, Everett - rzekła. - Everett?

- To ja - powiedział Barthold. - Poznaj mojego krewniaka, Connora Lough Mac Bairthre.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła pani Barthold.

- Więc jesteśmy podobni? - spytał jej mąż.

- Identyczni. Wprost identyczni!

- Od tej chwili - rzekł Barthold - każdego z nas traktuj jak Everetta Bartholda. Detektywi towarzystwa ubezpieczeniowego będą cię obserwować. Pamiętaj - każdy z nas może być twoim mężem. Traktuj nas identycznie.

- Jak sobie życzysz, kochanie - skromnie rzekła Mavis. - Oczywiście z wyjątkiem... to znaczy poza sferą... no, do diabła, Mavis, czy naprawdę nie wiesz, który z nas jest mną?

- Pewnie, że wiem, kochanie - powiedziała Mavis. Żona zawsze pozna swego męża. - I rzuciła przelotne spojrzenie Bairthre'owi, które on odwzajemnił z zainteresowaniem.

- Cieszę się, że to słyszę - rzekł Barthold. - Teraz muszę zawiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe. Pośpiesznie przeszedł do sąsiedniego pokoju.

- Więc pan jest krewnym mojego męża? - spytała Bairthre'a Mavis. - Jacy jesteście podobni!

- W rzeczywistości jestem zupełnie inny - zapewnił ją Bairthre.

- Naprawdę? Wygląda pan zupełnie jak on! Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest pan kimś innym.

- Udowodnię to pani.

- Jak?

- Zaśpiewam staroirlandzką balladę - powiedział Bairthre i zaraz zaczął nucić miłym, wysokim tenorem.

Z sąsiedniego pokoju Mavis słyszała głos Bartholda.

- Halo, Inter-Temporal Corporation? Proszę z panem Grynsem! Pan Gryns? Mówi Everett Barthold. Zdarzył się dość nieszczęśliwy wypadek...

W biurach Inter-Temporal Corporation zapanowała konsternacja, przerażenie i szybka wymiana telefonów, gdy weszło dwóch Everettów Bartholdów z identycznymi nerwowymi uśmiezkami.

- Pierwszy taki wypadek od piętnastu lat! - wykrzyknął pan Gryns. - O Boże! Poddacie się, oczywiście, panowie badaniom.

- Oczywiście - powiedział Barthold. - Oczywiście - powiedział Barthold.

Lekarze opukali ich i osłuchali. Odkryli różnice, które starannie wypisali i ponazywali łacińskimi nazwami. Ale wszystkie różnice mieściły się w zakresie dopuszczalnych odchyłeń i żadne biurokratyczne sztuczki nie mogły tego zmienić. Potem przejęli ich psychiatrzy.

Obaj mężczyźni odpowiadali na wszystkie pytania powoli i rozważnie. Bairthre nie był głupi i miał mocne nerwy. Z pomocą hipnotycznej wiedzy Bartholda odpowiadał na pytania powoli, ale poprawnie; dokładnie tak samo jak Barthold.

Inżynierowie z Inter-Temporal zbadali zegar flippera. Rozłożyli go na części i ponownie złożyli. Sprawdzili namiary przyrządów, które pokazywały Teraźniejszość, 1912, 1869, 1676 i 1595. Rok 662 też był zanotowany wbrew przepisom - ale zegar wskazywał, że ten namiar nie był uruchomiony. Barthold wyjaśnił, że wcisnął klawisz przypadkowo i sądził, że najlepiej będzie zostawić to w spokoju.

Sprawa była podejrzana, ale nie stanowiła jeszcze żadnego dowodu.

Inżynierowie zwrócili też uwagę, że zużyto dużo energii. Ale zegar pokazywał tylko podróż do roku 1595. Zabrali zegar do laboratorium w celu wykonania dalszych badań.

Inżynierowie przejrżeli wewnątrz flippera cal po calu, ale nie mogli znaleźć nic podejrzanego. Barthold dla pewności wrzucił brązową walizeczkę do kanału La Manche, zanim opuścił rok 662.

Pan Gryns zaproponował rozwiązanie polubowne, ale obaj Bartholdowie je odrzucili. Zaproponował dwa inne rozwiązania - również zostały odrzucone. W końcu musiał się poddać.

Ostatnia rozmowa odbyła się w biurze Grynsa. Bartholdowie siedzieli po obu stronach biurka Grynsa i wyglądali na znudzonych całą tą sprawą. Gryns zaś wyglądał na człowieka, któremu uporządkowany świat nagle zawalił się.

- Nie mogę tego wprost zrozumieć - rzekł. W epoce, w której panowie podróżowaliście, szansa natknięcia się na lustrzaną szczelinę wynosi jedna do miliona.

- Sądzę, że jesteśmy tym jednym - powiedział Barthold, a Barthold potaknął.

- Jak by to jednak nie wyglądało... cóż, co się stało, to się nie odstanie. Czy postanowiliście już coś, panowie, w sprawie waszego współistnienia?

Barthold wręczył Grynsowi dokument podpisany przez Bairthre'a w roku 662.

- On ma zamiar odejść, jak tylko otrzyma odszkodowanie.

- Czy zgadza się pan na to? - spytał Bairthre'a Gryns. - Oczywiście - rzekł Bairthre. - Jednak mi się tu nie podoba.

- Słucham?

- To znaczy - pośpiesznie wyjaśnił Bairthre - ja zawsze chciałem stąd uciec, wie pan, takie ciche marzenia, by znaleźć się w jakimś miejscu, wśród prostych ludzi...

- Rozumiem - podejrzliwie powiedział Gryns. A pan czuje to samo? - spytał, zwracając się do Bartholda. - Naturalnie - zapewnił Barthold. - Mam takie same ciche marzenia. Ale jeden z nas musi tu zostać rozumie pan, poczucie obowiązku - i ja się zgodziłem.

- Rozumiem - rzekł Gryns, ale z jego twarzy widać było, że nic nie rozumie. - Dobrze. Wasze czeki, panowie, niedługo będą gotowe. Trochę zwykłej biurokracji. Można je będzie odebrać jutro rano... zakładając, że nie wpłyną do nas żadne dowody oszustwa.

Atmosfera stała się nagle lodowata. Obaj Bartholdowie pożegnali się z panem Grynsem i szybko wyszli.

W milczeniu zjechali windą. Na zewnątrz budynku Bairthre powiedział:

- Przepraszam za to przejęzyczenie.

- Zamknij się!

- Co?

Barthold złapał Bairthre'a za rękę i wciągnął go do automatycznej heli-taxi, pilnie bacząc, by nie wejść 30 pierwszej wolnej.

Wcisnął Westchester, po czym obejrzał się, czy ktoś za nimi nie leci. Kiedy się upewnił, że nie, przeszukał wnętrze heli-taxi w

poszukiwaniu kamer lub aparatów podsłuchowych. W końcu odezwał się do Bairthre'a:

- Ty skończony idioto! To przejęzyczenie mogło nas kosztować majątek!

- Robiłem, co mogłem - markotnie powiedział Bairthre. - Coś jest nie tak? Aha, sądzisz, że nas podejrzejawają.

- To właśnie jest nie tak! Gryns z pewnością kazał nas śledzić. Jeśli coś znajdą, co podważy nasze roszczenia, trafimy na Więzienną Planetę.

- Musimy uważać na każdym kroku - trzeźwo zauważył Bairthre.

- Cieszę się, że to zrozumiałeś - rzekł Barthold.

W restauracji w Westchester w milczeniu zjedli obiad i wypili odrobinę. Wprawiło ich to w lepszy nastrój. Czuli się niemal szczęśliwi, gdy wrócili do domu Bartholda i odesłali heli-taxi do miasta.

- Dziś wieczorem pogramy trochę w karty - powiedział Barthold - pogawędzimy, wypijemy kawę i będziemy się zachowywać, jakbyśmy obaj byli Bartholdami. Rano odbierzemy nasze czeki.

- Może być - zgodził się Bairthre. - Z przyjemnością wrócę do siebie. Nie rozumiem, jak możesz wytrzymać na tej żelazno-kamiennej pustyni. Irlandia, człowieku! Być królem Irlandii, to będzie to!

- Na razie nie mów o tym. - Barthold otworzył drzwi i weszli do domu.

- Dobry wieczór, kochanie - powiedziała Mavis, patrząc pomiędzy nich.

- Myślałem, że potrafisz mnie rozpoznać - kwaśno skomentował to Barthold.

- Oczywiście, że potrafię, kochanie - rzekła Mavis, zwracając się do niego z promiennym uśmiechem. - Po prostu nie chciałem urazić biednego pana Bairthre'a.

- Dziękuję pani za uprzejmość - odparł Bairthre. Może później zaśpiewam pani następną staroirlandzką pieśń.

- To byłoby cudowne - powiedziała Mavis. - Jakiś człowiek dzwonił do ciebie, kochanie. Wpadnie później. Złotko, oglądałam

reklamy futer ze skartów. Polarne marsjańskie skarty są troszkę droższe niż zwyczajne kanałowe skarty, ale...

- Ktoś dzwonił? - spytał Barthold. - Kto?

- Nie przedstawił się. W każdym razie nosi się je wygodniej, a ich futro ma taki opalizujący połysk, że...

- Mevis! Czego on chciał?

- Mówił coś o odszkodowaniu za rozdwojenie powiedziała. - Ale już wszystko załatwione, prawda?

- Nie jest załatwione, póki nie będę miał czeku w garści - zwrócił się do niej Barthold. - Powiedz mi dokładnie, co mówił.

- Powiedział, że dzwoni w sprawie twoich naciąganych roszczeń wobec Inter-Temporal Corporation...

- Naciąganych roszczeń? Tak powiedział?

- Użył dokładnie tych słów. Naciągane roszczenia wobec Inter-Temporal Corporation. Powiedział, że musi natychmiast porozmawiać z tobą, koniecznie przed jutrzejszym rankiem.

Twarz Bartholda poszarzała.

- Czy mówił, że zadzwoni?

- Powiedział, że wpadnie osobiście.

- Co to znaczy? - spytał Bairthre. - Oczywiście... detektyw towarzystwa ubezpieczeniowego!

- To prawda - rzekł Barthold. - Musiał coś odkryć.

- Ale co?

- Skąd mogę wiedzieć? Niech pomyślę!

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Bartholdowie popatrzyli na siebie w osłupieniu.

Dzwonek znów zabrzmiał.

- Otwieraj, Barthold! - zawołał jakiś głos. - Nie próbuj się wymigać!

- Może go zabić? - spytał Bairthre.

- To zbyt skomplikowane - powiedział Barthold po krótkim zastanowieniu. - Chodźmy! Przez tylne wyjście!

- Po co?

- Flipper jest tam zaparkowany. Uciekniemy w przeszłość! Nie rozumiesz? Gdyby miał dowód, powiadomiłby już towarzystwo. Więc tylko coś podejrzenia. Pewnie sądzi, że zdoła nas złapać na

jakieś podchwytliwe pytania. Jeśli do rana nie pozwolimy mu się do nas zbliżyć, jesteście bezpieczni!

- A co ze mną? - powiedziała drżącym głosem Mavis. - Odwróć jego uwagę - rzekł Barthold, ciągnąc Bairthre'a przez tylne drzwi w stronę flippera. Dzwonek u drzwi brzęczał natarczywie, gdy Barthold zatrzasnął drzwiczki flippera i odwrócił się do pulpitu.

Nagle zdał sobie sprawę, że inżynierowie z Inter-Temporal nie zwrócili mu zegara.

Był zgubiony. Bez zegara nie mógł flippera skierować donikąd.

Na chwilę opanowała go zupełna panika. Potem odzyskał panowanie nad sobą i spróbował się zastanowić. Przyrządy były nastawione na Teraźniejszość, 1912, 1869, 1676, 1565 i 662. Tak więc nawet bez zegara mógł ręcznie wybrać jedną z tych dat. Latanie bez zegara było poważnym przestępstwem, ale do diabła z tym.

Szybko wcisnął rok 1912 i złapał sterownicę. Z zewnątrz posłyszał krzyk żony. Ciężkie kroki dudniły po jego domu. - Stój! Zatrzymaj się! - wołał mężczyzna.

I wtedy mglista, nieskończona szarość otoczyła Bartholda, a flipper popędził poprzez lata.

Barthold zaparkował flippera na Bowary. Weszli z Bairthre'em do baru, zamówili po piwie i zabrali się za lunch. - Cholerny, wścibski szpicel - mruknął Barthold.

To go trochę otrzeźwi. Zapłacę słoną karę za jazdę flipperem bez zegara. Ale będzie mnie stać na to.

- To wszystko dzieje się za szybko dla mnie - rzekł Bairthre, pociągając wielki łyk piwa. - Właśnie chciałem cię spytać, jak nasza podróż w przeszłość pomoże nam odebrać jutro rano czeki w twojej Teraźniejszości. Ale uświadomiłem sobie, że znam odpowiedź.

- Oczywiście. Liczy się czas upływający. Jeśli zdołamy pozostać w przeszłości przez jakieś dwanaście godzin, powrócimy do mojej epoki o dwanaście godzin później, niż ją opuściliśmy. To zapobiega różnym wypadkom, jak choćby powrót w tym samym czasie, w którym się odjeżdżało, czy nawet wcześniej. Normalne środki ostrożności. Bairthre zjadł kanapkę z salami.

- Hipnoza dość pobieżnie traktowała problem podróży w czasie. Ja chcę do domu. Kim są ci faceci ubrani na granatowo?

- To policjanci - odpowiedział Barthold. - Zdaje się, że kogoś szukają.

Dwaj wąsaci policjanci weszli do baru, a za nimi tusty mężczyzna w pomalowanym tuszem ubraniu.

- To oni! - zawołał Bully Jack Barthold. - Aresztujcie tych bliźniaków!

- O co chodzi? - zapytał Everett Barthold.

- To wasz automobil stoi na zewnątrz? - spytał jeden z policjantów.

- Tak, proszę pana, ale...

- Więc wyjaśnimy całą sprawę. Jakiś człowiek wniósł skargę przeciwko wam. Powiedział, że macie nowy, błyszczący automobil. Obiecał bardzo wysoką nagrodę.

- Ten facet przyszedł prosto do mnie - rzekł Bully Jack. - Powiedziałem, że z przyjemnością mu pomogę... choć raczej powinienem dać w nos temu zawszonemu, oślizłemu, brudnemu...

- Panowie - prosił Barthold - my nic nie zrobiliśmy!

- Więc nie macie się czego obawiać. Chodźcie spokojnie z nami. Barthold runął nagle między policjantów, pchnął Bulla Jacka i wypadł na ulicę. Bairthre, który myślał o tym samym, kopnął policjanta w kostkę, drugiemu przyłożył w żołądek, odrzucił Bulla Jacka i pobiegł za Bartholdem.

Wskoczyli do flippera i Barthold wcisnął rok 1869.

Ukryli flippera tak starannie, jak tylko mogli na tyłach jakiejś wozowni i poszli na mały skwer w pobliżu. Pod gorącym słońcem Memphis rozpięli koszule i położyli się na trawie.

- Ten detektyw musi mieć pojazd z turbodoładowaniem - stwierdził Barthold. - Dlatego przed nami przybywa do naszych miejsc.

- Skąd wie, dokąd się udajemy? - spytał Bairthre. - Nasze postoje są zanotowane w kartotekach towarzystwa. Wie, że nie mamy zegara i możemy udać się tylko w kilka miejsc.

- Więc nie jesteśmy tu bezpieczni - rzekł Bairthre. Pewnie nas szuka.

- Pewnie tak - powiedział ze znużeniem Barthold. Ale wciąż nas nie złapał. Jeszcze kilka godzin i będziemy bezpieczni! W Terazniejszości nadejdzie już ranek i czeki będą gotowe.

- Naprawdę, panowie? - rozległ się słodziutki głos. Barthold spojrział do góry i zobaczył Bena Bartholdera stojącego nad nimi: w lewej ręce trzymał mały rewolwer.

- Więc tobie też obiecał nagrodę! - rzekł Barthold. - Istotnie. Bardzo kusząca oferta, że tak powiem. Ale to mnie nie interesuje.

- Nie? - zdziwił się Bairthre.

- Nie. Interesuje mnie tylko jedno. Chcę wiedzieć, który z was ostatniej nocy był ze mną w barze.

Barthold i Bairthre spojrzeli po sobie, a potem znów na Bena Bartholdera.

- Chcę tego człowieka - rzekł Bartholder. - Nikt nie będzie sobie kpił z Bena Bartholdera. Choć mam tylko jedną rękę, jestem również człowiekiem! Chcę tego faceta. Drugi może odejść.

Barthold i Bairthre wstali. Bartholder cofnął się, by obu trzymać pod muszką.

- Który z was, panowie? Nie mam zbyt wiele cierpliwości. Stał przed nimi, kołysząc się z lekka i spoglądając na nich jadowitym wzrokiem. Barthold uznał, że rewolwer jest zbyt daleko na jakiś gwałtowny ruch. Poza tym miał pewnie bardzo czuły spust.

- Gadajcie! - ostro powiedział Bartholder. - Który z was?

Barthold rozpaczliwie zastanawiał się, dlaczego Ben Bartholder jeszcze nie strzelił, dlaczego po prostu nie zabił ich obu.

Nagle zrozumiał i od razu wiedział, jak powinien postąpić.

- Everett - rzekł.

- Tak, Everett? - odpowiedział Bairthre.

- Teraz odwróćmy się obaj i chodźmy do flippera. - Ale rewolwer...

- On nie będzie strzelał. Mogę na ciebie liczyć?

- Możesz - powiedział Bairthre przez zaciśnięte zęby. Zrobili w tył zwrot, jak żołnierze, i wolno ruszyli z powrotem w stronę wozowni.

- Stać! - krzyknął Ben Bartholder. - Stójcie, albo obu zastrzelę!

- Nie zrobisz tego! - odkrzyknął Barthold. Byli już na ulicy i zbliżali się do wozowni.

- Nie? Myślisz, że się nie odważę?

- Nie o to chodzi - rzekł Barthold idąc w stronę flippera. - Po prostu nie zastrzelisz zupełnie niewinnego człowieka. A jeden z nas jest niewinny!

Powoli, ostrożnie Bairthre otworzył drzwiczki flippera. - Wszystko mi jedno! - ryknął Bartholder. - Który? Odezwij się, nędzny tchórz! Który? Wyzwę go na uczciwy pojedynek. Gadajcie, bo zaraz obu zastrzelę!

- A co powiedzą inni? - zakpił Barthold. - Powiedzą, że jednoręki Jankes zdenerwował się i zastrzelił dwóch bezbronnych cudzoziemców.

Uzbrojona w rewolwer ręka Bena Bartholdera opadła. - Wchodź szybko - szepnął Barthold.

Wgramolili się do środka i zatrzasnęli drzwiczki.

- Dobrze, panowie - powiedział Ben Bartholder. - Byliście tu już dwa razy, myślę, że będziecie trzeci. Zaczekam tu w pobliżu. Następnym razem was dostanę. Odwrócił się i odszedł.

Opuścili Memphis. Ale dokąd mogli się udać? Barthold nie brał pod uwagę Królewca z roku 1676 z szalejącą czarną śmiercią. Londyn w 1595 był pełen kumpli Toma Barthala, z których każdy z radością poderznąłby gardło Bartholdowi za jego zdradę.

- Wróćmy z powrotem - powiedział Bairthre. - Do Maiden Castle.

- A jeśli on tam jest?

- Nie. Przekraczanie bariery tysiąca lat jest niezgodne z prawem. Detektyw nie łamałby przecież prawa?

- Mógł tego nie zrobić - z namysłem rzekł Barthold. - Mógł tego nie zrobić. Warto spróbować. Ponownie uruchomił flippera.

Ocknęli się nocą, w polu, o milę od twierdzy Maiden Castel. Stanęli obok flippera i na zmianę pełnili wartę. Wreszcie nad zielonymi polami weszło słońce, ciepłe i żółte. - Nie ma go - powiedział Bairthre.

- Co? - spytał Barthold, gwałtownie się budząc.

- Mamy to z głowy, chłopie! Jesteśmy bezpieczni. Czy już jest ranek w twojej Teraźniejszości?

- Już jest - rzekł Barthold przecierając oczy. - Więć wygraliśmy i ja zostanę królem Irlandii!

- Tak, wygraliśmy - powiedział Barthold. - W końcu zwycięstwo jest... cholera!

- Co się stało?

- Ten detektyw! Popatrz tam! Bairthre przyglądał się polom, mrużąc: - Nic nie widzę. Czy jesteś pew...

Barthold trzasnął go w tył głowy kamieniem. Znalazł go w nocy i zachował na taką okazję.

Pochylił się i sprawdził puls Bairthre'a. Irlandczyk żył, ale przez kilka godzin nie odzyska przytomności. Kiedy się ocknie, będzie sam i bez królestwa.

To nieładnie - pomyślał Barthold. Ale w tej sytuacji zbyt ryzykowne było zabieranie Bairthre'a z powrotem. O ileż łatwiej będzie pójść do Inter-Temporal i odebrać czek na nazwisko Everett Barthold, a za pół godziny wrócić i odebrać następny czek Everetta Bartholda.

Ile to przyniosłoby korzyści!

Wszedł do flippera i raz jeszcze spojrzał na swego nieprzytomnego krewniaka. To przykre - pomyślał - że nigdy nie zostanie on królem Irlandii.

Ale przecież - stwierdził - dzieje tego kraju za bardzo by się zagmatwały.

Uruchomił sterowanie, kierując się wprost ku Teraźniejszości.

Zjawił się na tylnym dziedzińcu swego domu. Szybko wbiegł po schodach i zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zawołała Mavis.

- Ja! - krzyknął Barthold. - Wszystko w porządku, Mavis... udało się wszystko!

- Kto? - Mavis otworzyła drzwi, spojrzała na niego i zaczęła wrzeszczeć.

- Uspokój się - powiedział Barthold. - Wiem, że to było wyczerpujące, ale już minęło. Zaraz idę po czek i wtedy... Przerwał. W drzwiach, za Mavis, pojawił się jakiś mężczyzna. Był

to niski mężczyzna, zaczynający łysieć, o pospolitych rysach, o łagodnych oczach patrzących zza rogowych okularów.

To był on.

- Nie! - jęknął Barthold.

- Tak - powiedziała jego kopia. - Nie można bezkarnie przekraczać bariery tysiąca lat. Czasami przepisy prawne mają swoje uzasadnienie. Jestem twoim czasoprzestrzennym sobowtorem.

Stojąc w drzwiach Barthold spoglądał na Bartholda. Po dłuższej chwili zdołał się odezwać:

- Byłem ścigany...

- Przeze mnie - powiedział sobowtór. - W przebraniu, oczywiście, bo masz trochę wrogów w różnych epokach. Dlaczego uciekłeś, durniu?

- Myślałem, że jesteś detektywem. Dlaczego mnie ścigałeś?

- Tylko i wyłącznie z jednego powodu.

- Jakiego?

- Mogliśmy być bogatsi, niż śmiałyś kiedykolwiek marzyć - rzekł sobowtór - gdybyś tylko nie był taki przerażony! My trzej - ty, Bairthre i ja - mogliśmy pójść do Inter-Temporal i zgłosić przypadek rozstrojenia!

- Rozstrojenia! - westchnął Barthold. - Nigdy o tym nie słyszałem.

- Odszkodowanie byłoby niewyobrażalnie wysokie. Wielekroć wyższe niż za rozdwojenie. Wstyd mi za ciebie. - Cóż - rzekł Barthold - co się stało, to się stało.

Przynajmniej możemy odebrać czeki za rozdwojenie, a potem zastanowić się...

- Odebrałem oba czeki i podpisałem twoje zrzeczenie się praw. Rozumiesz, nie było cię tutaj.

- W takim razie chcę mego udziału.

- Nie bądź śmieszny - powiedział sobowtór.

- Ale to jest moje! Pójdę do Inter-Temporal i powiem im...

- Nie będą słuchać. Zrzekłem się w twoim imieniu wszystkich twoich praw. Nie możesz nawet pozostać w Teraźniejszości, Everett.

- Nie rób mi tego! - żebrał Barthold.

- Dlaczego? A ty, co zrobiłeś z Bairthre'em?

- Nie będziesz mnie sądził, do cholery! - krzyknął Barthold. - Jesteś mną!

- Kto jeszcze tu jest poza tobą, kto mógłby cię osądzić? - zapytał sobowtór.

Barthold nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Odwrócił się do Mavis.

- Kochanie - powiedział - zawsze mówiłaś, że potrafisz poznać swego męża. Nie poznajesz mnie teraz? Mavis odwróciła się i weszła do domu. Barthold zauważył błysk kamieni ruum na jej szyi i nie pytał już o nic.

Barthold i Barthold stali twarzą w twarz. Sobowtór podniósł rękę. Krążący nisko policyjny heli usiadł na ziemię. Ze środka wyszło trzech policjantów.

- Stało się to, czego się obawiałem, panowie - rzekł sobowtór. - Jak wicie, mój sobowtór odebrał swój czek dziś rano. Zrzekł się wszelkich praw i wyruszył w Przeszłość. Bałem się, że może wrócić i zażądać więcej.

- Nie będzie już pana nachodził - powiedział policjant. Zwrócił się do Bartholda.

- Ty! Włóż do flippera i wynoś się z Teraźniejszości. Następnym razem cię zastrzelimy!

Barthold zrozumiał, że przegrał. Pokornie powiedział: - Z przyjemnością odejdę, panowie. Ale mój flipper wymaga naprawy. Nie ma zegara.

- Powinieneś o tym pomyśleć, zanim zrzekłeś się praw - rzekł policjant. - Jazda stąd!

- Proszę! - błagał Barthold. - Nie - odparł Barthold.

Żadnej litości. I Barthold wiedział, że na miejscu sobowtóra postąpiłby dokładnie tak samo.

Wdrapał się do flippera i zamknął drzwiczki.

W odrętwieniu rozważał możliwości wyboru, jeśli można je było tak nazwać.

Nowy Jork w roku 1912 z doprowadzającą do szaleństwa świadomością bliskości jego epoki? I z Bully Jackiem? Może

Memphis w roku 1869 z Benem Bartholderem czekającym na trzecią wizytę? Może Królewiec w 1676 w towarzystwie głupawo uśmiechniętej gęby Hansa Baerthalera i czarnej śmierci? Może Londyn w roku 1595 z szukającą go po całym mieście bandą rzeźmieszków, przyjaciół Toma Barthala? Może Maiden Castle ze wściekłym, pałającym żądzą odwetu Connorem Lough Mac Bairthre'em?

Było mu wszystko jedno. Tym razem - pomyślał niech miejsce wybierze mnie.

Zamknął oczy i na ślepo wcisnął klawisz.

Zła kuracja

Drugiego maja 2193 roku Elwood Caswell szedł szybko Broadwayem z naładowanym rewolwerem, ukrytym w kieszeni płaszcza. Nie chciał użyć broni, obawiał się jednak, że mimo wszystko jej użyje. Przypuszczenie to było o tyle uzasadnione, że Caswell cierpiał na manię zabijania.

Był łagodny, mglisty, wiosenny dzień, powietrze pachniało deszczem i kwitnącym dereniem. Caswell ścisnął rewolwer spocną dłonią i usiłował wynaleźć choć jeden ważny powód, dla którego miałby nie zabić człowieka nazwiskiem Magnessen, który poprzedniego dnia wygłaszał komentarz na temat powierzchowności Caswella.

Co Magnessena obchodzi jego wygląd? Przekleci złośliwcy zawsze muszą wszystkim włązić w drogę...

Caswell był cholerycznym, niskim mężczyzną o zaczerwienionych, wściekłych oczach, o szczękach buldoga i włosach w odcieniu imbirowej czerwieni; typem, który łatwo sobie wyobrazić, gdy szczerząc zęby z pudełka proszku do prania, woła do dostojnych biznesmanów i rozbawionych studentów: "Mars dla Marsjan, Wenus dla Wenusjan!"

Jednak, prawdę mówiąc, Caswella nie obchodziły godne pożałowania warunki socjalne gatunku pozaziemskiego. Był

kierowcą odrzutowego autobusu Nowojorskiego Towarzystwa Szybkiego Transportu. Pochłaniały go własne sprawy. A był on po prostu szalony. Na szczęście uświadamiał sobie ten fakt, przynajmniej od czasu do czasu i przynajmniej połową swego umysłu.

Pocąc się obficie, Caswell dalej kroczył Broadwayem w kierunku 43 Ulicy, gdzie mieścił się sklep Towarzystwa Aparatów Terapii Domowej.

Jego przyjaciel Magnessen niedługo kończy pracę i powróci do swego małego mieszkanca, położonego niedaleko domu Caswella. Jak łatwo byłoby, jak przyjemnie - wejść, zamienić parę słów i...

Nie! Caswell zaczerpnął powietrza i uprzytomnił sobie, że w gruncie rzeczy nie pragnie nikogo zabić. Ludzi nie wolno zabijać. Policja zamknęłaby go, przyjaciele nie zrozumieliby, a matka nigdy by tego nie zaakceptowała.

Argumenty te jednak wydawały się blade, wyrozumowane i pozbawione jakiegokolwiek siły: - Pozostawał nagi fakt on chciał zabić Magnessena. Czy tak silne pragnienie może być złe? Czy chociażby niezdrowe? Owszem, może! Z rozpaczliwym jękiem Caswell przebiegł ostatnie parę kroków dzielących go od sklepu Aparatów Terapii Domowej.

Już sam fakt znalezienia się w tym lokalu przyniósł mu uczucie natychmiastowej ulgi. Oświetlenie było tu łagodne, draperie naturalne, ekspozycja błyszczących maszyn terapeutycznych ani zbyt dyskretna, ani zbyt krzykliwa. Było to miejsce, gdzie człowiek mógł położyć się na dywanie, w cieniu maszyn terapeutycznych, czując się bezpieczny w świadomości, że pomoc na wszelkie kłopoty znajduje się w zasięgu ręki.

Jasnowłosy sprzedawca z długim i wydatnym nosem przysunął się miękko, choć niezbyt miękko i szepnął:

- Czym można służyć?

- Terapia - powiedział Caswell.

- Oczywiście, sir - odparł sprzedawca, gładząc klapy swojej marynarki, i uśmiechnął się ujmująco. - Po to tu jesteśmy. - Obrzucił Caswella badawczym spojrzeniem, dokonał w myśli

błyskawicznej diagnozy i stuknął w lśniącą biało-miedzianą maszynę.

- Oto - powiedział - nowy Pomocnik Antyalkoholowy produkcji IBM, reklamowany w najpoważniejszych periodykach. Przyzna pan, że mebelek ładny i na miejscu w każdym domu. W środku znajduje się odbiornik telewizyjny.

Śmignawszy wąską dłonią, otworzył drzwiczki Pomocnika Antyalkoholowego, ukazując 52-calowy ekran.

- Ja potrzebuję... - zaczął Caswell.

- Terapii - dokończył za niego sprzedawca. - To się rozumie. Chciałem jedynie podkreślić, że ten model nie sprawi nigdy kłopotu ani panu samemu, ani pańskim przyjaciołom i bliskim. Proszę zwrócić uwagę na tę wgłębioną tarczę. Za jej pomocą mogę regulować stopień spożycia alkoholu. Jeśli nie życzy pan sobie całkowitej abstynencji, może pan nastawić na ilość dużą, średnią lub małą. To jest nowa, dotychczas unikatowa cecha maszyny terapeutycznej.

- Nie jestem alkoholikiem - stwierdził z godnością Caswell. - Towarzystwo Szybkiego Transportu nie zatrudnia alkoholików.

- Hm... - Sprzedawca zerknął z niedowierzaniem na nabiegłe krwią oczy Caswella. - Pan, zdaje się, trochę nerwowy! Może przenośny Uspokajacz "Bendix"?

- Też nie dla mnie. Co macie na manię zabijania?

Sprzedawca ściągnął usta.

- Pochodzenia schizofrenicznego czy maniakalno-depresyjnego?

- Nie wiem - przyznał lekko zaskoczony Caswell.

- Właściwie to nie ma znaczenia - powiedział sprzedawca. - Po prostu prywatna teoria. Z mojego doświadczenia w tym sklepie wynika, że rudzi i blondyni są podatni na schizofrenię, podczas gdy bruneci skłaniają się ku psychozie maniakalno-depresyjnej.

- Ciekawe. Od dawna pan tu pracuje?

- Od tygodnia. A oto rzecz, której pan potrzebuje. Pieszczotliwie położył rękę na przysadzistej czarnej maszynie, wykończonej chromem.

- Co to?

- To jest, proszę pana, Regenerator "Rex" produkcji General Motors. Czyż nie ładny? Pasuje do każdego wnętrza, a w środku ma dobrze zaopatrzone bar. Pańska rodzina, przyjaciele, bliscy nie muszą w ogóle wiedzieć...

- Czy to wyleczy z potrzeby popełnienia zabójstwa? spytał Caswell. - Z silnej potrzeby?

- Absolutnie. Proszę nie mylić z małym, dziesięcioamperowym modelem antynerwicowym. To jest dwudziestopięcioamperowa maszyna o wielkiej sile i wytrzymałości, lecząca naprawdę głęboko zakorzenione poważne stany.

- Właśnie ja to mam - stwierdził nie bez dumy Caswell.

- Ta zabawka wszystko z pana wytrzęsie. Duże, silne łożyska oporowe! Ogromne absorbatory ciepła! Kompletnie izolowane! Czułość rzędu ponad...

- Biorę ją - przerwał Caswell. - Od razu. Płacę gotówką.

- Świetnie. Zatelefonuję do magazynu i...

- Sam sobie poradzę - powiedział Caswell, wyciągając złożone banknoty. - Muszę jak najprędzej z niej skorzystać. Wie pan, chcę zabić mojego przyjaciela, Magnessena. Sprzedawca zagadał współczująco.

- Przejdzie panu ta ochota... Plus pięć procent podatku od sprzedaży. Dziękuję panu. Pełna instrukcja znajduje się w środku.

Caswell podziękował, obiema rękoma dźwignął Regenerator i szybko wyszedł

Po obliczeniu swojej prowizji sprzedawca uśmiechnął się do siebie i zapalił papierosa. Jego radość została zakłócona w momencie, kiedy kierownik, okazały mężczyzna wyposażony w imponujące pince-nez, wypadł ze swojego gabinetu.

- Haskins! - zawołał. - O ile się nie mylę, prosiłem pana o uwolnienie się od tego plugawego nałogu.

- Tak, panie Follansby, przepraszam - sumitował się Haskins, gasząc papierosa. - Natychmiast użyję Denikotynizatora. Dokonałem raczej korzystnej transakcji, panie Follansby. Jeden z tych dużych Regeneratorów "Rex".

Na kierowniku zrobiło to pewne wrażenie.

- Czyżby? - spytał. - Nieczęsto zdarza się - chwileczkę! Nie sprzedał pan chyba modelu, który stał na podłodze.

- Obawiam się, że tak, panie Follansby. Klientowi bardzo się spieszyło. Czyżby istniał jakiś powód...

Pan Follansby pochwycił w obie dłonie swoje wypukłe, białe czoło, tak jakby chciał je oderwać:

- Haskins, ja panu mówiłem, ja musiałem panu mówić. Wystawiony tu Regenerator był modelem marsjańskim do maszynoterapii Marsjan.

- Och - westchnął Haskins. Zamyślił się na chwilę. Och.

Pan Follansby w ponurym milczeniu wpatrywał się w swojego pomocnika.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytał gorączkowo Haskins. - Maszyna z pewnością nie rozróżnia. Sądzę, że leczy manię zabijania nawet wówczas, jeśli pacjent nie jest Marsjaninem?

- Marsjańska rasa nigdy nie przejawiała najmniejszych tendencji do zabijania. Marsjański Regenerator nie ma nawet zaprogramowanego takiego pojęcia. Oczywiście, Regenerator będzie go leczył. Ale co on będzie leczył?

- Och - westchnął Haskins.

- Tego nieszczęśnika należy powstrzymać, nim... Mówi pan, że był to zabójca? Nie wiem, co może się zdarzyć? Prędko, jaki jest jego adres?

- Panie Follansby, on tak bardzo się spieszył... Kierownik obrzucił go przeciągłym, niedowierzającym spojrzeniem.

- Proszę natychmiast zawołać policję i zawiadomić Departament Bezpieczeństwa General Motors.

Haskins rzucił się do drzwi.

- Proszę poczekać! - zawołał kierownik, walcząc ze swoim płaszczem nieprzemakalnym. - Idę z panem.

Elwood Caswell wrócił do domu taxikopterem. Zataszczył Regenerator do bawialni, postawił koło tapczanu i przyjrzał mu się uważnie.

Sprzedawca miał rację - orzekł po chwili. - Pasuje do tego pokoju.

Z estetycznego punktu widzenia Regenerator był bez sprzecznie udany. Caswell podziwiał go jeszcze chwilę, po czym poszedł do kuchni i przygotował sobie kanapkę. Jadł powoli, uporczywie wpatrując się w jeden punkt na ścianie - z lewej strony i trochę poniżej kuchennego zegara.

- Niech cię diabli porwą, Magnessen! Ty parszywy łgarzu z rozbieranymi oczami! Ty wrogu wszystkiego, co na świecie przyzwoite i uczciwe... Wyjął z kieszeni rewolwer i położył go na stole. Popychając go sztywnym palcem wskazującym, parokrotnie zmieniał jego położenie.

Czas zacząć terapię.

Chociaż... Caswell skonstatował z niepokojem, że właściwie nie miał ochoty wyzbyć się żądzy zabicia Magnessena. Co by się z nim stało, gdyby stracił ten popęd? Jego życie zostałyby ogołoczone z wszelkiego sensu, wszelkiego smaku i pikanterii. Byłoby po prostu nudne. Ponadto miał prawdziwy i głęboki żal do Magnessena, nawet myśleć o tym nie lubił.

Irena! Jego biedna siostra, uwiedziona przez podłego i podstępного Magnessena, zniszczona przez niego, a potem porzucona. Czyż mężczyzna może mieć większy powód do chwytania za broń...?

Caswell po chwili uprzytomnił sobie, że nigdy nie miał siostry. Teraz już naprawdę najwyższy czas na terapię. Wrócił do bawialni i odszukał instrukcję obsługi wetkniętą w otwór wentylacyjny maszyny. Rozłożył ją i zaczął czytać.

W celu skorzystania ze wszystkich Regeneratorów typu "Rex" należy:

1. Ustawić Regenerator w pobliżu wygodnego tapczanu - (wygodny tapczan można nabyć jako dodatkowe akcesorium we wszystkich sklepach firmy General Motors).

2. Włączyć maszynę do sieci.

3. Włożyć na głowę obręcz i dopasować ją do obwodu.

I to już wszystko! Całej reszty dokona twój Regenerator. Nie przeszkodzi Ci bariera językowa ani kwestia doboru odpowiedniego dialektu, bowiem Regenerator porozumiewa się z Tobą za

Pomocą Bezpośredniego Kontaktu Zmysłowego (patent Pendinga). Jedynym Twoim zadaniem jest współdziałać.

Nie poddawaj się uczuciu skrępowania czy wstydu. Wszyscy ludzie mają swoje problemy, często znacznie poważniejsze od Twoich. Regenerator nie interesuje się Twoimi zasadami etycznymi. Nie wyobrażaj sobie więc, że on Cię "sądzi". Regenerator chce ci jedynie pomóc, pragnie, abyś czuł się dobrze i był szczęśliwy.

Twój Regenerator z chwilą, gdy tylko zgromadzi i przetworzy dostateczną liczbę informacji, bezzwłocznie zacznie leczenie. Możesz dowolnie przedłużyć lub skrócić seans. To Ty jesteś szefem! Oczywiście, możesz również w każdej chwili przerwać seans.

I to już wszystko! Proste, prawda? A teraz włącz swój Regenerator produkcji General Motors i wyzdrowiej!

- Nic trudnego - powiedział do siebie Caswell. Przysunął Regenerator jeszcze bliżej tapczanu i włączył go. Podniósł obręcz i zaczął nasuwać ją na głowę. Zatrzymał się na moment.

- Głupio się czuję - zachichotał.

Nagle spoważniał i wlepił wojowniczy wzrok w czarno chromowaną maszynę.

"A więc sądzisz, że potrafisz mnie wyleczyć?" Regenerator nic nie odpowiedział.

"No dalej, spróbuj!" - nasunął obręcz na czoło, skrzyżował ramiona na piersiach i przechylił się do tyłu.

Nic się nie wydarzyło. Caswell ułożył się wygodnie na tapczanie. Podrapał się w ramię i przesunął obręcz pod właściwym kątem.

Nadal nic. Jego myśli zaczęły błądzić.

"Magnessen, ty krzykliwy, zarozumiały bałwanie, ty odrażający..."

"Dzień dobry - szepnął mu w głowie głos. - Jestem twoim maszynoterapeutą".

Zażenowany Caswell poruszył się niespokojnie. "Cześć. Ja właśnie - no wiesz, właśnie tak..." "Oczywiście - powiedziała kojącym głosem maszyna.

Przecież my wszyscy... W tej chwili badam zawartość twojej podświadomości w celu dokonania syntezy, diagnozy, prognozy i ustalenia terapii. Znajduję tu..."

"Tak?"

"Chwileczkę. - Regenerator zamilkł na kilka minut. Po czym powiedział z wahaniem: - Jest to bezsprzecznie absolutnie niezwykle przypadek".

"Naprawdę?" - ucieszył się Caswell.

"Tak. Współczynniki wydają się... nie jestem pewien..." - Mechaniczny głos maszyny osłabł. Światło kontrolne zaczęło migotać i przygasać.

"Hej, co się stało?"

"Chwilowe rozproszenie - stwierdziła maszyna. - Oczywiście - ciągnęła mocniejszym głosem - niezwykle charakter symptomów nie może stanowić przeszkody dla kompetentnej maszyny terapeutycznej. Symptom, jakkolwiek byłby dziwaczny, jest jedynie drogowskazem, oznaką wewnętrznych trudności. Wszystkie symptomy można podporządkować szerokiemu, głównemu nurtowi doświadczalnej teorii. Skoro teoria jest skuteczna, symptomy muszą być z nią zgodne. Będę działać opierając się na tym założeniu".

"Czy jesteś pewien, że wiesz, co masz robić?" - pomyślał oszołomiony Caswell.

Maszyna jak gdyby otrząsnęła się, jej światło kontrolne rozblęzło.

"Maszynoterapia jest dziś nauką ścisłą, nie dopuszczającą istotnych błędów. Przeprowadzimy test na skojarzeniach słownych".

"Strzelaj!"

"Budynek?"

"Dom".

"Pies?"

"Kot".

"Flifl?"

Caswell zawahał się, usiłując sklasyfikować to słowo. Dźwięczało raczej po marsjańsku, chociaż mogło być również wenusjańskie, a nawet...

"Flifl?" - powtórzył Regenerator.

"Marfusz" - pomyślał Caswell, wymyśliwszy z miejsca nowe słowo.

"Głośny?"

"Słodko".

"Zielono?"

"Matka".

"Tanagojes?"

"Patamtonga".

"Arrides?"

"Neksotezmodrastika".

"Czishelnoptekes?"

"Rigamaru latasentikpropatria" - odpalił Caswell. Z tego zestawu dźwięków był szczególnie dumny. Przeciętny człowiek nie byłby w stanie ich wymówić.

"Hm - powiedział Regenerator. - Schemat pasuje. On zawsze pasuje".

"Jaki schemat?"

"Cierpisz na klasyczny przypadek popędu fomowego poinformowała go maszyna. - Z komplikacją silnych pragnień dwarkowych".

"Czyżby? A ja myślałem, że jestem zabójcą!"

"Ten termin nic nie znaczy - stwierdziła maszyna.

Musi być zatem odrzucony jako bezsensowny zestaw sylab. Natomiast popęd fomowy jest całkowicie normalny.

"Nigdy o tym nie zapominaj. Na ogół jednak w młodym wieku zostaje zastąpiony instynktem howendyjskim. Osobnicy pozbawieni tej elementarnej reakcji środowiskowej. ."

"Nie jestem całkowicie pewien, czy rozumiem, co mówisz" - wyznał Caswell.

"Posłuchaj. Musimy z góry uzgodnić pewną sprawę. Ty jesteś pacjentem. Ja jestem maszynoterapeutą. Przyszedłeś do mnie ze swoimi kłopotami po to, abym cię wyleczył. Jeśli jednak nie

będiesz ze mną współpracował, nie masz co liczyć na moją pomoc".

"Dobrze - zgodził się Caswell. - Spróbuję".

Dotychczas napawał się poczuciem własnej wyższości. Wszystko, co mówiła maszyna, wydawało mu się nieco humorystyczne. Prawdę mówiąc uważał, że potrafi wyliczyć co najmniej kilka defektów maszynoterapeuty.

Teraz jednak, jak to zwykle u niego bywało, dobre samopoczucie ulotniło się i Caswell był sam, zupełnie sam; impulsywne stworzenie, łączące odrobiny spokoju i radości. Zrobiłby wszystko, aby je osiągnąć. Upomniął surowo sam siebie, że nie wolno krytykować maszynoterapeuty. Przecież te maszyny wiedzą, co robią, i robią to już od dawna. Musi więc współpracować z maszyną bez względu na to, jak dziwna może się wydawać terapia z jego, laickiego, punktu widzenia. Jest jednak oczywiste, pomyślał ze smutkiem Caswell, moszcząc się na tapczanie, że maszynoterapia okazała się sprawą o wiele trudniejszą, niż to sobie wyobrażał.

Poszukiwania zaginionego klienta były krótkie i bezskuteczne. Nie udało się go znaleźć na zatłoczonych ulicach Nowego Jorku i nikt nie przypomniał sobie rudego, czerwonoookiego człowieczka, niosącego czarną maszynę terapeutyczną. Był to widok zbyt pospolity. W odpowiedzi na pilny telefon błyskawicznie pojawiło się czterech policjantów. Przewodził im zafrasowany młody detektyw w randze porucznika, nazwiskiem Smith.

Smith zaledwie zdążył zapytać:

- Ej, ludzie, czemu wy nie przyczepiacie etykietek do waszych towarów? - kiedy mu przerwano.

Przepychając się obok stojącego w drzwiach policjanta, do sklepu wszedł mężczyzna. Był wysoki, kościsty i brzydki. Miał głęboko osadzone, mętnobłękitne oczy. Niechlujne, zmięte ubranie zwisało wokół niego niczym falista blacha.

- Czego pan sobie życzy? - spytał porucznik Smith. Brzydał odchylił klapę, pokazując mały srebrny znaczek. - Jestem John Rath. Departament Bezpieczeństwa General Motors.

- Przepraszam, sir! - zawołał salutując porucznik Smith. - Nie sądziłem, że aż tak się pospieszycie.

Rath wydał nieokreślony odgłos.

- Czy sprawdził pan odciski palców? Klient mógł dotknąć również innych maszyn terapeutycznych.

- Zaraz to zrobię, sir - odpowiedział Smith. Nieczęsto zdarza się, żeby detektyw GM, GE albo IBM osobiście przybył z pomocą. Jeśli miejscowy gliniarz wykaże się odpowiednio, może otworzyć się przed nim perspektywa przejścia do służby w przemyśle.

Rath, obróciwszy się w stronę Follansby'ego i Haskinsa, utkwiał w nich wzrok równie bezosobowy i przenikliwy jak wiązka radaru.

- Proszę mi opowiedzieć całą historię - zażądał wyciągając z bezkształtnej kieszeni ołówek i notes.

Słuchał w złowieszczym milczeniu. W końcu zamknął notes i powiedział:

- Powierzenie komuś maszyny terapeutycznej jest dowodem największego zaufania. Sprzedanie klientowi niewłaściwej maszyny jest zdradą tego zaufania, pogwałceniem interesu publicznego i zniesławieniem dobrego imienia Towarzystwa. Kierownik przytaknął, piorunując wzrokiem swojego nieszczęsnego pomocnika.

- Marsjański model - ciągnął Rath - po pierwsze nie powinien był stać na podłodze.

- Mogę to wyjaśnić - wtrącił pospiesznie Follansby.

Potrzebowaliśmy modelu okazowego i napisaliśmy do Towarzystwa, żeby...

Nieubłagany Rath przerwał:

- Może być to uznane za karalny przypadek jaskrawego zaniedbania.

Kierownik i sprzedawca wymienili przerażone spojrzenia. Obaj pomyśleli o domu poprawczym General Motors koło Detroit, gdzie ludzie winni wykroczeń przeciw Towarzystwu spędzają dni w posępnym milczeniu, sprzedając mikroobwody do odbiorników telewizyjnych.

- Niemniej leży to poza zakresem moich kompetencji dodał Rath. Skierował złowrogie spojrzenie prosto na Haskinsa. - Czy jest pan pewien, że klient nie wymienił swojego nazwiska?

- Nie, proszę pana. To znaczy tak, jestem pewien wyrzucił Haskins.

- W ogóle nie wymienił żadnego nazwiska?

Haskins ukrył na chwilę twarz w dłoniach, po czym podniósł oczy w górę i zawołał:

- Tak! On chciał kogoś zabić! Swojego przyjaciela! - Kogo? - zapytał Rath ze straszliwą cierpliwością. - Nazwisko przyjaciela brzmiało - niech pomyślę

Magneton! Oczywiście! Magneton! A może Merrison? O Boże...

Kamienną twarz pana Ratha wykrzywił wyraz obrzydzenia. Ludzie jako świadkowie są bezużyteczni. Gorzej niż bezużyteczni - często wręcz wprowadzają w błąd. Polegać można tylko na robotach.

- Czy nie powiedział niczego, co mogłoby stanowić wskazówkę?

- Pomyślę - odparł Haskins, a jego twarz skurczyła się w przyпіływie skupienia.

Rath czekał.

Pan Follansby chrząkał.

- Myślałem właśnie, panie Rath, o marsjańskiej maszynie. Ona chyba nie wyleczy Ziemianina z manii zabijania?

- Oczywiście, że nie wyleczy. Zabójstwo jest na Marsie nieznane.

- Tak. Co więc maszyna zrobi? Czy może odrzucić cały przypadek jako niezrozumiały? Wówczas klient zwróciłby nam po prostu Regenerator z reklamacją, a my...

Pan Rath potrząsnął głową. Regenerator, jeśli stwierdzi psychozę, musi ją leczyć. Zgodnie z pojęciem Marsjan, klient jest bardzo chorym człowiekiem bez względu na to, co mu jest. Follansby zdjął pince-nez i wytarł je pospiesznie.

- Co zatem robi maszyna?

- Będzie leczyła go na chorobę marsjańską najbardziej zbliżoną do jego przypadku. Popęd fomy, jak sądzę, z licznymi komplikacjami. Natomiast co może nastąpić po rozpoczęciu terapii - tego nie wiem. I wątpię, czy ktokolwiek wie, jako że dotychczas nic podobnego się nigdy nie zdarzyło. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że są to dwie główne możliwości. Albo pacjent może z miejsca odrzucić terapię, co oznacza, że jego mania zabijania pozostałaby nienaruszona. Albo też może zaakceptować terapię marsjańską i wyleczyć się.

Oblicze pana Follansby'ego rozpromieniło się nagle. - Ach, więc kuracja jest jednak możliwa?

- Pan nie rozumie - powiedział Rath. - On może zostać wyleczony ze swojej nie istniejącej marsjańskiej psychozy. Ale leczenie czegoś, co nie istnieje, jest równoznaczne z tworzeniem niczym nie uzasadnionego, urojonego systemu. Można założyć, że maszyna zacznie pracować w odwrotnym kierunku, produkując psychozę zamiast ją usunąć.

Pan Follansby jęknął i oparł się o Maszynę Psychosomatyczną produkcji Bella.

- Końcowym skutkiem tego procesu - podsumował Rath - byłoby przekonanie klienta, że jest Marsjaninem. Zdrowym Marsjaninem, oczywiście.

Haskins wrzasnął nagle.

- Przypomniałem sobie! Już sobie przypomniałem! Powiedział, że pracuje w Nowojorskim Towarzystwie Szybkiego Transportu! Przypominam sobie dokładnie!

- To już jest jakaś szansa - stwierdził Rath, sięgając po telefon.

Haskins z ulgą obtarł spoconą twarz.

- Przypomniałem sobie jeszcze coś, co może ułatwić całą sprawę.

- Co?

- Klient powiedział mi, że był kiedyś alkoholikiem. Jestem o tym przekonany. Z początku, póki go nie odciągnąłem, interesował się Pomocnikiem Antyalkoholowym produkcji IBM. Ma rude włosy, a wie pan, ja od pewnego czasu mam taką teorię na temat rudowłosych i alkoholizmu. Wydaje mi się...

- Doskonale - stwierdził Rath. - Alkoholizm będzie figurował w jego ewidencji. To wydatnie zawęzi pole poszukiwań.

Gdy łączył się z Towarzystwem Szybkiego Transportu, wyraz jego kamiennej dotychczas twarzy stał się niemal miły. Jak dobrze jest odkryć dla odmiany, że człowiek mimo wszystko potrafi zapamiętać fakty.

"Jestem przekonany, że pamiętasz swoją gorykę?" mówił Regenerator.

"Nie" - odpowiedział znużonym głosem Caswell. "Mm. Zablockowanie - szepnęła maszyna. - Uraz. Stłuczenie. Czy jesteś pewien, że nie pamiętasz swojej goryki ani tego, czym ona dla ciebie była? Jest to przecież doświadczenie uniwersalne".

"Nie dla mnie" - odpowiedział Caswell, tłumiąc ziewanie.

Od blisko czterech godzin poddawał się maszynoterapii i odnosił wrażenie, że robi to na próżno. Przez chwilę chętnie opowiadał o swoim dzieciństwie, o matce i ojcu, o starszym bracie. Lecz Regenerator upomniął go, aby przestał fantazjować. Stosunek pacjenta od urojonych rodziców i rodzeństwa niczego nie wnosi i z psychologicznego punktu widzenia jest nieistotny. Najważniejsze są uczucia pacjenta, zarówno uświadomione, jak i nieuświadomione, względem jego goryki.

"Zrozum - pożalił się Caswell - przecież ja nawet nie wiem, co to jest goryka".

"Wiesz, tylko nie dopuszczasz tego do siebie". "Nie wiem. Powiedz mi".

"Byłoby lepiej, gdybyś ty mi to powiedział".

"Jakim cudem? - rozzłościł się Caswell. - Ja nie wiem". "A jak ci się wydaje - co to może być goryka?" "Pożar lasu - powiedział Caswell. - Tabletki soli. Słoik denaturatu. Mały śrubokręt. Ciepłej? Notes. Rewolwer..." "Te skojarzenia nie mają sensu. Twoje skłonności do mówienia na chybił trafił wskazują wyraźnie na pewien ukryty mechanizm. Czy nie dostrzegasz go?"

"Co to jest, do diabła, Goryka?!!" - ryknął Caswell.

"Drzewo, które żywiło cię w niemowlęctwie i żywiło cię jeszcze długo po osiągnięciu dojrzałości, jeśli moja teoria jest słuszna. Przez nieuwagę Goryka nie dopuściła u ciebie do niezbędnego

odrzućcia popędu fomowego. To z kolei przyczyniło się do powstania potrzeby dwarkowania kogoś metodą wlendijską".

"Żadne drzewo mnie nie karmiło". "Nie pamiętasz tego po prostu".

"Oczywiście, że nie. Bo to nigdy nie miało miejsca". "Czy jesteś tego pewien?"

"Absolutnie". "Nie masz nawet cienia wątpliwości?"

"Nie. Żadna goryka nigdy mnie nie karmiła. Słuchaj, ja przecież mogę przerwać seans w każdym momencie. Prawda?"

"Naturalnie - odpowiedział Regenerator. - Nie radziłbym jednak robić tego teraz. Przejawiasz w tej chwili gniew, urazę, strach. Dzięki twojej upartej i całkowitej negacji..."

"Brednie" - orzekł Caswell i ściągnął obręcz z głowy. Cisza była rzeczą cudowną. Caswell wstał, ziewnął, przeciągnął się i rozmasował sobie kark. Stał naprzeciw buczonej maszyny i rzucił jej złośliwe spojrzenie.

- Nie wyleczyłabyś mnie ze zwykłego kataru - powiedział.

Sztywnym krokiem przemierzył pokój i wrócił do Regeneratora.

- Parszywa bujda! - krzyknął.

Przeszedł do kuchni i otworzył butelkę piwa.

Jego rewolwer wciąż leżał na stole, pobłyskując matowo. "Magnessen! Ty niewiarygodnie plugawy oszuście! Ty wcielony diable! Ty nieludzki, nienawistny potworze! Ktoś musi cię zniszczyć, Magnessen! Ktoś..."

Ktoś? On sam będzie musiał to zrobić. Tylko bowiem on jeden zna bezdenną głębię jego zepsucia, jego ohydny żądzą władzy.

"Tak, to mój obowiązek" - pomyślał Caswell. O dziwo, jednak ta świadomość nie sprawiła mu przyjemności. W końcu Magnessen był jego przyjacielem.

Wstał, gotowy do działania. Wetknął rewolwer do prawej kieszeni płaszcza i spojrzał na kuchenny zegar. Dochodziła szósta trzydzieści. Magnessen siedzi teraz w domu, żarłocznie połyka kolację i uśmiecha się do swoich planów. Jest najlepsza pora, aby go dopaść.

Caswell podszedł do drzwi, otworzył je, wyjrzał na zewnątrz i - zamarł. Umysł jego przeszyła myśl, myśl tak piorunująca, tak

istotna i tak brzemienna w konsekwencje, że poruszyła go do głębi. Caswell rozpaczliwie usiłował usunąć ją ze swojej świadomości, ale myśl nie chciała odejść, uparcie tkwiła w jego pamięci.

W tych okolicznościach mógł zrobić tylko jedną rzecz. Wrócił do bawialni, usiadł na tapczanie i nasunął obręcz na głowę.

"Tak?" - spytał Regenerator.

"Wiesz co, to jest cholerna sprawa - powiedział Caswell - ale wydaje mi się, że ja pamiętam swoją gorykę".

Jo hn Rath za pomocą telewideofonu skontaktował się z Nowojorskim Towarzystwem Szybkiego Transportu. Został natychmiast połączony z panem Bemisem, pulchnym, opalonym mężczyzną o czujnym spojrzeniu.

- Alkoholizm? - powtórzył pan Bemis po wysłuchaniu całej sprawy. Zwrócił się jakby od niechcienia w stronę swojej aparatury. - Pomędzy naszymi pracownikami?

Przyciskając znajdujący się pod jego stopą guzik, zaalarmował Służbę Bezpieczeństwa, Departament Transportu, Reklamę, Wydział Współpracy Mędzyzakładowej oraz Departament Transportu Psychoanalitycznego. Zrobiwszy to, popatrzył szczerze na Ratha.

- Nie ma o tym mowy, drogi panie. A tak, między nami, co właściwie General Motors chce wiedzieć?

Rath uśmiechnął się gorzko. Powinien był przewidzieć. NYST i GM dzieliły niegdyś pewne różnice zdań. Oficjalnie oba potężne Towarzystwa współpracowały ze sobą. Ale w praktyce...

- Sprawa dotyczy dobra publicznego - powiedział Rath.

- Och, nie wątpię - odparł z przebiegłym uśmiechem pan Bemis. Spojrzawszy na tarczę telewideofonu stwierdził, że kilku członków zarządu Towarzystwa włączyło się na jego linię. Jeśli odpowiednio rzecz potraktować, może to oznaczać awans.

- Dobro publiczne z punktu widzenia GM - dodał pan Bemis ze zgryźliwą uprzejmością. - Insynuuje pan, jak przypuszczam, że nasze odrzutowe oraz heliautobusy są prowadzone przez pijanych kierowców?

- Skądże znowu. Poszukuję pojedynczego przypadku skłonności alkoholowych, indywidualnej utajonej osoby. - To jest wykluczone. My nie zatrudniamy w Szybkim

Transporcie ludzi o najmniejszej nawet inklinacji w tym kierunku. I pozwolę sobie poradzić, abyście wyczyścili własne podwórko, nim zaczniecie mieszać się w cudze sprawy.

Z tymi słowami pan Bemis przerwał połączenie.

Nikt nie będzie z niego kpił.

- Koniec - orzekł ponuro Rath. Odwrócił się i zawołał: - Smith, znalazł pan jakieś odciski palców?! Porucznik Smith, bez kurtki i z zawiniętymi rękawami koszuli, odpowiedział:

- Nic, co mogłoby mieć znaczenie.

Rath zacisnął wąskie wargi. Upłynęło już prawie siedem godzin, odkąd klient wyniósł marsjańską maszynę. Trudno przewidzieć, ile zła mogło się w tym czasie wydarzyć. Gdyby klient wszczął proces poszlakowy Towarzystwu, byłby niewątpliwie usprawiedliwiony. Nie chodzi tu nawet o pieniądze, ale złej reklamy za wszelką cenę należy unikać. - Przepraszam, sir - powiedział Haskins.

Rath zignorował go. Co dalej? Na Szybki Transport nie ma co liczyć.

Może wojsko udostępni swoje archiwa, rejestry sklasyfikowane pod kątem typu somatycznego i kolorytu?

- Sir - powtórzył Haskins.

- O co chodzi?

- Właśnie sobie przypomniałem nazwisko przyjaciela klienta - Magnessen.

- Czy jest pan pewien?

- Najzupełniej - powiedział Haskins, po raz pierwszy od kilku godzin okazując śmiałość. - Pozwoliłem sobie sprawdzić w książce telefonicznej. Na Manhattanie jest jeden człowiek o tym nazwisku.

Rath rzucił groźne spojrzenie spod krzaczastych brwi. - Haskins, mam nadzieję, że pan się nie myli. Mam szczerą nadzieję... Bo jeśli... to ja wtedy... nieważne. Chodźmy!

W ciągu piętnastu minut przybyli wraz z eskortą policji na miejsce. Był to stary dom o fasadzie z brązowego piaskowca. Nazwisko Magnessena figurowało na drzwiach pierwszego piętra. Zapukali. Drzwi otworzyły się i stanął przed nimi trzydziesto paroletni mężczyzna, krępy i krótko ostrzyżony. Był w samej koszuli. Przybladł trochę na widok tyłu mundurów, ale się opanował.

- Magnessen - szczechnął porucznik Smith.

- Tak. A co się nie podoba? Jeśli to mój samograj za głośno gra, to powiem, że ta stara wiedźma z dołu...

- Czy możemy wejść? - przerwał Rath. - Sprawa jest ważna.

Magnessen wyglądał, jakby chciał odmówić. Toteż Rath przepchnął się obok niego, a za nim Smith, Follansby, Haskins i mała armia policjantów. Magnessen obrócił się w ich stronę, zdumiony, nieufny i wyraźnie przestraszony.

- Panie Magnessen - odezwał się Rath najprzyjemniejszym tonem, na jaki było go stać. - Proszę nam wybaczyć to najście. Zapewniam pana jednak, że chodzi o dobro publiczne, jak też i pana własne. Czy zna pan małego wściekłego człowieczka o rudych włosach i zaczerwienionych oczach?

- Tak - powiedział Magnessen powoli i niepewnie. - Czy poda pan jego nazwisko i adres? - spytał Rath. - Sądzę, że myślicie o... chwileczkę. A co zrobił?

- Nic.

- Więc po co go szukacie?

- Nie mamy czasu na wyjaśnienia - powiedział Rath. - Proszę mi jednak wierzyć, że leży to również w jego interesie. Jak on się nazywa?

Magnessen wpatrywał się badawczo w brzydką, uczciwą twarz Ratha, wahał się.

- No, Magnessen - ponaglił porucznik Smith - gadaj, jeśli dbasz o swoją skórę. Chcemy znać nazwisko, i to zaraz. Było to niewłaściwe podejście. Magnessen zapalił papierosa, dmuchnął dymem w kierunku Smitha i zapytał:

- Koleś, a nakaz aresztowania masz?

- A załóż się, że mam - warknął Smith, zbliżając się do niego - ale dla ciebie, mądralo!

- Dosyć - rozkazał Rath. - Dziękuję panu za pomoc, poruczniku Smith. Nie będę już pana potrzebował. Wściekły Smith musiał opuścić lokal, a za nim jego policjanci.

- Przepraszam za nadgorliwość Smitha - powiedział Rath. - Lepiej będzie, jeśli pozna pan całą prawdę. Krótko, ale niczego nie pomijając, opowiedział historię klienta i marsjańskiej maszyny, terapeutycznej. Kiedy skończył, Magnessen wydawał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

- Mówi pan, że on chce mnie zabić? - Stanowczo.

- To kłamstwo! Nie wiem, co pan kombinuje, ale nigdy mi pan tego nie wmówi. Elwood jest moim najlepszym przyjacielem. Od dzieciństwa jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Razem byliśmy w wojsku. Elwood dałby sobie za mnie rękę uciąć. I ja zrobiłbym to samo dla niego.

- Tak, tak - powiedział niecierpliwie Rath - z pewnością tak by postąpił, gdyby był zdrow na umyśle. Ale pański przyjaciel Elwood - czy to jest imię, czy nazwisko? - Imię - mruknął niechętnie Magnessen.

- Pański przyjaciel Elwood jest chory psychicznie.

- Pan go nie zna. Ten chłopak kocha mnie jak brata. Panie, co on właściwie zrobił? Może nie zapłacił jakiegoś rachunku czy coś w tym rodzaju? Ja mogę uregulować.

- Ty tępy imbecylny! - wrzasnął Rath. - Staram się uratować twoje życie oraz życie i zdrowie twojego przyjaciela.

- A skąd ja mam o tym wiedzieć? - pożalił się Magnessen. - Wdarliście się tu tak, chłopcy...

- Pan musi mi uwierzyć - powiedział Rath. Magnessen wlepił badawczy wzrok w twarz Ratha, w końcu przytaknął kwaśno.

- Nazywa się Elwood Caswell. Mieszka blisko stąd. Pod numerem 341.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był niski, rudowłosy i miał czerwone obwódki wokół oczu. Prawą rękę trzymał w kieszeni płaszcza. Wydawał się bardzo spokojny.

- Czy pan Elwood Caswell?- spytał Rath. - Elwood Caswell, który dzisiaj wczesnym popołudniem kupił Regenerator w sklepie Aparatów Terapii Domowej?

- Tak - potwierdził Caswell. - Czy panowie zechcą wejść?

W małej bawialni Caswella, obok tapczanu, dostrzegli błyszczący czernią i chromem Regenerator. Był włączony.

- Czy używał go pan? - zapytał z niepokojem Rath.

- Tak.

Follansby wysunął się do przodu.

- Panie Caswell, nie bardzo wiem, jak to wytłumaczyć, ale popełniliśmy okropną pomyłkę. Regenerator, który pan wziął, jest modelem marsjańskim - do leczenia Marsjan.

- Wiem - powiedział Caswell.

- Wie pan?

- Naturalnie. Już po krótkim czasie było to oczywiste. - Sytuacja była niebezpieczna - powiedział Rath szczególnie dla człowieka, hmm, z pana kłopotami.

Spojrzał ukradkowo na Caswella.

Mężczyzna wyglądał normalnie, ale pozory mylą, zwłaszcza w przypadkach psychozy. Caswell był potencjalnym zabójcą i nie istniał na dobrą sprawę powód, dla którego miałby przestać nim być.

Rath zaczął żałować, że tak wcześnie odprawił Smitha i jego policjantów. Obecność uzbrojonego patrolu podnosiła czasami na duchu. Caswell podszedł do maszyny terapeutycznej. Prawą rękę trzymał nadal w kieszeni płaszcza, lewą położył z czułością na Regeneratorze.

- Biedactwo, starało się jak mogło - powiedział - no, ale Regenerator nie mógł przecież wyleczyć tego, co nie istniało. - Roześmiał się. - Choć był właściwie bliski sukcesu.

Rath zlustrował badawczo Caswella i odezwał się wystudiowanym, obojętnym tonem:

- Cieszę się, że nie stało się nic złego. Towarzystwo wynagrodzi panu oczywiście stracony czas i krzywdę moralną.

- Oczywiście - powiedział Caswell.

- I dostarczy panu natychmiast odpowiedni ziemski Regenera-
tor.

- Nie widzę potrzeby.

- Nie?

- Nie.

Głos Caswella był zdecydowany:

- Terapeutyczne zabiegi maszyny zmusiły mnie do wejrzenia we
własną psychikę. Przeżyłem chwilę absolutnej samokrytyki.
Stałem się wówczas zdolny do przeanalizowania i pozbycia się
moich zbrodniczych intencji wobec biednego Magnessena.

Rath pokręcił głową z powątpiewaniem:

- Nie odczuwa pan tej potrzeby?

- W najmniejszym stopniu.

Rath zmarszczył brwi, zaczął coś mówić, lecz przerwał. Zwrócił
się do Follansby'ego i Haskinsa:

- Weźcie stąd tę maszynę. Będę miał z wami kilka spraw do
omówienia w sklepie.

Kierownik i sprzedawca podnieśli maszynę i wyszli. Rath
westchnął głęboko:

- Panie Caswell, z całym przekonaniem radziłbym panu przyjąć
od Towarzystwa nowy Regenerator. Jeżeli kuracja nie została
przeprowadzona we właściwy maszynoterapeutyczny sposób,
zawsze będzie istniało niebezpieczeństwo nawrotu choroby.

- Co do mnie, nie ma obawy - stwierdził Caswell cicho, lecz z
głębokim przekonaniem. - Dziękuję panu za troskę. I dobranoc.

Rath wzruszył ramionami i podszedł do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał Caswell.

Rath odwrócił się. Caswell wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w
niej rewolwer. Rath poczuł krople potu spływające wzdłuż
ramion. Przeliczył odległość dzielącą go od Caswella. Za daleko.

- Proszę - powiedział Caswell, podając mu rewolwer kolbą
naprzód. - Nie będę już tego potrzebował.

Rath, usiłując utrzymać spokój na twarzy, wziął rewolwer i
schował go do swojej bezkształtnej kieszeni.

- Dobranoc - powiedział Caswell.

Zamknął drzwi za Rathem i zaryglował je. Nareszcie był sam. Poszedł do kuchni. Otworzył butelkę piwa, pociągnął potężny łyk i przysiadł na kuchennym stole. Zaczął uporczywie wpatrywać się w jeden punkt - na lewo i poniżej zegara. Musiał teraz przemyśleć swoje plany. Nie było czasu do stracenia.

Magnessen! Ten nieludzki potwór, który wyciął gorykę Caswella! Człowiek, który do tej pory nosi się z ukrytym zamiarem zarażenia całego Nowego Jorku ohydny popędem fomowym. Och, Magnessen, życzę ci długiego, długiego życia, wypełnionego torturami, które ci będę zadawał. A na początek...

Caswell uśmiechnął się do siebie na myśl, jak będzie dwarkował Magnessena metodą wlendyjską.

Pasażer na gapę

Przyjechałem do Marsport w kilka godzin po lądowaniu rakiety, pochodzącej z Ziemi. Jej ładunek zawierał świdry o diamentowych wiertłach, które zamówiłem z góry rok temu. Zależało mi na tym, żeby je odebrać, zanim ktoś inny wszystko zgarnie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że ktoś miałby mi ukraść przesyłkę; tutaj, na Marsie, wszyscy jesteśmy uczonymi i dżentelmenami. Ale trudno tu dostać potrzebne rzeczy i "rekwizycja w wypadku nagłej potrzeby" jest dla uczonego-dżentelmena najlepszym sposobem skradzenia czegoś, czego mu brak.

Ładowałem właśnie moje świdry na jeepa, gdy zjawił się Carson z Sekcji Kopalnianej, wymachując rozkazem rekwizycji z prawem pierwszeństwa w wypadku nagłej potrzeby. Na szczęście miałem dobry pomysł, żeby przygotować sobie - znałem osobiście dyrektora Burke - nakaz rekwizycji z prawem pierwszeństwa przed wszystkimi innymi nakazami rekwizycji. Carson okazał się tak posłuszny, że trzy świdry dałem mu w prezencie.

Odjechał z hałasem na swym skuterze poprzez słynne czerwone piaski Marsa, które tak ładnie wyglądają na kolorowych pocztówkach, lecz które tylko zanieczyszczają motory.

Zbliżyłem się do rakiety, nie dlatego, żebym specjalnie interesował się raketami, lecz raczej, żeby zobaczyć coś, co urozmaiciłoby mi trochę codzienną monotonię.

I właśnie zobaczyłem pasażera na gapę.

Stał tuż przy rakiecie i oczami wielkimi jak spodki obserwował czerwone piaski, wypalone tereny lądowania i pięć budynków Marsportu. Cała jego postać niemal mówiła: "A więc to jest Mars...!"

Zirykowałem się w duchu. Miałem już na ten dzień więcej pracy, niż mógłbym odwalić w ciągu tygodnia. A pasażerowie na gapę - to było moje zajęcie. Dyrektor Burke powiedział mi kiedyś, w chwili nagłego kaprysu:

- Tully, pan umie się obchodzić z ludźmi. Pan ich rozumie. Oni pana lubią. Więc mianuję pana szefem marsjańskiej służby bezpieczeństwa.

Inaczej mówiąc, do mnie należało zajmowanie się pasażerami na gapę. Ten mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Wzrostu był wyższego niż metr dziewięćdziesiąt, a ważył zaledwie jakieś pięćdziesiąt kilo. Skóra i kości. Nos jego przybrał w naszym dobroczynnym, marsjańskim klimacie zabawną czerwoną barwę. Miał duże niezgrabne ręce i dusił się jak ryba wyrzucona z wody w naszą dobroczynną atmosferę. Naturalnie nie miał inhalatora. Pasażerowie na gapę nigdy ich nie mają.

Zbliżyłem się do niego i powiedziałem:

- No i co pan myśli? To zabawne wrażenie, prawda, znaleźć się na autentycznej obcej planecie.

- Pewnie! - dyszał pasażer na gapę.

Jego skóra z powodu braku tlenu stawała się niebieska, z wyjątkiem końca nosa, który świecił teraz jaskrawą czerwienią. Postanowiłem, że jeszcze przez chwilę pozwolę mu cierpieć.

- A więc po kryjomu załadowaliśmy się razem z ładunkiem. Chciało się odbyć gratisową przejażdżkę na uroczą, zachwycającą planetę Mars?

- Pan... pan niesłusznie uważa mnie za zwykłego pasażera na gapę - zaprotestował. - Jak by to powiedzieć... jak by to powiedzieć...

- ...jak by to powiedzieć, dałem łapówkę kapitanowi skończyłem za niego.

Zaczął niebezpiecznie chwiać się na długich, chudych nogach. Wyjąłem mój zapasowy inhalator i założyłem mu na nos.

- Tędy, darmozjadku! Postaramy się znaleźć dla ciebie coś do zjedzenia. A potem utniemy sobie poważną rozmówkę w cztery oczy.

Musiałem trzymać go za ramię, żeby doprowadzić aż do messy. Tak przewracał oczami, że za każdym krokiem mało brakowało, a byłby się o coś potknął i potłukł. Kiedy znaleźliśmy się wreszcie w środku, wyregulowałem ciśnienie atmosferyczne i kazałem mu odgrzać kotlet wieprzowy i fasolę.

Łapczywie połknął wszystko, obrócił się na krzesło i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nazywam się Johny Franklin - oświadczył. - Mars! Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że tu jestem!

To mówią wszyscy pasażerowie na gapę, przynajmniej ci, którym uda się przeżyć podróż. Na dziesięciu lub dwunastu, którzy co roku tego próbują, rzadko tylko więcej niż jeden lub dwóch przybywa żywy. Większość z nich to straszni głupcy.

Udaje im się wśliznąć pomiędzy ładunek, mimo wszelkich kontroli służby bezpieczeństwa. Rakieta startuje z przyspieszeniem prawie dwudziestu "g" i wtedy pasażer na gapę, pozbawiony jakiegokolwiek specjalnej ochrony, pęka jak pluskwa. A jeśli to wytrzyma, wykańcza go promieniowanie. Albo też dusi się w nie nadającej się do oddychania atmosferze wnętrza statku, zanim zdoła dotrzeć do kabiny pilota.

Mamy tutaj na uboczu specjalny cmentarz, zarezerwowany wyłącznie dla pasażerów na gapę.

Jednakże zdarzają się tacy, którzy to przeżywają i lądują na Marsie, pełni marzeń i złudzeń. I to właśnie ja mam obowiązek rozwiewać ich złudzenia.

- Co masz zamiar robić na Marsie? - spytałem go. - Powiem panu - odparł Franklin. - Na Ziemi musi się być takim samym jak wszyscy. Trzeba myśleć tak jak wszyscy i postępować tak jak wszyscy. A jeśli nie, to człowieka zamykają.

Skinąłem głową potakująco. Życie na Ziemi, po raz pierwszy w historii ludzkości, było teraz ustabilizowane. Władze dążyły, żeby to utrwalić.

- A zatem przyszła ci chętka zmienić trochę klimat? - Tak, proszę pana - powiedział Franklin. - Może pan powie, że to banalne, ale chciałem być pionierem. Jeśli to trudne, tym gorzej dla mnie! Będę pracował. Niech mi pan pozwoli zostać, a zobaczy pan! Będę pracował tak ciężko, jak będzie trzeba!

- Po co?

- Hę?

Przez chwilę był skonsternowany. Potem odparł: - Ależ... wszystko jedno po co...

- Co umiesz robić? Będziemy pewnie potrzebowali dobrego specjalisty chemii nieorganicznej. Orientujesz się może przypadkiem w tego rodzaju badaniach?

- N... nie, proszę pana. I nie sprawiało mi to przyjemności, lecz trzeba było, żebym mu przedstawił całą smutną i niosącą rozczarowanie prawdę, tak jak przedstawiałem ją innym.

- A więc chemia nie jest twoją dziedziną - ciągnąłem. - Znalazłaby się może posada dla świetnego geologa. Albo, dajmy na to, dla statystyka...

- Obawiam się, że...

- Powiedz mi, Franklin, jakie ty masz dyplomy?

- Żadnych, proszę pana.

- Nic? Nawet najskromniejszego doktoratu? Żadnego stopnia? Nawet najędzniejszego magisterium?

- Nie, proszę pana - żałośnie przyznał Franklin.

- A więc? Na co tu liczysz?

- Proszę pana, czytałem gdzieś, że wasza organizacja rozciąga się nieco poza samą planetę. Myślałem, że może mógłbym być gońcem, łącznikiem pomiędzy jej różnymi placówkami. Znam

się trochę na stolarstwie i blacharce... Na pewno znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie...

Nalałem mu drugą filiżankę kawy, a on patrzył na mnie błagalnym wzrokiem. Na tym etapie rozmowy pasażerowie na gapę zawsze tak patrzą. Wyobrażają sobie, że Mars jest tym, czym była Alaska w latach siedemdziesiątych lub Antarktyda około roku 2000 - rodzajem strefy frontowej, otwartej dla wszystkich ludzi odważnych i zdecydowanych. Ale Mars nie jest strefą frontową; jest raczej ślepą uliczką.

- Franklin - powiedziałem - czy wiesz, że Plan Marsjański to nie zabawka i na pewno nigdy nią nie będzie? Czy wiesz, że według planu musi się wydać pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, aby utrzymać tutaj jednego człowieka? Czy myślisz, że jesteś wart rocznej pensji w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów?

- Nie będę jadł zbyt dużo - rzekł Franklin. - A jak raz się czegoś dobrze nauczę, to...

- A czy wiesz - przerwałem mu - że na Marsie nie ma ani jednego człowieka, który nie posiadałby co najmniej tytułu doktora?!

- Nie wiedziałem o tym - westchnął Franklin. Pasażerowie na gapę nigdy o tym nie wiedzą. Zawsze muszą im o tym mówić. Wyjaśniłem Franklinowi, że to sami uczeni zajmowali się w swych wolnych chwilach wszelkimi pracami stolarskimi. A także kuchnią, gospodarstwem domowym i sprzątaniami. Te prace nie były może zbyt dobrze wykonywane, ale trzeba się tym zadowolić. W istocie, na Marsie nie ma ani jednego robotnika, który by poza tym nie był jakimś specjalistą. Nie możemy sobie na to pozwolić.

Myślałem, że wybuchnie płaczem, ale udało mu się opanować.

Rozgląda się z namysłem dookoła, obserwując każdy szczegół naszej nędznej, małej messy. Jak na marsjańską, była marsjańska!

- Chodźmy powiedziałem, wstając z miejsca. Spróbujmy znaleźć dla ciebie łóżko. Jutro wyda się dyspozycje co do twego powrotu na Ziemię. Nie rób takiej miny! Będiesz mógł przynajmniej opowiadać, że widziałeś Marsa.

- Tak, proszę pana. - Podniósł się ze znużeniem. Ale ja nie wrócę na Ziemię.

Dyskusja nie miała sensu. Większość pasażerów na gapę ma najdziwniejsze myśli. Jakże mogłem wiedzieć, co tam się kłębi pod tą czaszką?

Po zainstalowaniu Franklina wróciłem do mojego laboratorium, gdzie spędziłem parę godzin, kończąc terminową pracę. Potem, śmiertelnie zmęczony, rzuciłem się przespać.

Nazajutrz rano poszedłem obudzić Franklina. Nie było go w łóżku. Natychmiast wziąłem pod uwagę możliwość sabotażu. Któż wie, do czego jest zdolny niefortunny pionier? Mógł przecież wyciągnąć parę prętów ze stosu atomowego. Wściekły, poszedłem szukać go w terenie i wreszcie odnalazłem przed laboratorium spektroskopowym, już prawie całkiem ukończonym.

Budową tego laboratorium zajmowaliśmy się, z konieczności, jedynie w wolnych chwilach. Gdy tylko ktoś z nas dysponował odrobiną czasu, szedł położyć kilka cegieł albo skończyć heblowanie powierzchni stołu, albo przyśrubować zawiasy do drzwi. Ale nikt nie mógł oderwać się od swych zajęć na tak długo, żeby laboratorium rzeczywiście "postawić na nogi".

Franklin przez kilka godzin zrobił tutaj więcej niż my wszyscy w ciągu kilku miesięcy. Był rzeczywiście świetnym i stolarzem i pracował, jakby miał diabła za skórą.

- Franklin!! - zawołałem.

- Tak, proszę pana.

Przybiegł do mnie bardzo ożywiony.

- Chciałem tylko panu pokazać, co umiem robić. Proszę mi dać jeszcze kilka godzin, a będzie pan miał dach. A jeśli nikomu nie są potrzebne te kawałki rur, to może do jutra zdążyłbym założyć całą instalację.

Nie ulegało wątpliwości, że Franklin był dobrym robotnikiem. Właśnie tego typu, jakiego potrzebowaliśmy na Marsie. Z czystym sumieniem mogłem klepnąć go po ramieniu i powiedzieć:

- Mój chłopcze, studia to nie wszystko! Możesz zostać. Potrzebujemy cię.

Naprawdę miałem ochotę mu to powiedzieć. Ale nie mogłem. Historia skromnego pasażera na gapę, który przybył na Marsa i któremu się powiodło, taka historia nie istnieje. Pasażerowie na gapę nie mają najmniejszej szansy powodzenia. My, uczeni, potrafimy ostatecznie przyciąć deski i zainstalować parę kawałków rur, jakkolwiek wątpliwy bywa rezultat tej pracy. Ale nie możemy sobie pozwolić na luksus zaangażowania do niej kogoś innego.

- Dlaczego utrudniasz mi zadanie, Franklin? Mam miękkie serce. Przekonałeś mnie. Ale nie mogę nic zrobić wbrew regulaminowi. Musisz odjechać.

- Nie mogę - powiedział z cicha.

- Dlaczego?

- Jeśli wrócę, zrobią mnie na szaro.

- Dobrze, dobrze! Jazda, opowiedz swoją historię mruknąłem. - Tylko żeby była krótka!

- Dobrze, proszę pana. Na Ziemi, jak już panu mówiłem, trzeba postępować i myśleć jak wszyscy. Do pewnego czasu nie było z tym tak źle. Ale potem, któregoś dnia odkryłem Prawdę.

- Co takiego?

- Odkryłem Prawdę! - powtórzył Franklin z mocą. Odkryłem ją przypadkowo, ale w gruncie rzeczy to było niezwykle proste. Tak proste, że powiedziałem o tym mojej siostrze. A z chwilą, kiedy ona zrozumiała, każdy mógł zrozumieć. Spróbowałem więc powiedzieć o tym wszystkim.

- Mów dalej - rzekłem.

- Wszyscy się na mnie oburzyli. Powiedzieli mi, że jestem wariatem i lepiej zrobię, jeśli będę milczał. Ale ja nie mogłem milczeć, panie Tully, bo przecież chodziło o Prawdę. Wobec tego chcieli mnie zamknąć, a ja uciekłem na Marsa.

To już szczyt wszystkiego! - myślałem. - Tylko tego nam brakowało, żeby jakiś Franklin, fanatyk jak za dawnych czasów, przybył, żeby nas nauczyć, nas, uczonych!

- A to jeszcze nie wszystko - powiedział Franklin. - Uważa pan, że to nie wystarczy?

- Oni teraz także szukają mojej siostry. Widzi pan, kiedy ona zrozumiała Prawdę, zapagnęła ją głosić. Rozumie pan, to przecież jest Prawda. Więc musi się teraz ukrywać, dopóki... dopóki... - Wytarł nos i przełknął ślinę. Myślałem, że pokażę panu, jak mogę się przydać na Marsie, a potem mogłaby tu do mnie przyjechać moja siostra i...

- Wystarczy! - przerwałem.

- Tak jest, proszę pana.

- Nie chcę nic więcej słyszeć. Dość już słyszałem.

- Nie chce pan, żebym objawił Prawdę? - zapytał z uporem. - Mógłbym panu wyjaśnić...

- Ani słowa! - warknąłem. - Dobrze, proszę pana.

- Franklin, nie mogę dla ciebie nic zrobić, absolutnie nic. Nie masz żadnych wymaganych kwalifikacji. Nie mam prawa pozwolić ci tu zostać. Jediną rzeczą, jaką mógłbym dla ciebie zrobić, to pomówić z dyrektorem.

- Och! Stokrotne dzięki, panie Tully! Czy może mu pan wytłumaczyć, że nie przyszedłem jeszcze do siebie po tej podróży? Któregoś dnia, kiedy odzyskam siły, pokażę panu...

- Dobrze, dobrze! - powiedziałem i oddaliłem się pospiesznie.

Dyrektor spojrział na mnie tak, jakbym nagle kompletnie oszalał.

- Ależ, Tully! Zna pan przecież regulamin.

- Naturalnie - odparłem. - Ale on z pewnością mógłby się przydać. Naprawdę nie mam odwagi go odesłać.

- Utrzymanie człowieka na Marsie wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Myśli pan, że on jest tyle wart? - Tak, wiem o tym. Ale naprawdę mi go żal. On się tak rwie do pracy, może moglibyśmy...

- Wszyscy pasażerowie na gapę wzbudzają litość!

- Oho! A poza tym to są istoty niższe, co? Nie to, co my, uczeni! Proszę się nie krępować! Wyśle się go i nie mówmy o tym więcej!

- Ed - odpowiedział spokojnie - przeczuwam, że ta historia wywoła wśród nas kwasy. Ale panu pozostawiam decyzję. Niech pan nie zapomina, że co roku otrzymujemy dziesiątki tysięcy podań o zatrudnienie w Planie Marsjańskim. Odmawiamy ludziom bardziej kwalifikowanym niż my sami. Młodzież latami

kształci się na uniwersytetach, spodziewając się znaleźć tutaj pracę, a w końcu zastaje miejsce zajęte. Czy biorąc to wszystko pod uwagę, naprawdę pan sądzi, że Franklin powinien tu zostać?

- Skoro pan stawia sprawę w ten sposób... - A czy jest inny sposób? - spytał Burke.

- Nie, z pewnością nie.

- Ziemia potrzebuje nowych terenów ekspansji. Pragnąłbym otworzyć całego Marsa dla osadnictwa. Kiedyś to się stanie. Ale nie wcześniej, zanim uda się nam samym zaspokajać nasze potrzeby.

- Zrozumiano. Zajmę się wyprawieniem naszego młodego pasażera na gapę w drogę powrotną.

Gdy wróciłem, Frankin pracował przy dachu laboratorium. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby się zorientować, jak brzmi odpowiedź.

Wskoczyłem z powrotem do jeepa i pojechałem do Marsportu. Miałem kilka słów do powiedzenia kapitanowi, który wpuścił Franklina na pokład. Takie rzeczy zdarzały się zbyt często. Ten błazen będzie musiał teraz z powrotem odstawić Franklina na Ziemię.

Rakieta stała w dole odlotowym, z czubem skierowanym ku niebu. Clarkson, nasz specjalista od silników atomowych, przygotowywał ją właśnie do odlotu.

- Gdzie jest kapitan tej landary? - zapytałem.

- W ogóle nie ma kapitana - odparł Clarkson. - Ten model jest zdalnie kierowany przez radio.

Uczułem, jak mi żołądek podchodzi do gardła.

- Nie ma kapitana?

- Nie.

- Nie ma załogi?

- Skądże! Na zdalnie kierowanej rakiecie? Przecież pan o tym świetnie wie, Tully!

- Wobec tego - powiedziałem łagodnie - na pokładzie nie ma tlenu?

- Naturalnie, że nie!

- I żadnej obrony przed promieniowaniem?

- Oczywiście! - Clarkson zaczął mi się przyglądać z niepokojem.

- I żadnej izolacji!

- Tylko tyle, żeby powłoka nie spłonęła.

- I spodziewam się, że ta rakieta startuje z maksymalnym przyspieszeniem? Około trzydziestu pięciu "g"?

- Naturalnie! Jeśli nie ma nikogo na pokładzie, tak jest najbardziej ekonomicznie. Co jest z panem, Tully?

Nie siląc się na odpowiedź, wskoczyłem do jeepa i ruszyłem w kierunku laboratorium spektroskopowego.

Takiej podróży nie mogła przeżyć istota ludzka. Nie było na to najmniejszej szansy. Nawet jednej na miliard. To było fizycznie niemożliwe.

Kiedy przyjechałem do laboratorium, Franklin ukończył już dach i był zajęty gromadzeniem rur. Była to pora przerwy obiadowej i pomagało mu wielu ludzi z Sekcji Kopalnianej.

- Franklin! - zawołałem.

- Tak, proszę pana? Odetchnąłem głęboko.

- Franklin, czy przyjechałeś z tym ładunkiem?

- Ależ nie, proszę pana. Próbowałem panu powiedzieć, że nie, że nic nie płaciłem kapitanowi, ale pan nie...

- Wobec tego - powiedziałem bardzo powoli - w jaki sposób tutaj przybyłeś?

- Za pomocą Prawdy!

- Czy mógłbyś mi to zademonstrować? Franklin zastanowił się przez chwilę.

- Ta podróż straszliwie mnie zmęczyła, panie Tully rzekł. - Ale myślę, że mógłbym...

I zniknął.

Zastygłem w miejscu, mrugając powiekami. Potem jeden inżynier z Sekcji Kopalnianej wskazał na niebo. Był tam Franklin, spokojnie szybujący jakieś sto metrów nad nami.

W chwilę później stał już przy moim boku, zaczerwieniony z zimna. Co za historia!

- I to jest twoja Prawda?! - zawołałem.

- Tak, proszę pana. To jest odmienny sposób widzenia rzeczy. Spojrzenia na rzeczy z góry. Kiedy pan raz zobaczy - kiedy zobaczy pan naprawdę - o! Ale na Ziemi uważano, że to... halucynacja, i kazano mi zaprzestać.

- Potrafiłbyś nauczyć tej metody?

- Oczywiście, proszę pana, ale to wymaga czasu... Panie Tully, czy chce pan przez to powiedzieć, że zostaję?

- Możesz zostać, Franklin. Co więcej, gdybyś próbował odjechać, zabiłbym cię na miejscu.

- Och, dziękuję panu! A moja siostra? Może tu przyjechać?

- Ależ naturalnie! Jakżeby inaczej! Jak tylko przyjedzie...

Usłyszałem okrzyk zdumienia, wydany przez ludzi z Sekcji Kopalnianej. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Odwróciłem się z wolna.

Przede mną stała wysoka, szczupła dziewczyna z oczami jak spodki. Patrzyła dookoła jak lunaticzka, mrużąc:

- A więc to jest Mars! - Potem zwróciła się do mnie, oblana rumieńcem: - Bardzo pana przepraszam... ale ja... ja słyszałam pańską rozmowę.